

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 149.

BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE  
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1878.

SERYA V.

Marzec.

TOM I. — ZESZYT III.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 2 marca 1878 roku.

## T R E Ś Ć.

	stron.
I. Gospodarka królowej Bony na kresach. Przez Kazimierza Pułaskiego. . . . .	353
II. Kronika lwowska. Przez Władysława Zawadzkiego. . . . .	382
III. Podróże i odkrycia geograficzne. Stanley i Kongo. . . . .	398
IV. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. Wojna wypowiedziana kobietom uczonym przez p. Barbey d'Aureville ( <i>Les bas bleus</i> ).— <i>Podróż Karola W. na Wschód</i> , epopea z XI wieku, studjum Gastona Paris.—Rozprawa pedagogiczna profesora berlińskiego Bois Raymond.— <i>Żegluga napowietrzne</i> Gastona Tissandier.—Gustaw Courbet, naczelnik szkoły realistów w malarstwie.— <i>Wyprawa pułkownika egipskiego Challi Long do Afryki środkowej. Harmonia dźwięków</i> p. Rambosson.—Dramat Legouvégo: <i>La Separation</i> .—Poranki charakterystyczne Maryi Dumas: <i>Elektra</i> Sofoklesa, <i>Sejm Nie-wieści</i> Arystofanesa. Galeria etnograficzna przy Muzeum artylerji, w zakładzie Inwalidów. . . . .	411
V. Ustęp z życia Alberta Hohenzollern-Anspach, lennika w Prusiech polskiego. Opowiadanie historyczne. Przez Eugeniusza Skrodzkiego (Dokończenie). . . . .	428
VI. Zakład śmiertelny Ottona. Dramat w pięciu aktach Henryka Spicera. Przełożył z angielskiego Feliks Jezierski. . . . .	453
VII. Syn marnotrawny. Opowiadanie z końca XVIII-go wieku. Przez J. I. Kraszewskiego. . . . .	463
<b>VIII. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.</b>	
O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii, dwa odczyty publiczne Juliana Ochorowicza. Lwów, 1877 r. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . .	477
Literatura w Galicji, przez Władysława Zawadzkiego. Lwów. Nakładem Władysława Webera. Z drukarni Wł. Łozińskiego. 1878 r. (w 8-cc, str. 158). Przez K. Wł. W. . . . .	484
Skorowidz Królestwa Polskiego czyli spis alfabetyczny miast, wsi, folwarków, kolonii i wszystkich nomenklatur w guberniach Królestwa Polskiego, ułożony i wydany przez I. Zinberga. Dwa tomy w 4-cc. Warszawa, 1877 r. Tom I str. 93 i 426, tom II str. 355. Przez Zygmunta Glogera. . . . .	490
<i>(Dalszy ciąg patrz na trzeciej stronie okładki).</i>	



De. II. 1.

GOSPODARKA

# KRÓLOWEJ BONY

NA KRESACH.

PRZEZ

*Kazimierza Pułaskiego.*

Żadna z królowych w Polsce nie wywierała tak przeważnych wpływów na sprawy szczególnie wewnętrzne w kraju, jak druga żona Zygmunta I, Bona, pochodząca ze znakomitego rodu włoskiego Sforzów. Imię to znaczące tyle co „dobra” nie odpowiadało przecież charakterowi. Gwałtowność usposobień, chciwość, przebiegłość, żądza władzy, nie przebieranie w środkach: oto główne cechy charakteru królowej Bony. Nie miała też ona miru wśród szlachty, ale nagradzała sobie tę niechęć i umiała wyminąć następstwa owiej nieżyczliwości zacniejszych i wpływowszych postaci w kraju, grupując około siebie grono stronników, pozyskanych umiejętnem szafowaniem najrozmaitszych przywilejów, które za jej wolą z kancelaryi królewskiej były wydawane. Znienawidzona przez wszystkich, rozszawiona w skutek zajęć rodzinnych tak dalece, że przypisywano jej nawet śmierć niemiłych sobie synowych, Bona nie ustępowała przecież nikomu, szczególnie za życia jeszcze Zygmunta I, który pod koniec przyciśnięty wiekiem, nie był w stanie ograniczyć jej wpływów, i zostawiał żonie coraz szerszy zakres władzy. Śmierć króla przerwała nagle tę wszechpotęgę królowej Bony, która odtąd panowała tylko na swych dzierżawach, tak wielkich, że zebrane razem, przeniosłyby ze sto razy owe Księstwo Barskie we Włoszech, które w swoim czasie tyle wrzawy narobiło.

Bona dużo złego zrządziła Polsce, wnosząc do kraju niemało obyczajów, zdawna cechujących te wytworne, lecz w najwyższym stopniu niemoralne dwory włoskie XVI wieku. Nie wszystko jednak zaszczyć się dało na gruncie polskim. Sam nawet Zygmunt August, choć przez nią chowany, nie w sposób sarmacki, lecz miękko i zniewieściale, nie dał się jednak przerobić na krój włoski.

Owa obyczajów rozwiążłość, która pozbawiła Polskę dynastyi najzacniejszej ze wszystkich rodów panujących; najwstrętniejsze kabały u dworu, użycie najniższych środków do przeprowadzenia celów często równie niegodnych: oto były towarzyszące Bonie dary Sforzów. Nie spotkać też na tronie polskim królowej, któraby tak zawzięcie i tak upornie dobijała się osobistych zysków, coraz to



większych posiadłości. Chciwość Bony była bez granic, łatwo téż przychodziło jéj wyrabiać sobie u króla coraz to nowe zapisy, oprawy, przekazy, dzierżawy i t. p. Na samo wymienienie i spisanie samych nazw tylko tych rozlicznych włości, miast, osad, starostw i dzierżaw, potrzebaby było kart kilku. Dość wspomnieć ważniejsze tylko.

I tak: tytułem oprawy trzymała królowa Bona całe Mazowsze, gdzie w Warszawie i innych miastach chętnie przebywała już czasu wdowieństwa swojego. Oprócz tego w Wielkopolsce posiadała Wieluń, Rogoźno, Przedecz, Kłodawę, Konin, Łęczycę, Pyzdry, Inowrocław i t. d., w Małopolsce: Korczyn, Wislicę, Radom, Żarnowiec, Chęciny, Radoszyce, dalej Ojców, Łobzów i wiele pomniejszych; na Podlasiu miała Bielsk, Brańsk, Tykocin, Kwidzyń, Siedlce, Mielnik i Suraz; na Litwie: Grodno, Kobryń, Pińsk, Kleck, Kryuki; na Rusi Czerwonéj obszerną Samborszczyznę i Leżajsk; w województwie podolskiém starostwo barskie, a na Wołyniu Krzemieniec i Kowel z licznymi przyległemi włościami. Pomijamy ogromną liczbę pojedynczych posiadłości, po wszystkich niemal powiatach rozrzuconych. Dużo z nich sama już królowa wykupywała od innych dzierżawców. Spekulowała téż bezustannie, jedne sprzedawała, drugie nabywała posiadłości, mieniała mniej korzystne na intratniejsze, zaokrąglając w ten sposób swe dzierżawy. Nadto nabywała rozmaite prawa na wójtostwa, cła lub myta i t. p., i znowu je wydzierżawiała więcéj dającemu, a zawsze dobre robiła interesa. Tak np. pewnego razu zakupiła prawa do wójtostwa łuckiego u córek dziedzicznego wójta miejscowego, i oddała je zaraz w 1544 roku księciu Adamowi Sanguszce Koszyrskiemu, staroście łuckiemu, w zamian za dobra mielnickie. Nowy jednak właściciel rychło pozbyć się musiał owego wójtostwa, bo w kilka lat później, w 1548 r., królowa Bona znowu nabywa do niego prawa od kilku współwłaścicieli, ziemian wołyńskich, za 450 kóp groszy litewskich, i zaraz odprzedaje je na wieczność Iwanowi Jaśkowiczowi Borzobohatemu za 600 kóp groszy litewskich, co téż potwierdza Zygmunt August osobnym przywilejem. Na tranzakcyi téj królowa Bona zarabia 150 kóp groszy litewskich. Tego rodzaju spekulacyi dużo przykładów znajdujemy we współczesnych aktach.

Nie zadawalniała się przecież królowa Bona samą tylko administracją rozległych swych posiadłości; władza jéj sięgała nieraz zakresu prawodawczego, a czasem nawet sądowicznego. Na Mazowszu np. miała jurysdykcyą nawet nad szlachtą, wyjąwszy w sprawach grodzkich, lecz starostów nawet grodowych król Zygmunt nicinaczéj mianował, jak tylko za wiedzą królowéj. Najczęściéj także liczne przywileje królewskie, dotyczące rozmaitych warunków bytu ludności osiadléj w dzierżawach królowéj, wydawane były za jéj staraniem lub za jéj wpływem. Sama téż liczne wydawała rozporządzenia, ustanawiała podatki lub zwalniała od nich ludność osiadłą, albo nowo osiadającą, na pewien czas oznaczony, albo nareszcie zamieniała takowe na inne powinności; miastom nadawała prawo magdeburskie, ustanawiała sądy

miejskie, określała dochody magistratów, przepisywała rozliczne ustawy, wreszcie, jak np. na Rusi, rozdawała nawet godności kościelne.

Działalność królowej Bony w tym szczególniejszym zakresie była niezmiernie gorliwą.

Skrzętnie gromadziła grosz polski, aby potem, po trzydziestu ośmiu latach owęj gospodarki w Polsce, wywieźć ogromne skarby w kraje zamorskie. Ów wyjazd Bony stał się „wielką sprawą“, bo nie chciano zrazu wypuścić z kraju tak znacznych funduszów, bogactw tak wielkich. Ież bo to zaciężnych pułków opłacićby można było skarbami, które zabiegliwa Włoszka wywoziła z Polski, ilu zapobiedz nieporządkom, wynikającym z niedostatku pieniędzy? Dwa-dzieścia cztery poszóstnych wozów, naładowanych złotem, srebrem i klejnotami, wiozło w ślad za królową owe skarby nieprzebrane. Za Wiedniem, w górach dzisiejszego Sömmeringa, nowy trakt kuto w skałach, aby wozy te bezpiecznie iść mogły. O skarbach wywiezionych naówczas przechowały się aż dotąd podania narodowe. Wyrażenie: „sumy neapolitańskie“, dotąd jeszcze oznacza u nas *maximum* bogactw i skarbów; a przecież owa pożyczka udzielona przez Bonę Filipowi II, była tylko drobną zaledwie częścią uciulanych w Polsce skarbów. Dało to początek usilnym zabiegom Zygmunta Augusta i dalszych królów o spadek po królowej Bonie; daremnie jednak rozprawiano na sejmach o owych sumach neapolitańskich aż do ostatnich lat Rzeczypospolitej. Oprócz wiadomej pożyczki królowej Bony, pozostałe skarby rozdzielili między siebie truciście Bony i fałszerze jęj testamentu. Papagoda hojnie opłacać musiał współników, bo ze śmiercią królowej i śladu nie zostało ani jęj klejnotów, ani sum pieniężnych. Pracowała więc Bona przez lat tyle, używała wszelkich godziwych i niegodziwych środków dla zrealizowania jak największych bogactw, aby potem stać się ofiarą chciwości własnych swoich powierników. Taki koniec sprwadziło uczucie, któremu przez całe życie hołdowała.

Zadziwiającém jest, że Włoszka przywieziona do kraju zupełnie dla nięj obcego, nie znająca ani języka, ani zwyczajów i obyczajów, ani stosunków miejscowych, tak umiejętnie potrafiła się rządzić, tak zręcznie administrować równie rozległe posiadłości. Wprawdzie nie odrazu też była panią tak obszernych dzierżaw. Lat niemało potrzeba było, aby ściągnąć w swe ręce tak rozległy zarząd. Powoli też, stopniowo wzrastały jęj włości, i przyznać należy, że wszędzie przykłady był ład i porządek, miasta się podnosiły, ziemie puste zaludniały, dobrobyt kwitnął, zamki nawet budowała Bona, szczególniejsz na krésach, dając z siebie przykład gorliwej staranności o zwiększenie środków obrony krajowej. Sama też trzymała na nich rotę zaciężnych, broń skupowała zagranicą i rozsyłała po zamkach, wszystko pod rachunkiem, wszystkiego najdokładniejsze sporządzając inwentarze. A wszystkiém aż do najdrobniejszych rozporządzeń sama zawiadywała, pisała więc do starostów: ile na jakim zamku hakownic postawić, ilu ludzi trzymać, jakie dochody obracać na ich utrzymanie, jakie ziemie osa-

dząć, ile pobierać za myta i cła, gdzie żydów lokować i jakie im kazać płacić pogłównie, u kogo jakie dary wypraszać, do czego się przymawiać: bo w tym względzie nie ścieśniała się królowa Bona, a rzadko spotykała odmowę, umiejac przysługę przysługą odwdzięczyć. Również sownie nagradzała zasłużone sługi swoje, kilka też rodzin na wysokie wyniosła stanowisko; to ją wprawdzie niewiele kosztowało: słów kilka staremu królowi lub trochę intryg kancelaryjnych, a paragaminy opatrzone podpisami i pieczęciami szły na wsze strony.

Drobiazgowość królowej Bony, chcącój wszystko robić przez siebie i o wszystkim być zawsze zawiadomioną, najwybitniej widzieć się daje w odkrywanych źródłach. Kontrakta nawet dzierżawcze, nietylko już na obszerne włości, ale na drobne nieraz dochody ze stawów, młynów, karczem, ceł, myt i t. p., sama zawsze podpisywała, poprawiając niekiedy własnoręcznie wystawione umowy. Zawsze troskliwa o powiększenie dochodów, zalecała pewnego razu Stanisławowi Bagińskiemu, który przez czas jakiś był przełożonym nad zamkiem barskim, aby jednego roku stawów okolicznych nie wypuszczał w dzierżawę, lecz spuściwszy wodę, ryby wyłowić kazać, i nasoliwszy, beczkami sprzedawać; a to iżby potem wydzierżawiając te stawy, wiedzieć, co są warte. Drobnym wprawdzie szczegół, ale dostatecznie charakteryzujący czynną działalność królowej Bony w zakresie administracji jęj posiadłości. Jak o stawach tych, tak samo o wszystkich innych szczegółach zarządu, zawsze sama wydawała dyspozycye, co też świadczą jęj listy, które poniżej zamieścimy.

Jako próbkę tej gospodarki królowej Bony w Polsce, podajemy tu trochę szczegółów, jakie zebrać się dały o dzierżawach i posiadłościach, które trzymała w południowo-wschodnich województwach dawniej Rzeczypospolitej; jeżeli bowiem potępiamy chciwość, z jaką garnęła grosz polski, to z drugiej znów strony godzi się przyznać, że pod pilnym jęj dozorem szybko wzrastały miasta i dobrobyt zakwitał tam nawet, gdzie najzupełniej spustoszone były dzierżawy w chwili objęcia ich w posiadłość.

Niepospolitych bez zaprzeczenia zdolności w każdym kierunku, królowa Bona wielkie oddać mogła usługi krajowi, gdyby z tym krajem więcej zespoloną była sercem, gdyby zamiast dumy, chciwości, samolubstwa i samowoli, dawała przystęp szlachetniejszym uczuciom. Strat innej natury, rządzonych Polsce przez Bonę, nagrodzić nie mógł ów chwilowy postępn niektórych miejscowości. W każdym jednak razie uderzyć on musi w oczy, gdy bliżej wglądniemy w gospodarke jęj obszarnych i rozległych dzierżaw. Na Rusi szczególniej pozostała Bona dużo śladów gorliwej staranności o ziemię i ludność jęj powierzone, to też pod tym względem oddać należy sprawiedliwość, że w Polsce współczesnej nikt lepięj od Bony nie rządził się na starostwach i królewszczyznach. Nierzadko się zdarzało, iż inni dzierżawcy zdając włości, które trzymali, oddawali je w najsmutniejszym stanie, zniszczone, „rozdrapanę“, że użyjemy współczesnego wyrażenia.

Co więcéj, sami dzierżawcy lub ich namiestnicy nadużywali swéj władzy, wymijając prawo i przyjęte zobowiązania w stosunkach swych z ludnością miast i włości, ztąd ciągłe skargi, zażalenia i komisye. W dzierżawach królowéj Bony nic takiego nie widzimy. Przeciwnie, rozporządzenia jéj i ustawy, lub téż pod jéj wpływem wydawane przywileje królewskie, dążą do zapewnienia dobrobytu i spokoju wszystkim klasom ludności, a namiestnicy jéj nigdzie nie dają powodu do skarg lub nieporządków.

Mówiliśmy powyżéj, iż królowa Bona trzymała w województwie podolskiém Bar, a daléj na szerokim Wołyniu Krzemieniec i Kowel, trzy dzierżawy, obejmujące ogromne wkoło posiadłości, dużo ziem pustych, stepów, przestrzeni niezmiernych, lecz mało ludnych; bo kraj ten wystawiony na ciągłe najazdy, w ciągłej walce o byt, nie tak łatwo mógł się zakolonizować, a często ludne i kwitnące już okolice jednym najazdem pogaństwa spustoszone bywały. To téż każda osada tutaj, miewała ziemi ile zajęła, ile zająć mogła, i wszystkiemu nawet podołać nie była w stanie. Przeglądając kilka kolejnych lustracy ziem tych z XVI, a nawet z XVII, już stulecia, spotykamy tu jakby mozaikę, na której jedne i téż same osady przerzucają się z miejsca na miejsce. Nieobeznanemu z przeszłością ziem krésowych, dziwném to wydać się może, a jednak tak było. Dziś pewna osada lokuje się nad jakąś rzeczką lub jarem, albo pod osłoną zameczku; wcześniéj lub późniéj z zameczku zostają gruzy, z osady i śladu nie ma, życie zda się zamarło. Po jakimś jednak czasie osada téj saméj nazwy zjawia się znowu, czasem w tém samém miejscu, częściciéj jednak gdzieś daléj, a nierzadko znaczną minąwszy przestrzeń. I tak razy kilka, że czasem zabłąkać się trzeba w tym chaosie ciągłej kolonizacyi i ciągłych spustoszeń. Gdy atoli ziemie stały stepem, pustką, iżby je uprawić, zaludnić i życiem natchnąć, potrzeba było czegoś więcéj, jak wyznaczenia i odmierzania pól przeznaczonych nowo zakładanym osadom, lub sprowadzenia nowych osadników i przywiązania ich do ziemi szeregiem swobód i przywilejów. Nad to wszystko potrzeba było dać rękojmię bezpieczeństwa, że ludność ta znajdzie obronę przeciwko napaści, że ma się gdzie schronić, że praca jéj daremną nie będzie, że Tatarzyn nie pokusi się w te strony zagony rozpuścić. Otóż więc kolonizacya ziem krésowych tam tylko postępować mogła, gdzie silny zamek zabezpieczał okolicę, gdzie środki obronne zapewniały ludności skuteczniejszą ochronę. Nie łatwo przecieź było mieć wszędzie silne mury i dostatek rycerstwa; nieraz brakowało środków po temu, to téż nie dziw, że ziemie ruskie, choć kolonizowane raz po raz, posiadały nieraz ogromne obszary, które pustką świeciły.

Toż samo miało miejsce ze starostwem barskiém. Zajrzyjmy w przeszłość tych ziem, które w 1537 roku nadane zostały królowéj Bonie, a znajdziemy tu téż same dzieje, jak na całym obszarze województw krésowych.

Dawniej Bar zwany był Rowem, od małéj mętnéj rzeczki nieopodal płynącéj. Już w XV wieku stał tu obronny zameczek, bo

często w te strony Tatarzy zaglądali; w zamczku siadywał starosta, namiestnik królewski z garstką rycerstwa, aby czynić odpór wciskającym się pohańcom. Czasu trwogi cała ludność okoliczna stała pod rozkazy starosty. Ale jak wiele innych forteczek krésowych, tak i Rów słabe miał środki obronne. To téż w 1452 r. Tatarzy zdobyli i spalili do szczytu Rów, a miejscowy starosta Stogniew Rej, wprowadzony został w jasyr razem z rodziną i całą ludnością miasteczka. Posiadłość ta przeszła potem w dzierżenie Odrowążów, którzy od czasu jeszcze Władysława Jagiełły szeroko rozsiedli się byli na Podolu, na niezmiernych ziem obszarach. Satanów, Zinków, Bar, były to główne miasta rozległych dzierżaw Odrowążów. Na nowo więc okolica Rowu kolonizowana, powtórnie spustoszoną została przez Tatarów, same miasteczko znowu zburzone, a ludność, która ocalić się zdołała, schroniła się do pobliskich miasteczek: Zińkowa i Jałtuszkowa. Zaniebane już odtąd przez czas jakiś ziemie, na których stał Rów, wykupione zostały przez Zygmunta I w 1537 roku od Stanisława Odrowąża, wojewody podolskiego, i oddane królowej Bonie, która na gruzach dawnego Rowu zakładając nowe miasto, przezwiała go Barem, na pamiątkę swych włoskich posiadłości, a za herb miastu dała litery B. S. (Bona Sforza).

Odtąd wznosić się poczyna opustoszałe miasto, bo królowa Bona gorliwie się niém opiekuje. Po najazdach tatarskich były tu pustki, same gruzy tylko, włości szczupła liczba, a wielu osad i śladu nie zostało. Nie posiadamy wprawdzie statystyki ówczesnego stanu starostwa barskiego, ale późniejsze lustracye rzucają trochę światła. Otóż wedle tych źródeł <sup>1)</sup>, większa część osad odnosi się do czasu królowej Bony, z dawnych bowiem włości bardzo niewiele wzmiankują lustracye. Ze staréj szlachty polokowanej tutaj na prawie lenném, utrzymali się przeciw niektórym. Jacyś Radyowscy siedzieli na Radyowcach, które jeszcze król Władysław im wypuścił w sumie 100 grzywien, na co téż uzyskali potwierdzenie Zygmunta Augusta. Włości: Nowe Mytkowce, Wereszczatyńce, Kosaryńcze, Przyמושczzenica i Drobiezowce, były w posiadaniu Mytków, na mocy przywileju Aleksandra jeszcze z 1506 r. <sup>2)</sup>. Byli tu jeszcze rozrzucony na znacznej przestrzeni Paniutowie, Wasiutyńscy, Hołuzińscy, Płoskirowscy, Wołkowińscy i t. p., wszyscy na ziemiach królewskich, z obowiązkiem służby wojсковéj, i stawania każdéj chwili, czasu trwogi, zbrojno i konno. Ogółem jednak biorąc, okolica Baru przedstawiała więcéj ziem pustych, niż uprawnych, bo osady, które tu kolejno spotykamy od połowy XVI wieku, wszystkie niemal są nowo już osadzone, często „na pustkowiach“ takiéj to a takiéj włości, o którój przechowały się zaledwie podania.

<sup>1)</sup> *Lustracya dóbr króla Jmci w województwie podolskiém i t. d. z r. 1615* (rękopism). Jakkolwiek ta lustracya jest znacznie późniejsza, opisują jednak rozmaite miasta i włości, przytacza dawniejsze przywileje.

<sup>2)</sup> Por. *Źródła dziejowe* tom V (wydał Al. Jabłonowski 1877), „Lustracya dóbr króla JMci...“ 1615 r. odbyta (między innymi i starostwa barskiego) str. 34—35.



Praca restauracyjna królowej Bony rozpocząć się miała od stolicy starostwa, od samego miasta Rowa przechrzczonego na Bar. Zaraz też król Zygmunt wydaje Bonie konsens na pobudowanie zamku barskiego i osadzenie miasta *na nowym korzeniu*, jak się wyrażają akta współczesne. Miejscowość ta była wielce dogodną dla wstrzymywania zapędów tatarskich, chętnie więc król się przychyła do prośby królowej, aby obdarzyć licznymi przywilejami osiadającą tu ludność; ile ze zwiększeniem ludności silniejsza stawała zapora inkursyom pogaństwa. Było to jak mówiliśmy w 1538 r.

Bona namiestnikiem swoim ustanawia w Barze Wojciecha z Białobok Starzechowskiego, podkomorzego lwowskiego, starostę drohobyckiego, którego potem wykierowała na kasztelana kamienieckiego i wojewodę bełzkiego. Otóż ów Starzechowski zaledwie lat parę rządził Barszczyzną, a zostawił ślady gorliwej działalności. Z rozporządzenia królowej zaciągnął i trzymał kilkuset pieszych i jezdnych żołnierzy, jakoteż i tyłuż robotników, i we dwa lata silny tu stanął zamek. Starzechowski ufortyfikował go starannie, opasał wałami, fosami i basztami, opatrzył w działa, zapasy prochu i pociski. O zasługach przezeń tu położonych wspominają współczesne przywileje królewskie.

Po dwu latach pracy ulokowane już było miasteczko, i znowu Bona nowe u króla wyprasza przywileje dla swojej dzierżawy. Ponownie więc w 1540 r. Zygmunt potwierdza lokacją miasta, dając pozwolenie sadowienia się tutaj wszelkiego narodu ludziom, *Romanae et Rutenum fidei, Judaeis et Armenis*, przytém nadaje miastu prawo magdeburskie, wyznacza wójta, ustanawia targi i myta, jakie się brać od czego miały, także wolności naonczas do lat piętnastu naznacza. Sami już mieszczanie budują most miejski, pobierając opłatę od przejezdnych, kopią stawy obok miasta i osadzają wieś na miejscu oznaczonym przez Starzechowskiego, dochody zaś z tego wszystkiego iść mają na lepsze obwarowanie i wzmocnienie miasta; w razie zaś potrzeby wszyscy mieszczanie są zobowiązani stawać zbrojno i konno przy staroście swoim i walczyć z nieprzyjacielem. Dalsze przywileje Zygmunta pozwalają założyć tak zwany Ruski Bar, odrębną dzielnicę miasta, zaludnioną przez Rusinów, po większej części z dawniejszych mieszkańców Rowa, którzy zbiegli byli do Zińkowa i Jałtuszkowa a teraz powracali. Dalej jakiś Niewid zakłada inną jeszcze dzielnicę miasta zwaną Górny Rów. Osadzono też w bliskości Baru Czeremisów, którzy za Pretficza bardzo użytecznymi się okazali do służby wojskowej <sup>1)</sup>. Tak więc w krótkim przeciągu czasu okolica się ożywia, zamek silnie ufortyfikowany osłania osiadającą ludność, a okoliczne pustki zaczynają się zaludniać.

Po Starzechowskim królowa Bona wyznacza na starostę barskiego Bernarda Pretficza. Był to Szlązak rodem, od dłuższego już czasu w służbie polskiej, a zaprawiony w rzemiośle rycerskiém. Bona ułat-

<sup>1)</sup> Szczegóły o Barze ze *Starożytnéj Polski* Balińskiego i Lipińskiego, z lustracyi powyżéj wzmiankowéj i odnośnych aktów rękopiśmiennych. Por. *Źródła dziejowe*, t. V, str. 34, „wieś Czemieryszów” i str. 39—40.

wia Pretficzom zdobycie późniejszej ich fortuny. W jakich okolicznościach Bernard Pretficz zbliżył się do królowej nie wiemy, ale już dawno znanym był przez nią, bo przed 1538 r. wyrabia mu u króla donacją na posiadłość Woniaczyn w powiecie Winnickim, po zejściu poprzedniego dzierżawcy Ostafiego Daszkiewicza, słynnego wojownika kresowego, starosty czerkaskiego i kaniowskiego. Widocznie przecież Pretficz mało był znanym jeszcze w kraju, bo w poselstwie współczesnym z Litwy do Korony, panowie litewscy wyrażali niechęć z donacyi uczynionej dla cudzoziemca. Nie omyliła się przecież królowa Bona poruczając później Pretficzowi starostwo barskie: znała się na ludziach i wiedziała co po kim spodziewać się można; wkrótce też Pretficz stał się opatrnością ziem podolskich. „Za czasów pana Pretficza spała od Tatar granica“ powtarzano sobie na krésach, gromił też ciągle Tatarów i zbójców wołoskich. Pomyślne przeciw nim robił wycieczki, uganiał się za nimi po całej okolicy, a zbliżających się pod mury forteczki zawsze umiejętnie rozpraszał. Zapędzał się nawet pod Oczaków lub Białogród, a nigdy szczęście go nie opuszczało. Słusznie więc zwano go „murem ziem podolskich“ o który kruszyła się krzywa szabla tatarska. Powiadano, że Pretficz siedząc na Podolu zwiódł przeszło siedemdziesiąt bitew z Tatarami a zawsze wygranych. Potém trzymał jeszcze Bernard starostwo trembowelskie, a syn jego Jakób zasiadał już krzesła senatorskie, był bowiem kasztelanem kamienieckim a potém wojewodą. W nagrodę czynów rycerskich Pretficzne obszerne otrzymywali donacje; na Podolu oprócz kilku pomniejszych włości trzymali Ułanów i Szarawkę z przyległościami. Po dziś dzień jeszcze sterczą na wyniosłej górze w Szarawce szare, opustoszałe już mury klasztoru Dominikanów fundacyi Pretficzów, którzy też mieli tutaj rodzinne groby. Jeszcze czasu trochę, a resztką tych murów do szczętu się rozsypie, a z nimi jedno z tych wspomnień, które z dniem każdym coraz więcej zacierają się w pamięci pokoleń.

Ale powróćmy do Baru.

Z początku Pretficz dzielił władzę w Barze ze Stanisławem Bagieńskim, tak zwanym *przełożonym* zamku Barskiego. Z 1542 r. posiadamy kilka listów królowej Bony do niegoż. Ponieważ zawierają ciekawe szczegóły, podajemy je w całości z autografów:

„*Generose fidelis dilecte...* dał nam list od ciebie, w którym (piszesz iż) książdz biskup łucki <sup>1)</sup> dał Pretficzowi... kop litewskich <sup>2)</sup>. A Pretficz (Prethwic) wziął z tych pieniędzy 116 flor. na poprawę i potrzebę zamkową, a drugie sto i dwadzieścia złotych wydał na sukno Czeremisom, a ostatek pieniędzy jest tam w zamku naszym. Których słów my inaczéj nie możemy rozumieć, jedno iż te pieniądze są przedsię przy Pretficzu, a on ich tobie jeszcze nie oddał w twe ręce.

1) Jerzy Falczewski

2) W niektórych miejscach pismo tak uszkodzone od wilgoci, że odczytać niepodobna.

Czemu się my bardzo dziwujemy, iż on mając od nas rozkazanie, tobie tych pieniędzy nie oddał.

„I piszemy do niego rozkazując mu, aby koniecznie ten ostatek pieniędzy tobie dał w twój szafunek. Nadto jeszcze rozkazujemy mu, aby się nie wstępował w twoje sprawę około wybierania dochodów zamkowych i około wydawania.

„Co nam piszesz, iżę spiży i żywności zamkowej rok od roku niestaje, a to dlatego iżę Pretfcicz ma służebników przy sobie z półtora, którymi wszystką żywność strawi. Pisaliśmy mu o to często-kroć, aby tych służebników tak wielu nie chował na naszym chlebie. Ale gdyż on tego uczynić niedbał, tedy my ten raz w liście naszym piszemy mu i rozkazujemy aby jedno trzydzieści osób swoich sług tam na Barskim zamku przy sobie chował. A jeśli (on zechce więcej ich) chować, aby ich na swój grosz chował i ze swego je opatrywał. Bo on ma od nas opatrzenie wroczone za swą służbę. I nie winniśmy mu ani chcemy sług jego chować teraz. A przeto tobie to rozkazujemy, abyś nie dawał więcej Pretfciczowi nad potrzeb to żywienstwo, jedno tylko na trzydzieści osób, okrom sług zamkowych naznaczonych, których masz registr od nas. Ostatek służebników swych niech Pretfcicz chowa i opatruje jako chce. Ty tylko dawaj potrzeby i obroki na trzydzieści osób, kiedy tam będą na zamku. A inaczej nie czyń.

„Piszemy do kniazia Zasławskiego <sup>1)</sup> i do starosty włodzimierskiego <sup>2)</sup>, i do władyki <sup>3)</sup> aby nam darem dali żyta na zamek nasz barski, dla spiżowania, i posyłamy te listy w ręce do Pretfcicza a on je ma do nich rozesać! A tak jeśli nam dadzą tego żyta, a tam je na Bar przywiozą, tedy ty to żyto odbierz, chowaj i wydawaj wedle potrzeby. A Pretfcicz niech się w to nie wstępuje ani tobie tego nie wyjmuje z mocy.

„Tak nas sprawiono, iżę Starzechowski zjeżdżając z zamku barskiego, a starostwo spuszczać zostawił tam na zamku Pretfciczowi, rzeczy tych które by mogły... <sup>4)</sup>. A tak posyłamy tam Joba i służę Starzechowskiego aby oglądali co Pretfcicz przyczynił za te pieniądze od biskupa, jako też i za to, co miał od Starzechowskiego. A Job ma nas o tém wszystkiém sprawić. Kiedy tam przyjadą, daj im potrzeby a pomóż im.

„O oprawę zamku piszemy Pretfciczowi naszą wolę. A Job mu powie swe zdanie i naukę da, co będzie on miał czynić.

„Po pancerze pisaliśmy do Prus. Jako je nam skoro przywiozą, nieobmieszkamy je na Bar posłać.

<sup>1)</sup> Był to zapewne książę Kuźma Zasławski, powietnik krzemieniecki a około 1551 r. starosta kamieniecki (na Litwie).

<sup>2)</sup> Był nim Tedor Sanguszko (Andrzejewicz), po ojcu starosta włodzimierski w latach 1529—1552.

<sup>3)</sup> Następujący wyraz *Łuczkiego* przemazany.

<sup>4)</sup> Kilka wierszy wydartych zupełnie.

„Pretficz pisze o prochy i o ołów na kule. My wiemy iż ołowiu, prochów, siarki i saletry jest tam na zamku nie mało, co zostawił Starzechowski. A tak niech puszkarze proch nowy czynią, a dawny proch jestli potrzeba niech przedziałają i kulki czynią z ołowiu. Wypisz nam wiele jest prochów, siarki, saletry, ołowiu.

„Co nam piszesz o robotniki, aby byli z Polski wczas zjednani, a tam do Baru posłani, o tém ten raz myśleć nie możemy, a zwłaszcza tu tak daleko od Polski mieszkając w Litwie. A wszakże i tam sam tych robotników sobie dostawaj i jednaj.

„Co się potém u was będzie działo, daj nam znać przez list swój.  
Dat. *Vilna die V ta Januarij MDXLII.*

*Bona regina.*

Drugi list do tegoż Bagińskiego, parę miesięcy później wysłany, następującej był treści:

„*Generose fidelis dilecte!* Dał nam Dobrzyński list od ciebie w którymś nam wypisał, iż Czeremisów dwa domy przyszedli do Baru od księdza (księcia) Koreckiego. My tak pamiętamy i pisarze nasi, iż tych to Czeremisów było u księdza Koreckiego domy cztery. Otóż ten raz piszemy i posyłamy list nasz do księdza Koreckiego przez dworzanina naszego, aby te Czeremisy drugie, którzy tam przy nim zostali, dobrowolnie puścić od siebie, aby oni mogli dobrowolnie przyjść do Baru. Kiedy tam przyjdą, przyjmijcie łaskawie, daj im téż żywność i miejsce im, a téż przy innych Czeremisach tam mieszkanie.

„Radzi to słyszemy, iż Czeremisowie nasi dobrze się zachowują przeciw poddanym naszym. A to się nam podoba, iż przy mieście i przy zamku się posadowili. A nie chcemy, aby gdzie indziej na inném miejscu mieli się osadzać.

„Co nam piszesz, iż dwa od Czeremisów posłować do nas jadą, prosić od nas stawu jałuszkowskiego, wiedz że jeszcze do nas nie przyjechali, a teraz nie mamy woli dać im tego stawu ani damy. Niech już przestawają na tym stawie, którzyż my im naznaczyli w Doraźni. A kiedy do nas ci to posłowie od Czeremisów przyjadą, wysłyszawszy ich żądanie, będziemy pisać do Pretficza, aby tym to Czeremisom wszystkim staw w Deraźni dał w ich dzierżawę, a jestli on tego uczynić nie będzie chciał, tedy ty ten staw im dasz ku ich używaniu.

„Co się dotyczy stawów naszych które tego lata mają być spuszczone, iż ich kupcy nie śmieją ich kupić ogółem, tedy my zezwalamy, abyś ty ryby solił w beczki, a beczkami je przedawał. Tak nie będzie nikomu szkoda. A ztąd weźmiemy próbę na inne przyszłe spusty, poczemu stawy mogą być napotém przedawane.

„To téż radzi słyszemy, iż Pretficz już się zachowuje wedle naszej nauki. A ludziom naszym wszystkim długi i szkody popłacić kazał, a służebniki swe w swych dzierżawach chowa.

„Pisziesz nam, iż puszkarze nasi na Barze, z tego miejsca (?), które od nas mają, nie chcą służyć, żądając od nas polepszenia zapłaty. My nie rozumiemy, żeby im polepszyć tego datku. Słyszemy, iż

jeden puszkarz z tych dwu, jest dobry mistrz, a drugi podlejszy. A tak dawamy to na twe staranie, polepsz im datku wedle twego baczenia: chceszli jednemu, chceszli obiemu wedle godności ich, a wszakże wždy w miarę. Ale niech o tém nie powiadają, a to dlatego, aby téż drudzy słudzy zamkowi się ztąd nie trwożyli, a polepszenia datku większego nie wyciągali.

„O ludzie nasze dziedziczne z Baru, którzy są na Wołyniu i u pana Odrowąza, podle rady twój pisaliśmy listy do panów Wołyńskich, do wszystkich, aby nasze ludzie nam wolno puścili. Z któremi listy posyłamy do nich dworzanina naszego, i rozkazaliśmy mu, aby przodkiem do ciebie do Baru dojechał, a wziął od ciebie sprawę i imiona tych to ludzi naszych.

„A tak ty daj mu na piśmie imiona tych ludzi naszych, jako je zowią, gdzie a u których panów mieszkają. A on je do Baru przywiedzie. A ty ich przymij a ukaż im miejsce, gdzie mają mieszkanie mieć.

„Z panem téż Odrowązem, który tu dziś jest, będziem mówić, aby ludzie nasze Barskie, którzy są u niego, wolnie zasię do Baru puścił. Jedno tego potrzeba będzie, aby wiedział ich imiona, a także (gdzie) mieszkają. Damy téż znać, co nam pan Odrowąż powie.

„O inne rzeczy, któreś do nas pisał odpiszemy, a ty téż nam wypisz to, cośmy do ciebie pisali przez Bireckiego. Miej się dobrze.  
*Dat. Cracoviae feria quinta intra octavas Visitationis Sanctae Mariae 1542.*“

Przy liście tym następująca jest ceduła:

„Co się dotycze tych ludzi naszych dziedzicznych z Baru, którzy są na Wołyniu, abyś się w téj rzeczy umiał sprawować. Wiedz, iż w litewskim państwie ten jest obyczaj i prawo, iż ten kto ludzi swoich szuka, posyła przy dworzaninie człowieka swego, któryby znał te ludzie *hossła* (?) a miał ich mianować a wiedział gdzie mieszkają. A mało li na jednym, tedy dwu, trzech i więcej co ich potrzeba posyłać; a oni zasię tych ludzi *hossli* przywodzą. O tém wszystkim powie dostatecznie ten nasz dworzanin Niepiluszi <sup>1)</sup>. A jak ty i Pretficz pospołu dajcie temu dworzaninowi człowieka jednego, albo dwu, albo tyle ile będzie potrzeba, którzy z nim pojedą do Wołynia, tych to ludzi naszych zastawać, poznawać i wywodzić i przywieźć je do Baru. Potrzeba téż woźnego i świadków, ale ci muszą być z państwa litewskiego dla wiary, boby naszym polskim wiary w tém nie dano. A tak ten dworzanin nasz Niepiluszi ma list króla JMości do starostów i urzędów ziemskich, aby mu przydali k téj rzeczy woźnego i świadki, z urzędu swego.

„Wyrozumiesz to wszystko z dworzanina tego. Mów Pretficzowi od nas, jestli jest na Barze, aby w téj rzeczy pilność czynił, jakoby ci to ludzie nasi byli zasię przywróceniu ku Baru.

<sup>1)</sup> Zapewne Włoch jakiś w służbie królowej, Nepilucci. (*hossła, hossli*, zapewne *hosti, goście, advenae*.)

„Co się dotyczy cła naszego barskiego, wyrozumieliśmy to, coś do nas pisał. Piszemy do Moszka żyda, rozkazując mu, aby on tobie dał w twe ręce sumę arendy cła flor. 140 i lizki i kunie (kunice). A list arendy, aby tobie ukazał. Pieniądze od niego wzięwszy, miej je przy sobie, lizki i kunie nam przyslij.”

Listy te bez dalszych komentarzy wymownie świadczą, jak królowa Bona gorliwie zajmowała się gospodarką swych dzierżaw, jak o wszystkiém pamiętała, jak do najdrobniejszych szczegółów sama wszystkiém zawiadywała. Nic téż marnie tu nie szło, z pieniędzy powierzanych starostom, skrupulatnie zdejmować kazała liczbę, sama wyznaczała pensyą sługom zamkowym; przestrzegała, aby ze starostwa nie rozchodzili się ludzie już osiedli, a zbiegów wyszukiwać kazała i sprowadzać; o każdém źródle dochodów pamiętała, jak niemniej także o wzmocnieniu środków obronnych, a dla ludzi zaciężnych, których trzymała w Barze, rynsztunki aż z Prus sprowadzała. To téż w przedkim czasie posiadłości królowej w kwitnącym były stanie. O owym Bagieńskim, do którego posyłała Bona listy powyższe, giną całkiem dalsze ślady i już tylko Pretficz rządzi zamkiem i starostwem Barskiém, dorabiając się tutaj sławy rycerskiej, przysparzając obrony kresom podolskim, a królowej Bonie coraz większych dochodów. W mieście ludność się zwiększa, zamek staje się jednym z najsilniejszych w tych stronach, a na rozległych *pustkowiach* okolicznych zakładają się włości, kolonizacya śpiesznie postępuje.

Niedaleko od Baru na pustych gruntach, które pierwój liczyły się do wsi Makarowa, osadza Pretficz za zleceniem królowej Bony Morozowskich, synów szlachetnego Rajtka z Pokutyniec; na posiadłość tę uzyskali potwierdzający przywilej Zygmunta I, 1542 r. i w lat kilka staje tu obszerna osada Morozowcze. Popowscy zakładają włość Popowce; pierwój należały te ziemie do Płoskirowskich, ale osada do szczętu zburzoną była przez nieprzyjaciela krzyża św. i na nowo ją osadzają nowi właściciele, a Płoskirowscy otrzymują inne uroczyska, na których zabudowują się Płoskirowcze. Wieś Czemieryszów także jednocześnie lokowana, a osiadła przez Czeremisów, posiada obszerne pasieki, pola i sianożęcie, stawy i młyn czermiski pod miasteczkiem Jadruszkowem. Aleksy Karaczowski (czy Karabczewski), otrzymuje Daszkowce, Dynitry Mitko buduje wieś Dobroszewice. Cokolwiek później staje pod samym Barem wieś Mołochonow, dla której Zygmunt August podpisuje przywilej w 1552 r. Poblizki Jałtuszków otrzymuje rozliczne przywileje w 1546 r., wójtostwo tutejsze znaczne daje dochody. Dalój na pustém uroczysku zwanym Ladawa, pięciu braci: Fedor, Czarnot, Jusip, Lazar i Stefan rzeźceni Buczniowięta, osadzają wieś, która odtąd nosi nazwę Bucznie. Na posiadłość tę wydaje im przywilej Herburt, następcą Pretficza na starostwie Barskiém. Inne znowu puste miejsce czyli uroczysko, zwane Jakowle *alias* Synińce zapisane na osadę niejakiemu Bukowskiemu. Jednocześnie lub mało co później Zygmunt August potwierdza w posiadaniu Lichowy *alias* Wasiutyniec szlachetnych: Antoniego, Lechna,

Łuczka, Jaśka, Leska, *olim* Stephani i Wasyla Andruszka *olim* Jaczkoni synów Wasiutyńskich. W Hołuzińcach siedzą Hołuzińscy, a postradawszy swe przywileje w skutek najazdu nieprzyjaciół, nowy wyrabiają sobie przywilej w 1555 roku na sejmie w Piotrkowie <sup>1)</sup>.

Podnosiły się téż miasteczka, należące do zamku barskiego; i tak pierwsze tu miejsce trzymała Deraźnia, wysunięta ku północy, potem szły Miedzirów, Jałtuszków i jeszcze kilka pomniejszych. Królowa Bona, aby zaokrąglić swą dzierżawę, rozmaite czyni zamiany włości, tak zwane naówczas *frymarki*. W niewielkiej odległości od Baru, zamożna pod tę porę rodzina Jarmolińskich posiadała włość Harmaki, na żądanie jednak królowej panowie Jarmolińscy *prze>frymarczyli*, jak się wyraża akt współczesny, posiadłość tę za inną, zwaną Łaskowce. Później cokolwiek (w 1550 roku), owe Harmaki otrzymał Andrzej Terlikowski. Inna jeszcze włość Mańkowce także niedaleko Baru leżąca, należała do Świerszczów. I tę także włość królowa Bona przyłączyła do zamku barskiego, gdyż Zygmunt I dał Świerszczom miasteczko Husiatyn nad Zbruczem i przyległe doń Kutkowce, za owe Mańkowce „przez których się zamek Barski obycz nie mógł” <sup>2)</sup>. Dla Świerszczów także ten *frymark* był dogodny, bo otrzymane włości nad Zbruczem zaokrąglają ich obszerne posiadłości w powiecie Kamienieckim: Gródek, Bedrzychów i okoliczne wsie aż pod Husiatyn.

1) *Źródła dziejowe*, t. V, str. 29, 31 i 28, 32, 34, 38, 29.

2) *Decreta około frimarków województwa Podolskiego* (bez daty, zdaje się jednak, iż z 1567 roku). Przytaczamy tu ten ciekawy dokument: „Dał Krol JM. niebosczik Zigmunth za zadaniem niebosky Krolowey Bony, Miasieczko Husziathyn y wiesz Kuthkowcze Swierczowy niyakiemu za wyesz Manikowcze, która przyliegła do zamku Barskiego. Dawają sprawę Rewisorowie, że przedthem Manikowcze kiedi sie stał frimark były ossiadleisze nisz theraz, y przechodzi požitkamy Husziathyn miasteczko y wiess Kuthkowcze przerzeczzone Mankowcze. A wszakże iż pan Jasłowieczky, iako tutor ymieniem Swierczowien potomkow Swiercza przerzeczonego wywodzil żebi wiess Kuthkowcze była na gronczie wssy Olchowcze dziedziczeni, thich Swierczowien. A k temu thez y o them dawał sprawę, że na then czas, kiedi sie frimark stał, były Manikowcze ossiadle y pozitheczne, przez których sie zamek Barski obycz nie mógł, y theraz thedy wielie požitkow p. Rewisorowie opuścili, które z grunthu Manikowskiego ijdą do Zamku Barskiego, przypominał thez y tho że sama Krolowa iei mez nieboska Bona u niebosczika Swiercza starała sie o then frimark, która by sie była nigdy nie starała, by był miał bycz ze skodą. Jakoss i Swiercz nie barzo go na on czas rad uczynił. A theraz isz Huszniathin ossiedleissi i pozitecznieissy, stało sie pilnem staraniem y nakładem niebosczika Swiercza jako thez zass ysz Manikowcze spustoszały albo mnieyszy pozitek czynią, niezem ssie ynem nye dzieye, iedno niedbałossyą starostow Barskich. Przetho ie. Krol. mez. isz tha wiesz Mańkowcze tham iest zamkowi Barskiemu przyległa rozumieiącz thez themu gdy będzie pilnoszcz a staranie starosczie ze pothem zasz będzie y ossiadła y poziteczna, Frimark then za długiem delibariatamy zostawicz raczył.”

Powyżej wzmiankowane włości starostwa Barskiego rozdawane były zawsze prawie *cum conditione onerum* do zamku barskiego. Wszyscy też trzymający te dzierżawy, byli obowiązani do służby wojskowej wedle prawa i obyczaju (*de jure et consuetudine...*), to jest do stawiania pod rozkazami starosty, przeciwko wszelkiemu nieprzyjacielowi i do obrony zamku. A zamek barski pod gorliwą opieką Bony i sumiennym zarządem Pretficza coraz silniejszym się stawał. Wedle inwentarza, sporządzonego w 1550 roku, na zamku barskim znajdowało się: hakownic 50, półhakownic 1,120, zbroi polerowanych 2, z hełmem 1, z przyłbicami 6, gołych przyłbic 56, przyłbic czapkami zielonemi obszytych 52, kaftanów zamszowych 6, mieczów 11, siekierek 3, prochu beczek 23, lepszego centnar, kul 4731. To też łatwo przyszło Pretficzowi odeprzeć tegoż roku oblegających Bar Wołochów. Niewiele późniejsza lustracya z 1569 r. podaje, że „w parkanie miasta lackich domów jest 102, a za parkanem na przedmieściu ruskiem domów 150. Miasto Czeremiskie, w którym Czeremisowie, Lachowie i Ruś mieszkają, domów czeremiskich jest 51. Ci żadnego czynszu ani podatków nie płaćą i owszem jeszcze mają jurgielt od króla naznaczony fl.200, którego im nie dają. Mają też swoje role, młynek i stawek na swój pożytek, nic więcej nie powinni, jeno przy starości konno jechać przeciwko Tatarom. W tém Czeremiskiem mieście jest domów lackich i ruskich 68.” Ogółem więc wszystkich domów w Barze było 371, gdy tymczasem w chwili objęcia starostwa przez królową Bonę same tylko były pustki. Dopiero za króla Stefana w 1576 r. roku owe trzy miasta: lackie, ruskie i czeremiskie, połączone zostały i jednej jurydyceki podległe. Żydów, protegowanych przez królową Bonę, było tu także sporo. Jakiś Moszko dzierżawił u niej wszystkie cła i myta barskie.

W źródłach naszych nie znajdujemy pewnych danych, co do dochodów, jakie ciągnąć mogła królowa Bona ze starostwa Barskiego, późniejsze dopiero lustracye więcej szczegółów zawierają. Pod koniec XVI wieku i w pierwszych latach XVII stulecia folwark barski dawał dochodu 1,240 florenów, a folwark derażański 1,718, całe zaś starostwo obliczano na 8,595 flor. dochodu rocznego, ale wówczas już nie było w tak kwitnym stanie, a niektóre włości, jak np.: Mańkowiec i miasteczko Meżyrów zupełnie były zniszczone w skutek najazdu tatarskiego i zresztą przy obliczaniu kwarty, zwykle mniejsze niż większe wystawiano dochody. Oprócz dochodów z ziemi, znaczne były wpływy z dzierżawy ceł, myt, stawów, karczem, potażarni, z lasów wówczas olbrzymich. Miasto ruskie i czeremyskie składało dziesięć pszczelną i powołowszczyznę. Pasiaki były podówczas nadzwyczaj liczne, a miody łatwo spieniężane; również hodowla bydła na stepach i dąbrowach leśnych stanowiła bodaj czy nie główne bogactwo kraju. Od domów w Barze płacono po groszy piętnaście, a z roli po trzy trzeciezniki owsa. Oprócz tego niektórzy mieszczanie i przedmieszczanie, nie mówiąc już o ludności wiejskiej, zobowiązani byli do odbywania robót niektórych na rzecz zamku. Powinni więc byli jeden dzień kosić i siano gra-



bić, jeden dzień żąć i jeden orać. Z tych atoli pobieżnych wskazówek, określić się nie da dokładnie, ile przynosiło Bonie starostwo Barskie; z tego jednak co się powiedziało, widoczném jest, że postawiła je w lepszym bez porównania stanie niż było pierwéj. Pół wieku nie minęło od czasu rządów królowéj w tych okolicach, a późniejszy dzierżawcy nie są w stanie opłacać kwarty, często dochody starczą zaledwie na *wychowanie* dzierżawców. Dalsze dzieje Baru zapiszą jeszcze razy kilka kolejny wzrost i upadek starostwa. Częste klęski i spustoszenia, tak zwyczajne w ziemiach kresowych i tego zakątka nie miną, niszcząc kolejno owoc długoletnich trudów i pracy.

Przechodzimy teraz do wołyńskich dzierżaw królowéj Bony.

Nie mniejszém od starostwa barskiego było starostwo krzemienieckie, które trzymała Bona od 1536 roku, a które rozlegało się na mil dziewięć od samego grodu w stronę północną i zachodnią. Sam Krzemieniec był o wiele większém miastem jak Bar. Twierdza tu stojąca była jedną z ważniejszych na Wołyniu, niemniej obronną, jak Łuck lub Włodzimierz, a postawiona *in faucibus hostium christiani nominis*, jak się wyrażał Zygmunt I w przywileju z 1536 roku, zawsze starannie była utrzymywana. Krzemieniec odwieczną był osadą. Pozycya skalista i leśna od dawna licznych przynęcała tu osadników. To téż są pewne ślady, że jeszcze w czasach przedhistorycznych znajdowały się tu siedziby prastarych mieszkańców Wołynia. Nazwę swą gród ten przybrał od krzemieni, w które bogato okolica jego obfituje. W czasach już historycznych, Krzemieniec rozmaite przechodził koleje, widział niejednokrotnie Tatarów u swych murów, ale dzięki obronnej pozycji, zawsze mógł się uchronić od upadku. Potém kolejno to należał do Litwy, to znowu powracał do Korony. Na zamku siedzieli namiestnicy królewscy, Fedko Nieświdzki trzymał go pierwszy wraz z innymi grodami. Za Aleksandra starostowali tutaj Denys Mokosiéj i syn jego Wacko, potém jakiś kniaź Andrzej Aleksandrowicz (czy nie Sanguszko?), a po nim kolejno dwaj bracia Jerzy i Jan Michałowicze Montowtowicze. W 1533 roku Zygmunt I nadał Krzemieniec i okoliczne włości biskupowi wileńskiemu Janowi z książąt litewskich (synu Zygmunta i Jelniczanki Katarzyny), „który ten zamek i miasto Krzemieniec osadzać, fortyfikować i większą osadę przy nim zakładając był począł.” Gdy jednak przeniesiony został na katedrę poznańską w 1536 roku, Zygmunt I nadał starostwo krzemienieckie królowéj Bonie. „Że zamek nasz i przereczone miasto nasze Krzemieniec, wyraża przywilej donacyjny, niedoskonale jeszcze ugruntowane i ufortyfikowane zostawa do wstrzymania wszystkich insultów nieprzyjacielskich; najjaśniejsza księżna pani Bona z łaski Bożéj królowa polska, wielka księżna litewska, małżonka nasza najmilsza, o obronie jego i municyey staranie na się przyjęła, chcąc potomności po sobie pamiątkę zostawić wieczną; tenże zamek i miasto nasze Krzemieniec ze wsiami do niego należącemi, jako go nam niedawno ustąpiono, téż najjaśniejszój królowéj zapisujemy, dajemy i pozwalamy, aby tém lepiej i bezpieczniej o tego zamku osadzie,

miasta obronie i lepszym porządku, także pożytku radzić i myśleć mogła, dając moc i przyzwalając JKMości dla pożytku i pomnożenia dal-  
szego tegoż miasta, mieszczan i obywatelów miasta pomienionego, pra-  
wy i większemi wolnościami i swobodami, będących teraz i na potem,  
pomnażać i rozszerzać, jarmarki doroczne i targi tygodniowe, czasy  
i dni, któreby się sposobniejsze zdały stanowić, publikować i odprawować  
i wszystkie inne rzeczy stanowić i ordynować, zwłaszcza co do praw  
i wolności pomienionego miasta ściągając się i należeć będzie, obiecując  
słowem naszym królewskim, za nas i za sukcesorów naszych, iż przy-  
wileje JKMości, tym mieszczanom dane na cokolwiek i które będą da-  
wane, mocno trzymać, obserwować i wiecznie potwierdzone i zachowane  
mieć, tak jakby przez nas samych dane były, będziemy....” Ustęp ten  
z przywileju królewskiego widocznie okazuje, iż królowa Bona znacznie  
szersze miała prawa, jak inni dzierżawcy, a głównie, o czym już wspo-  
minaliśmy, w zakresie prawodawczym. Jednocześnie też „chcąc te do-  
bra nasze Krzemieniec, wyraża inny ustęp tegoż przywileju, w lepszą  
klubę albo porządek wprowadzić, gdyż w gębie prawie nieprzyjaciela krzy-  
ża świętego osadzeni są, zaczęta osadę szczodroblivością i łaską kró-  
lewską wesprzeć i pomnożyć chcąc, aby témpędzej tam się ludzie i to  
miasto, które przez nieprzyjaciela krzyża świętego spustoszone było,  
zamóźdz mogło i osiąść....” Zygmunt I rozszerza znacznie przywileje  
mieszczan, porównawszy w prerogatywach z głównymi miastami koron-  
nymi, pozwala na założenie cechów rzemieślniczych i rozliczne nadaje  
swobody i wolności, głównie w zakresie targów i handlu.

Biskup wileński rządząc Krzemieńcem zostawił dużo śladów gorli-  
wej swj działalności zmierzającej do wzmocnienia i ufortyfikowania tego  
grodu. Powznosił więc różne budowle, dawniejsze oporządził, wzmocnił  
mury, pokopał fosy i w dobrym stanie utrzymywał *strzelbę* zamkową.  
To też starostowie królowej Bony nie mieli już tu tyle pracy jak w Ba-  
rze, ale równie jak poprzedni dzierżawca, utrzymywali wszystko z pie-  
czą i staraniem. Kolejno namiestnikowali tutaj z ramienia królowej  
Bony: Stanisław Falczewski, Szczęsny Hercyk i Piotr Michałowicz Sie-  
maszko, a chwilowo przed Falczewskim zaraz po ustąpieniu księcia bi-  
skupa, jakiś Dachno, który zmarł jednak zaraz. Nie znamy nawet jego  
nazwiska, pobieżną tylko znalazłszy o nim wzmiankę. Był też czas,  
że Falczewski razem z Hercykiem administrowali starostwo krzemieniec-  
kie. Oprócz starostów stale trzymała tutaj Bona tak zwanych horod-  
niczych, których obowiązek ograniczał się zrazu na pilnowaniu robót  
około *horodni* zamkowych, a później szerszy miał zakres, gdy im po-  
wierzano dozór nad całym zamkiem i kierowanie robotami fortecznymi.  
W 1545 roku takim horodniczym krzemienieckim był Andrzej Kuniew-  
ski, a przed nim Gniewosz Jełowicki.

Mieszczanie krzemienieccy z dawnych czasów, jeszcze na mocy  
przywileju Swidrygiełły, rządili się prawem magdeburskim. Obecnie  
jak widzieliśmy Zygmunt I nowe dodał prerogatywy, a zarazem po-  
twierdził wszystkie wolności nadane miastu przez księcia Janusza bi-

skupa wileńskiego. Królowa zaś Bona troskliwa o dobrobyt miasta, przestrzegała, aby władza starościńska nie nadwęgzała samorządu miejskiego, aby cła, myta i inne opłaty tylko wedle słuszności i prawa były pobierane, a domy urzędników miejskich zupełnie uwolniła od wszystkich podatków. Również użyteczną uczyniła donacją, zakładając szpital miejski, który też hojnie uposażyła. Za te wszystkie dogodności, mieszczenie podzieleni na 31 dziesiętnictw, stawać musieli do obrony miasta, czasu trwogi i do poprawy miejscowego zamku i mostów. Dobrze jednak dźać im się musiało, bo wielu było chętnych do osiadania w Krzemieńcu. W 1545 roku, jak świadczy współczesny opis, byli tutaj Niemcy, Czesi, Lachy, Litwa i Ruś.

Podówczas z polecenia Zygmunta Augusta, wysłani byli na Wołyń dla zlustrowania zamków tamtejszych: Jerzy Falczewski biskup łucki i Lew Patkiewicz Tyszkiewicz, dziak, czyli pisarz królewski. Opisawszy zamki w Łucku i we Włodzimierzu, Tyszkiewicz sam już przybył do Krzemieńca w lipcu 1545 roku. Sporządzony wtedy szczegółowy opis zamku krzemienieckiego, najdokładniej wykazuje jak starannie utrzymywanym był ten zamek za rządów królowej Bony. Wprawdzie lustrator nie bardzo był zadowolony z przyjęcia, jakie tu znalazł. Urzędnicy królowej niechętnie zdawali mu sprawę ze swych czynności; uskarża się też Tyszkiewicz razy kilka, ale mimo widocznej niechęci z jego także strony, nie wiele mógł znaleźć powodów zażaleń na stan zamku. Podczas tej lustracji, starostował w Krzemieńcu Szczęsny Hercyk. Na żądanie Tyszkiewicza obesał on wszystkich powiatników krzemienieckich aby się zjawili przed posłańcem królewskim, ale mało który przyjechał, choć Tyszkiewicz cały tydzień czekał i sam na cztery strony rozsyłał listy po powiecie. Sam nawet horodniczy Andrzej Kuniewski nie przedstawił mu swych regestrów, i lustrator wzmiankując że powiatnicy zaniedbują poprawiać horodnie zamkowe, powiada, iż: „teraźniejszy horodniczy przez nieporadność swą nic zrobić nie może; ale należy przysłać umyślnie dwozanina hospodarskiego, któryby miał moc nie tylko *mniejsze* osoby, ale i starszych kniaziów, którzy się wyłamują od tych robót, przymuszać ku nim i grabić, a swawolnym i przeciwnym *imienia* odejmować.” I starosta także nie przedstawił wszystkich inwentarzów zamkowych, składając się, że pod tym względem nie otrzymał „*nauki*” od królowej, u której też złożone są najszczególowsze regestra. Wójt, burmistrze i rajcy nie stawili się również, powiadając iż nic nie mają do posłańca królewskiego, zalegając wyłącznie tylko od królowej. Z tych więc przyczyn opis Krzemieńca równie dokładnym nie jest, jak innych zamków wołyńskich, a rewizor niejednokrotnie wzmiankuje, iż czuć się daje w Krzemieńcu brak „groźnego i sprawnego urzędnika.” Wychwalając zaś poprzedniego starostę Falczewskiego, tak się wyraża o Hercyku: „a teraźniejszy starosta ni do czego człowiek i o nic nie dba, i nie tylko w mieście ale i w zamku i między poddanykami nie po staremu idzie wszystko.” Mimo przecież takiego sądu ogólnego o stanie rzeczy w Krzemieńcu, szczegó-

ły, które podaje lustracya, wręcz przeciwnie świadczą, wykazując że zamek krzemieniecki równie jak inne zamki w dzierzawach królowej Bony nader starannie był utrzymywany. Zazrzyjmy do tych szczegółów.

Zamek krzemieniecki z dawien dawna zbudowany był na tak wyniosłej i przepaścistej górze, że strzała puszczona z dołu, dosięgnąć nie mogła wierzchołka. Cały wymurowany był z kamienia, „opoki” jak mówiono. Jeden most łączył go tylko z miastem. Wokoło muru zamkowego było trzydzieści trzy *horodni*. Owe *horodnie* były to jakby wielkie izby murowane, oparte o główny mur wewnętrzny. Wszystkie włości powiatu (oprócz dalszych które przypisane były do bliższych im zameczków), każda miała swoją *horodnią*, którą utrzymywać musiała własnym nakładem, a czasu trwogi, to jest w razie najazdu nieprzyjaciół, składano tutaj kosztowniejsze sprzęty, co uchronić się dało przed najazdem, i już wszyscy wspólnie „*czynili odpór*” nieprzyjacielowi i bronili zamku. Kilka lat późniejsza rewizya zamku włodzimierskiego, mówiąc o *horodniach*, opisuje ogólnie po wszystkich zamkach przyjęty zwyczaj. W dniu świętego Jerzego wszystkie włości przypisane do zamku, zbierały się do *oprawy horodni*, która odbywała się pod dozorem urzędu starościńskiego, a pod wyłączną pilnością *horodniczego*, i póty ci *ludzie ziemiańscy* byli na robocie, póki wszystkie *horodnie* oprawionemi nie zostały. *Horodniczy* pobierał wtedy od każdej *horodni* po dwa grosze, po dwie kury i po dwa chleby. Niewątpliwie zwyczaj ten i w Krzemieńcu był przestrzegany. Lustrator królewski zastał tutaj owe *horodnie* w dobrym stanie, ośm tylko *niezarobionych*, to jest wymagających poprawy. Wież, czyli baszt było trzy w zamku krzemienieckim: jedna nad wrotami, to jest bramą zamkową, druga tak zwana *Czerlena*, trzecia nad nowym dworem. Biskup wileński, w ciągu trzechletnich swoich rządów tutaj, dokładał starań aby wzmocnić zamek, popodnosił więc mury i wybudował dziewięć spiżarni drewnianych dla *spiżowania zamku*, a gdy z ramienia Bony starostą krzemienieckim wyznaczony został Stanisław Falczewski, ten jeszcze więcej się przyczynił do zapewnienia środków obrony. Podwyższył więc wieże, dachy gontami pobił, postawił „*stępy kołowrotne* po niemiecku o sześciu tłuczkach” do robienia prochu, które tak lekkie były, że jeden człowiek mógł je poruszać, a co najważniejsza zaopatrzył zamek w wodę, porobiwszy wkoło blanków drewniane rury, które sprowadzały wodę deszczową do skrzyni murowanej, drzewem wyłożonej i smołą wyłanej. Pomysł ten był wielce użytecznym, bo zamek krzemieniecki jako *bezwodny*, jak się wyraża lustracya, najwięcej mógł cierpieć z tego powodu w razie oblężenia. *Strzelba* zamkowa była w dostatecznej liczbie i dobrze utrzymana. Na blankach stało sześć dział, naprzeciw „*szy zamkowej*,” na spiżarniach cztery działa, które broniły szy zamkowej i mostu, a cztery działa na nowym dworcu. Największe działo zwało się *piszczyk*, a wszystkich razem było dwadzieścia dziewięć (?), to jest sokołów 4, moździerz 2, falkonetów 22, hakownic gotowych do palby 10 z prochownicami i formami, rusznic 33. Co się zaś tyczy pro-

chów, saletry, siarki, kul i ołowiu, tak wielkie były zapasy, że sam lus-trator powiada, iż daleko więcej jak w Łucku lub Włodzimierzu i że mo-głoby wystarczyć na jakie dziesięć lub dwadzieścia zamków. Puszkarzy było trzech: Jan Polak i dwu Niemców: Matus i Hanus. Każdy z nich brał po dziesięć kóp groszy litewskich i po suknie na barwę, co wynosiło 12 kóp, które im dawano z dochodów wpływających z myta łuckiego.

Zamkowi urzędnicy i studzy królewscy następującą płacę pobie-rali, jak świadczy druga o lat kilka późniejsza rewizya. Ówczesny sta-rostwa Siemaszko (następca Hercyka), brał 100 kóp groszy, pleban zam-kowy 20, burgrabia Kołaczkowski 17, trzech puszkarzy po 12, cieśla 10, warcelny 3, klucznik, kucharz, piekarz, dwu stróżów do rąbania drew i wożenia wody po 3 kopy; oprócz tego wszyscy prawie mieli po-boczne dochody i daniny znacznie przewyższające całoroczną płacę.

Z całego tego opisu zamku krzemienieckiego widzimy, że staro-stwie królowej Bony nie robili oszczędności, gdy chodziło o poprawy przy zamku lub wzmocnienie środków obronnych, i jak w Barze, tak samo i w Krzemieńcu królowa pilnie przestrzegać musiała aby rozkazy jęj pod tym względem były wykonywane, tém bardziej, że obejmując to starostwo, przyjęła na siebie obowiązek fortyfikowania grodu. Zaj-rzmy teraz do gospodarki Bony po wsiach należących do starostwa.

W połowie wieku XVI, to jest za czasów rządu królowej Bony, powiat krzemieniecki daleko więcej jak inne pobliskie i dalsze powiaty był zaludnionym, mniej też tu było ziem pustych jak na odleglejszym Wołyniu, sięgającym Kijowszczyzny, a ani porównać nawet ze staro-stwem barskiem, które świeżo razy kilka było spustoszonem; mniej też tutaj było pracy i zajęć kolonizacyjnych. Z dawien dawna powiat krzemieniecki był gniazdem mnóstwa rodzin kniazów i szlachty wo-łyńskiej. Byli tu Wiśniowieccy, Zbarażscy, Denyskowie, Czetwertyńscy, Dederkałowie, Ledóchowscy, Zasławscy, Jełowiccy, Sieniutowie, Szumscy, Szymbarsy i t. d. Nie zliczyłyby tych zastępów szlachty krze-mienieckiej, które nam nowe źródła wykrywają. A wszystkie te rody siedziały na własnej jęj rodowej ziemi, wszyscy prawie trzymali swe włości prawem dziedzicznem, były one ich *ojeczyzną, dziadzizną i pra-dziadzizną* a nie *imiona wysłużone*. Jako dziedziców tych włości, obo-wiązek obrony kraju łączył ich wprawdzie z zamkiem i władzą staro-sty, który w swoim powiecie był naczelnikiem siły zbrojnej. Inaczej się rzecz miała z włościami rozdawanymi prawem lennem, dożywotnie lub w zastaw; tutaj każdy dzierżawca był warunkowym posiadaczem dzierżawy, obowiązany do wielu powinności oprócz służby zamkowej; i tak: do dawania podwód i stancyi, do oprawy zamku i innych tęj na-tury usług. Owa jednak warunkowa posiadłość była także zdobyta zasługą. To też w rzędzie dożywotnich dzierżawców powiatu krzemie-nieckiego, osiadłych na ziemiach królewskich, spotykamy imiona naj-znakomitszych podówczas rodzin miejscowych, które nieraz oprócz te-go ogromne miały obszary ziem własnych dziedzicznych.

Włości należących bezpośrednio do zamku krzemienieckiego, to jest składających starostwo, lustracya 1545 roku spisuje ośmnaście; na nichto gospodarzyli w imieniu królowej jej namiestnicy. Nie wszystkie przecież zastała Bona, trzy z nich, a mianowicie Woronowce, Ośniki i Białozerkę sama na nowo osadziła ludźmi, którzy odsiadywali kilkunastoletnią *wolę* czyli *słobodę*. Żadnych też jeszcze królowa nie miała ztąd wpływów. Rzecz wielce ciekawa, owe początki osad wiejskich. Zrazu też ludność była nie wielką, w Białozerce dwu tylko ludzi siedziało, w Woronówcach nad rzeczką Żerdzią za Horyniem było dwudziestu a w Ośnikach nad tą rzeczką tylko czternastu. Być atoli może, iż tutaj, jak w innych miejscowościach Wołynia, co poświadczają inwentarze z XVI wieku, owi *ludzie* zapisani we włościach, przedstawiali rodziny, czasem dość liczne. Zdarzało się także, iż dwu lub trzech ludzi brało na *słobodę* pewne pustkowie, a że sami nie byli w stanie go obrobić, przyjmowali tak zwanych towarzyszy, którzy nie wyszczególniają się po inwentarzach, chyba w bardzo detalicznych. Z innych włości, liczących się do starostwa krzemienieckiego, niektóre także nabyte lub *przeferymarczone* były przez samą już królową Bonę. I tak np.: włości Kołosowa i Szpikołosy nabyła królowa przez zamianę za inną włość Horodyszczę u Jacka Zabokrzyckiego, powietnika krzemienieckiego. Lepesówkę największą włość, bo liczącą sześćdziesiąciu ludzi, kupiła u jakiegoś Woryskiego. Wszystkie razem (ośmnaście), miały 244 ludzi, a *ślug putnych* 31, oprócz ludzi z dworca Kokorewskiego. Z włości tych znaczne wpływały dochody. Ludzie ciągle byli obowiązani wiosną trzy dni orać, jesienią także dni trzy, a poorane ziemie pozasiewać zbożem zamkowem, *zżąć*, zemleć i zwieść do zamku. Plony coroczne znaczne czyniły dochody, im więcej było osadników, tём więcej ziemi uprawiano, a ziemi było zawsze pod dostatkiem, zaledwie jaką część setną całych obszarów krajano w skiby i uprawiano. Po siołach byli jeszcze tak zwani *dannicy*, którzy brali ziemię na czynsz z góry oznaczony, lub też składali *podaczki* czyli daniny w naturze. We włości Żołobach było dwu danników, z tych jeden dawał na zamek wiadro miodu praśnego, drugi dwa siodła. W dworcu Wilia było także dwu danników, jeden z nich płacił na zamek pół kopy groszy, a drugi całą kopę; widocznie stosownie do ilości zajętego gruntu. W Demkowcach także dwu danników dających po kopie groszy, po dwie gęsi i po dwie kury. *Śludzy putni*, których było 31 we włościach krzemienieckich, zwani w innych okolicach *bojarami putnymi*, żadnych robót nie odbywali, a tylko *śluzyli koniem*, to jest jeździli na posyłki, na każde zapotrzebowanie zamku. Niektórzy z nich dawali oprócz tego pewne daniny. W Kołosowie i Szpikołosach *śludzy putni* dawali na zamek dwudziestą owcę co roku. Ogółem z powyższych włości przychodziło na zamek gołego płatu pieniężnego 14 kóp groszy, oprócz tego wiadro miodu praśnego, dwa siodła, 19 miarek owsa, oprócz *paszni* (to jest dochodu z pól pachanych czyli ornych), młynów, stawów spustnych i innych drobnych *podawzek*, oraz oprócz dochodów z dwor-

ca Kokorewskiego. Stawów wielkich i małych było dziesięć, młynów tyleż, wydzierzawiano je rocznie. Zresztą lustrator nie podaje cyfry ogólnej dochodów, bo szczegółowe inwentarze i rejestra znajdować się miały w skarbcu królowej.

Te ciekawe statystyczne obliczenia, które czerpiemy z lustracyi Krzemieńca, nader są ważne dla wykrycia współczesnych stosunków ludności osiadłej w wieku XVI na ziemiach wołyńskich. Widzimy tu zarazem, iż osadnicy na ziemiach królewskich ku mniejszym powinnościom, obowiązani byli, jak osiadający na ziemiach prywatnych. Powyższa lustracya mówi tylko o robotach „ludzi ciągłych” w starostwie krzemienieckim. Współcześnie zaś, tacyż sami ludzie ciągli na ziemiach „kniażskich i pańskich” oprócz zwykłej robocizny, płacili czynsze i rozmaite składali daniny. Tak np. we włościach połońskich, które należały do Krzysztofa Radziwiłła hetmana wielkiego litewskiego, (jak świadczy inwentarz, wprawdzie już z 1598 roku) wszyscy poddani, z jednej włóki płacili 2 kopy i 40 groszy, i „żyta dziakielnego z włóki swęj po pół macy łuckiej miary w strych mierząc” rozsiał i zabronować mają. Oprócz tego inne roboty polowe odprawiali, a na żniwa wszystkie włości „*gwalthem*” się zbierały. Dalej każdy mający włokę ziemi musiał przywieźć 4 wozy dREW z gajów książęcych do dworu, sianożęcie kosić i w sterty siano składać, straż kolejną dawać do dworu, podwodę raz na rok na mil 20, „*gwalty*” do naprawiania grobel ile będzie potrzeba, wreszcie z 10 włók jedną jałowicę i barana, a z każdej włóki geś, kur 2, jaj 20 i wóz siana, a urzędnikom książęcym drobne opłaty i daniny także wyszczególnione. Takie były mniej więcej powinności osadników wołyńskich w XVI wieku; wprawdzie jednej stałej normy nie było, ale w kilku znanych inwentarzach nie wielkie znajdujemy różnice, wynikające głównie z gatunku ziemi i zwyczajów miejscowych. Okolice leśne i stepowe nie mogły mieć jednostajnych przepisów, jak np. Wołyń i Podole a leśne i mniej żyzne ziemie owruckie i kowelskie. Starostwo krzemienieckie należało do właściwego Wołynia, a przecież osadnicy lokowani tutaj na ziemiach królewskich nic nie płacili, tylko odbywali oznaczoną robociznę, co zapewniało im korzyści znaczniejsze, chyba że lustrator nie mając inwentarzy, nie znał rzeczywistych powinności poddanych a zapisał to tylko co widział.

Oprócz powyższej wspomnianych siół, należała jeszcze do zamku krzemienieckiego ogromna *wołość Kuzmińska*. Dziewięć siół należących do niej nadał był stary gospodar, to jest król Zygmunt I księciu Ostrogskiemu, innych jedenaście z zamczkiem trzymał książę Kuźma Zasławski, ten sam do którego Bona posyłała z Baru aby jej darował żyta i przywiózł na zamek barski. Włości bojarskich było tu trzydzieści trzy a szesnaście pustych sieliszcz, na których pierwój stały już osady, lecz w skutek najazdów zniszczone zostały. Wszystkich zaś razem włości zamkowych, wysłużonych, bojarskich i spustoszonych, to jest nie zaludnionych było 73, a w nich 5 wielkich stawów po większej części na Stuczy (w Kuźminie, Krasidłowie, Czerleniewie, Rosołowcach i Czerniatynie) i 3 młyny o pięciu kołach. Co się tycze dochodów

i płatów, któreby z tych włości szły na królowę, „niczego dowiedzieć się nie mogłem, pisze Tyszkiewicz—powiadają iż wszystkie pożytki owęj włości bierze Siemaszko.” Ten sam zapewne który po Hercyku starostował w Krzemieńcu, a teraz zawiadywał włością kuźmińska. Ale pod tym względem mylić się musiał lustrator, bo królowa Bona dobrze strzegła swoich dochodów, a starostowie jęj i namiestnicy stosować się musieli do najściślejszych instrukcyi.

Lasy, w które Wołyń tak obfitował w wieku XVI nie przedstawiały przecież wielkich źródeł dochodów, chyba jeśli położone były nad spławnemi rzekami, przez co ułatwiony był zbył i transport materyałów leśnych. Miasta i wsie brały darmo drzewo opałowe i budulcove w poblizkich puszczech królewskich, ale tak zwane „zwierine łowiszcza” szły zawsze do zamku. Lasy pełne były dzikiego zwierzaja; współczesne lustracye i opisy różnych okolic Wołynia, mówią o wielkiej ilości żubrów, niedźwiedzi, łosi, jeleni, wilków, bobrów i t. d. Polowania były wyłączną własnością namiestników, i znaczne przedstawiały korzyści, a w wielu nawet miejscach osadnicy na ziemiach królewskich obowiązani byli „w łowy i na jeziora i na bobrowe gony chodzić.” Żubrzyzna zwykle solona i beczkami rozwożona, była ulubionym przysmakiem gastronomów XVI wieku, i często na stołach królewskich podawana. Jeszcze Aleksander posyłał beczki żubrzojny dla swęj narzeczonej Heleny Iwanownęj; Zygmunt August obdarzał nią także panów polskich i litewskich. Futra zwierzaja bitego po lasach, stanowiły wówczas ważny przedmiot handlu, a przedewszystkiem owe tak wysoko cennie skóry bobrowe. Arendarz barski oprócz płatu dzierzawnego, miał obowiązek dodawania pewnej ilości lisich i kunich skórek dla królowęj; niewątpliwie też starostwo krzemienieckie jako więcj lesiste, obfitszy tego rodzaju podatek składać musiało.

O dochodach miejskich z Krzemieńca nie wspomina lustracya, a przecież znaczne być musiały. Myta wydzierżawione były co roku, posiadamy nawet kilka odnośnych dokumentów, które przytaczamy. Mytnikiem krzemienieckim za czasów Bony był najpierw Iwan Barzobohaty a po nim mieszczanin krzemieniecki Michał Skujbeda. Za 300 kóp groszy litewskich trzymał on myta wozowe, grobelne, słodowe i browarne, oraz cztery młyny. Z rachunku zrobionego z tymże Skujbedą w styczniu w 1551 r., widzimy iż był on dostarczycielem różnych produktów <sup>1)</sup>, za które potrącono należne odeń pieniądze, i wydano mu następcne pokwitowanie:

<sup>1)</sup> Ratio facta cum Nobili Michaele Skuybeda de tholoneo Krzemienecensi Serenissimae Majestatis Reginalis ad ultimam Decembris in anno proximo praeterito 1550 finiti et terminati per annum unum integrum. Cuius summa iuxta arendam Suae Majestatis facit Lith(uanicales) Soxag(onas) 300.

Ad cuius Summae rationem:

Primo in manus Capitanci Krzemienecensis, Generosi Petri Siemaszkowicz, dedit Lithuanicales Sexagenas 210. Reproduxit recognitiones ejusdom.



„Bona, i t. d. Oznajmujemy tym listem naszym komu wiedzieć potrzeba, iż mytnik nasz krzemieniecki Michał Skujbeda, ze wszystkich pożytków mytnych, korzennych, młynowych i innych, które wedle arendy naszej trzymał w roku przeszłym, który się skończył o Nowym Roku, w skarbie naszym uczynił dostateczną liczbę, to jest jak w arendzie naszej opisano było, iż z tych wszystkich dochodów miał do skarbu naszego w ciągu roku dać trzysta kop groszy litewskich na liczbę litewską, jawnie okazał w skarbie naszym, iż z arendy tych pożytków naszych, dał za ten rok do rąk starosty naszego krzemienieckiego, pana Piotra Michałowicza Siemaszki, dwieście trzydzieści kop groszy, na co kwit jego pokładał i w skarbie naszym zostawił, a do tego tenże mytnik nasz z rozkazania naszego ku pilnej potrzebie naszej cynamonu, imbiru, gwoździków i inne rzeczy do skarbu naszego dał i pewny tego rachunek uczynił, za co wszystko pieniędzy gotowych sto kóp i dwie kopy groszy i dwadzieścia cztery grosze na liczbę litewską wydał, tak że wszystko w jedną sumę złożywszy, zostaliśmy winni nad arendę temu mytnikowi naszemu 20 kóp groszy i 24 grosze. ....I tak tego mytnika naszego Michała Skujbedę kwitujemy i wolnym czynimy a te 20 kop groszy i 24 grosze na tym roku stracić sobie ma i t. d. Pis. w Warszawie 1551 r., stycznia 14 dzień. Ind. 9.“

Jednocześnie wydany został Skujbedzie kontrakt dzierżawy na rok następny, który w przekładzie z języka ruskiego w całości tu przytaczamy, zawiera bowiem szczegóły, świadczące o owęj drobiazgowęj zapobiegliwości królowej Bony:

Idem emit cynamoni libras 40, per grossos polonicales 37 $\frac{1}{2}$  facit hoc totum florenos polonicales 50.

Idem emit gariofoliorum libras, 40 per grossos polonicales 37 $\frac{1}{2}$  facit polonicales florenos 50.

Idem zinziberis emit libras, 40, per grossos polonicales 54 facit in toto polonicos florenos 32.

Summa facit pro istis aromatibus florenos 132.

Idem emit serici rubri libras 15, viridis libras tres, albi libram unam, per florenos 4, facit Pol. florenos 76.

Idem emit serici nigri libras 16, per florenos 3, in toto facit polonicos florenos 48.

Summa facit pro serico Pol. flor. 124.

Summa facit omnium expositorum pro aromatibus et serico in toto polonicales florenos 256, qui ad Lithuanicalem nunc reducti faciunt sexagenas 102/24.

Summa itaque omnium eius istorum facit in toto Lithu. 312/24.

Plus ultra Arendam exposuit Sexagenas 12/24 quam pecuniam ex arenda Anni praesentis 1551, sibi defalcare dedebit iuxta quietationem Maicestatis Suae illi datam.

„Bona z Bożej Miłości i t. d.

„Oznajmujemy tym listem naszym wiedzieć należy: iż pierw-  
wój tego pożytki nasze zamku Krzemienieckiego, to jest, myta wozowe,  
które wedle starodawnego zwyczaju i na zwykłych miejscach do tego  
czasu ku zamku naszemu krzemienieckiemu przysłuchiwały i brane  
były, do tego grobelne w Sapynowie i Dunajewie, także miarki sło-  
dowe miejskie, browary miejskie i cztery młyny na rzece Ikwie, to jest  
kokorewski, dunajewski, podselecki i tapynowski, i karczmy... w Koko-  
rewie i w Dunajowie, zaprzędaliśmy byli i zaarendowali mieszczanino-  
wi naszemu krzemienieckiemu Michałowi Skujbedzie na ten przeszły  
rok aż do ostatniego dnia miesiąca grudnia, roku przeszłego 1550, za  
trzysta kóp groszy liczby litewskiej, jakoż ten Skujbeda te wszystkie  
pożytki powyżej pisane według téj arendy naszej do tego czasu trzyma  
i one do rąk swoich wybiera. I bił nam czołem ten Skujbeda, aże-  
byśmy znowu te wszystkie pożytki w pierwszej naszej arendzie opisa-  
ne, na rok terażniejszy który się zaczął od pierwszego dnia miesiąca  
stycznia od Narodzenia Bożego 1551 r. aż do ostatniego dnia miesią-  
ca grudnia, który się w tym r. 1551 skończy, za też samą sumę pie-  
niędzy, za trzysta kóp groszy na liczbę litewską jemu zaprzędali i za-  
arendowali. I my na to czołem bicie jego to uczyniliśmy, i te wszystkie  
dochody nasze zamku krzemienieckiego w pierwszej arendzie opisane,  
za też samą sumę trzysta kóp groszy litewskiej liczby, na zupełny i ca-  
ły rok, który się pisze 1551 r. zaprzędaliśmy, i tym listem naszym za-  
przedajemy i arendujemy. I trzymać ma ten Michał Skujbeda wszyst-  
kie pożytki nasze zamku krzemienieckiego, to jest myto wozowe, które  
wedle dawnego zwyczaju na zwykłych miejscach jest brane, także groble  
w Sapinowie i w Dunajowie, do tego miarki słodowe miejskie i browar-  
ne, młyny na rzece Ikwie; kokorewski, dunajowski, polesecki i sapy-  
nowski i karczmy poselskie (?) w Kokorewie i Dunajowie, i insze  
wszystkie pożytki które w pierwszej naszej arendzie są szczegółowo  
opisane, i wybierać ma te pożytki i niemi zarządzać, a nam do skarbu  
naszego tę sumę pieniędzy trzysta kóp groszy liczby litewskiej w pew-  
ne terminu (roki), które w pierwszej arendzie naszej są opisane, do rąk  
starosty naszego krzemienieckiego płacić będzie powinien. A wszyst-  
kich sług w browarach i we młynach innych, którzy tych pożytków  
strzegą i doglądają, sam groszem i nakładem swoim chować ma i po-  
winien. A co się tycze młynów, w tych on ku pożytku swojemu, ile  
zechce tyle kół przyczynić może, z którymi kołami znowu po wytrzy-  
maniu arendy, te młyny i koła przyczynione bez żadnej zapłaty ma  
zwrócić. A kotły w browarach, starosta nasz krzemieniecki groszem  
i nakładem naszym ma poprawić, albo i sam Skujbeda za wiadomo-  
ścią i dozorem starosty, naszym groszem ma oprawić, i nakład ten, któ-  
ry na kotły browarne wyłoży, odjęty i potracony będzie z téj sumy,  
która w arendzie jest opisana, i te naczynia poprawione, powinien  
Skujbeda po wytrzymaniu arendy zdać. Urzędnicy i rajcy miejscy  
i niektórzy słudzy nasi zamkowi, którzy listami naszymi są wyzwoleni  
od dawania miarek słodowych, tylko na swoją domową potrzebę a nie

na szynki piwo warzyć mają bez dawania miarki słodowej i płacenia browarszczyzny, a jeśliby który z nich piwo zwarzywszy na swoją domową potrzebę, dawał na wyszynk, to takowe piwo jako przemytne ma być zabierane w połowie na zamek, a w połowie na mytnika. A bednarz nasz sapynowski tak jak przedtém poprawiać ma naczynia w browarze, a za to od czynszu i od płatu naszego wolnym być ma. Około spustów i popsucia młynów, mytnik ten zachowanym być ma wedle pierwszej arendy naszej, a mielników wszystkich w tych młynach arendowych w mocy i w sprawie swojej mieć będzie i sądzić za występki i wedle prawa ich karać. I przykazujemy staroście naszemu krzemienieckiemu panu Piotrowi Michałowiczowi Siemaszce, ażebyś tego Michała Skujbedę według tego postanowienia naszego i pierwszej arendy naszej, przy tych wszystkich pożytkach naszych, zamkowych w pierwszej arendzie poszczególnionych, spokojnie zachował, i jemu ku pożytku jego brać i sprawować niemi dopuścić, a pieniądze z téj arendy w czas i termin (rok), oznaczone w pierwszej arendzie, abyś z rąk jego do skarbu naszego brał, a na to co u niego weźmiesz, swój kwit jemu dawał, i we wszystkiem, abyś mu pomoc i obronę dawał około wybierania tych pożytków naszych, tak jak na twój urząd przynależy, i na to daliśmy temu Skujbedzie ten nasz list z naszą pieczęcią. Pisano w Warszawie i t. d.“

Dokument ten poświadcza to, o czém nieraz już wspominaliśmy, jak o wszystkich najdrobniejszych szczegółach myślała królowa Bona, jak wszystko przez siebie robiła, jak ograniczonym być musiał zakres władzy jój starostów, kiedy takie nawet kontrakta dzierżawcze sama wydawała i podpisywała. Oprócz powyższych dochodów z ceł, myt, młynów, stawów i browarów, opłaty od domów miejskich, ogrodów i t. d., nie mówiąc o wielu niestałych dochodach (wierzchowszczyzna, kopszczyzna, lice, kunice i wiele innych), znaczne przedstawiać miały wpływy. Nie mając jednak dokładnych szczegółów w źródłach naszych, poprzestajemy na tém cośmy już zebrali, zaznaczywszy tylko, iż starostwo krzemienieckie było jedném z intratniejszych. Długo téż żyły w Krzemieńcu rozliczne podania o królowej Bonie. Kościół farny wzniesiony z funduszów które na ten cel przeznaczyła, najtrwalszą był dotąd pamiątką. W najbliższej okolicy Krzemieńca była wioska zwana Bonówka. Góra na której stał zamek dotąd się nazywa górą królowej Bony, a miejscowe przysłowia szlacheckie i tradycje ludowe uwieczniły jój pamięć.

Trzecią dzierżawę królowej Bony na kresach stanowił Kowel nad Turą, położony na północno zachodnich krańcach Wołynia. Posiadłość ta zdawna była własnością książąt Sanguszków, którzy téż od posiadłości téj pisali się Sanguszkami Kowelskimi. Jeszcze w pierwszych latach XVI stulecia, Kowel był wiejską tylko osadą i dopiero przywilej Zygmunta I z 1518 r. pozwala, aby książę Wasyl Michałowicz Sanguszko, starosta łucki i marszałek hospodarski, ufundował to miasto, zaprowadził prawo magdeburskie, targi i jarmarki. Niedługo jednak

później ów właściciel Kowla, *prze Frymarchy* z królową Boną posiadłość tę za inne majątki: Smolany, Obolec i Horwol, gdzie też następcy jego założyli (w początkach dopiero XVII stulecia), rezydencją swoją Biały Kowel, z którego pisać się poczeli. Data tego frymarku jest nie znana, zawsze jednak miała miejsce w piątym dziesiątku tego wieku, bo najdawniejsze znane nam przywileje Bony dla Kowla sięgają zaledwie 1547 r.

Starostwo kowelskie składało się z głównego miasta Kowla z zamkiem, dwu miasteczek: Wyżwy także z zameczkiem i Milanowicz z dworcem, oraz dwudziestu ośmiu włości: Hrydkowicze, Szajno, Choteszewo, Niujno, Krasna Wola, Moszczena, Dębowa, Obłapy, Werbka, Hojszyno, Bachowo, Skulin, Steble, Mostyszczyna, Werchi, Stara Wyżwa, Wola, Paryduby, Sieliszczyna, Godewicze, Zielowo, Turowicze i Kleweczek. Wszystkie te wsie i miasteczka dotąd istnieją, i przed dwudziestu pięciu laty liczyły 9000 mężkich mieszkańców. Taki był skład starostwa kowelskiego, gdy po ustąpieniu Bony, Zygmunt August oddawał je w dożywotnią dzierżawę wychodźcy z Moskwy Andrzejowi Kurbskiemu. Ale wątpliwość nie ulega, że nie zastała tu królowa Bona tak licznych osad. Sam Kowel zaledwie od lat trzydziestu uzyskał był miano miasta. Wyżwa dopiero osadzaną być zaczęła przez księcia Wasyla Sanguszkę, a gdy w 1521 r. tenże książę wydawał przywilej erekcyjny dla tutejszej cerkwi, Wyżwa nie była jeszcze miastem, które dopiero przez królową Bonę ostatecznie zostało założone. Milanowicze była to mała i nieludna osada, która się podniosła dopiero po otrzymaniu ustawy z 1550 r., zapewniającej jej znaczne korzyści z targów i handlu. Włości kowelskie tak samo zapewne jak i miasteczka podnosić się i zaludniać musiały pod zarządem królowej Bony; gorliwość z jaką wspierała kolonizacją w innych dzierżawach, przypuszczać każę, w braku pewnych danych, że i tutaj tak samo jak w okolicach Krzemieńca lub Baru, namiestnicy Bony dokładać musieli usiłowań, aby zaludnić okoliczne pustkowia.

Pierwszym starostą kowelskim z ramienia Bony był Bohdan Michałowicz Siemaszko, brat Piotra starosty krzemienieckiego (a nie stryj jego jak pisał Niesiecki). Szumnie tytułował on się starostą kowelskim, wyżwowskim i milanowskim, choć te ostatnie dwie osady były dopiero osadzone ludźmi, sama też Bona tak go nazywa w swoich pismach. Po Siemaszce przez lat wiele rządził Kowelszczyzną Franciszek Falczewski. Rodzina Falczewskich bardzo zasłużoną była u królowej, i miała jej łaski zaskarbić wierną służbę w jej dzierżawach kresowych. Biskup łucki Jerzy był zawsze gorliwym stronnikiem Bony, a trzech Falczewskich (jak się zdaje rodzonych braci), osadziła królowa na swych starostwach: Franciszka na Kowlu, Stanisława na Krzemieńcu, a trzeciego nieznanego nam z imienia na Pińsku i Kobryniu. Żona tego ostatniego, pani starościna kobryńska, wyszukała w bagnach poleskich i posłała w darze królowej ową czarownicę *wielkiego ożoga*, która tyle wrzawy narobiła i na czas długi zakłóciła spokój młodemu królowi.

Jak zwykle tak i tutaj królowa wchodziła w posiadanie starostwa, wydając rozliczne przywileje dla miasta (12 sierpnia 1547 roku). Potwierdziła więc prawo magdeburskie mieszczanom kowelskim i wszystkie ich swobody. Pozwoliła aby bez żadnych opłat przerzeczenni mieszczenie skupowali po wsiach należących do starostwa i sprowadzali do miasta woski, chmiele, miody i mydła. Dozwoliła im wybierania dziesięciny od derewni to jest drzewa i ryb, przywożonych na targi kowelskie i t. d. Za to jednak zastrzegła sobie, aby wszyscy bez wyjątku mieszczenie, nawet żydzi uprawiali parkany miejskie i groble. Następnego roku (1548), aby podnieść osadę Wyżwy, „aby się one miasto lepiej osadzało i ku pożytkowi naszemu rozszerzało;“ Bona zaleca staroście kowelskiemu, aby rozmaite nadał wolności nowemu miastu, ale zarazem, aby wybierać począł opłaty skarbowe i miejskie. Na żądanie zaś królowej sam Zygmunt August wydaje przywilej na targi i jarmarki. Mało co później w 1553 r., Bona, przywilejem wydanym w Łomży, pozwala mieszczanom Wyżwy, aby dochody z karczmy, z mostu, z woskobójni i z podróżnego wybierali i obracali, „na pospolity pożytek miejski,“ zawsze jednak za wiadomością starosty. W dalszych latach Kowel jeszcze szersze uzyskał przywileje. Urzędnicy miejscy, wszyscy bez wyjątku uwolnieni zostali od czynszów i podatków a rzemieślnicy otrzymali prawo (1556 r.) założenia cechów na wzór innych miast wołyńskich. Zygmunt August potwierdził te wszystkie przywileje i osobno zalecał Franciszkowi Falczewskiemu, aby we wszystkiem stosował się do rozporządzeń i listów królowej Bony, i sam nie czynił nadużyć, ani tego pozwolił czynić swojemu podstaroście Stanisławowi Sabalińskiemu i innym sługom swoim.

Dość ważne są ustawy królowej Bony dla żydów kowelskich. Dawniej, za książąt Sanguszków, żydzi tutejsi płacili podatki rozlicznymi produktami, dawali więc pieprz, kołody, wielkanocne, łaziebszczyznę i łój. Niedogodnym to dla nich było, bo zapewne owe produkta wysokich cyfr dosięgać musiały; bili więc czołem królowej, aby „te płaty“ z nich zdjęła, a oznaczyła pewien czynsz „roczysty.“ Nie obeszło się zapewne w tej sprawie bez jakichś jednorazowych, a może dość znacznych ze strony żydów wkładów. Dość, że z dziwną powolnością Bona przychyliła się zaraz do ich prośby i rozkazała, aby odtąd zamiast powyższych danin, żydzi kowelscy płacili po jednym czerwonym złotym z domu, a komornicy żydowscy po pół czerwonego złotego, dom tyłko rabina miał być wolnym od podatków. Za to zaś żydzi ponosić mieli wszystkie powinności i ciężary innych mieszczan. Opłata ta wyznaczona od żydów, niewątpliwie dość znaczną była, szczególniej w porównaniu z opłatami innych mieszczan, które wynosiły zaledwo po groszy kilkanaście z domu, ale dla żydów nigdy zawielką: ów bowiem czerwony złoty otwierał im sposobność wykupienia się we wszystkie interesa miejskie, które, rzecz naturalna, rychło pod swój monopol zagarnąć mieli. W owęj już porze potęga żydostwa stawała się coraz bardziej uciążliwą i zgubną dla kraju, a co najważniejsza, owo złoto, które tak zręcznie ściągali do rąk swoich, otwierało im

coraz to szersze pole nadużyć i ucisków <sup>1)</sup>. W XVI wieku żydzi zdobywali na krésach coraz to większe znaczenie, które przecież zaznaczoném nie jest w dziejach Izraela, rozsiadającego się na ziemiach naszych. Już to przynależny należy, że sam Zygmunt I otwierał im furtkę do eksploatacyi krésowych mieszkańców. Obarczony długami Aleksandra, Zygmunt I w chwili wstąpienia na tron uciekał się do nadzwyczajnych środków, aby jaki taki ład przywrócić w wyniszczonym skarbie państwa. Znane są usiłowania jego w tym zakresie na sejmie koronacyjnym i innych, ale nie nam historia nie mówi o owych tysiącnych długach i dłużkach króla u lichwiarzy żydowskich. Dopiero nowe źródła rzucają trochę światła, pokazując nam, jak tłumy tych żydów obejmują w dzierżawy cła, myta i t. p., dla wybierania swoich należności. I tak: jacyś żydzi Szamak i Kożka biorą w 1507 roku myta łuckie na wytrzymanie długu, który mają u Bonera. Król ma rachunki z Bonerem, potrąca więc w ten sposób własne długi, a może owi wierzyciele wołyńscy pożyczali królowi za poręczeniem tylko Bonera, co się nieraz zdarzało. Tegoż roku i w tenże sam sposób inny żyd Szuman obejmuje myta kijowskie na lat dwa. I tak rok rocznie przybywa nowych mytników żydowskich. W Łucku gospodarzą: Awram Szachnowicz i Mordas, we Włodzimierzu żyd Majko, a jakiś Michel trzyma myta woskownicze na trzech komorach: w Łucku, Włodzimierzu i Brześciu. Dobre też robić tu musi interesa, i wkrótce staje się potęgą finansową, otwiera też swą kasę królowi; Zygmunt każe mu przyjmować dochody od innych mytników: łuckich, włodzimierskich, brzeskich i drohickich, a Michel przyjmuje i wypłaca kwity królewskie, poczem sam się rachuje z królem, biorąc zapewne sowitą prowizyą. W 1522 roku tenże sam Michel uzyskuje przywilej, pozwalający mu kupować u rotmistrzów, dziesiętników i służebnych ich zastugi, które wypłacać mu się będą na środopocie, tak jak zwykle wypłaca się służebnym, połowę gotowemi pieniędzmi, a połowę suknem, z którego część trzecią spuścić ma królowi. Widocznie na operacyi tej Michel wielkie mieć musiał zyski, kiedy takie czynił ze swój strony ustępstwo. Powoli dochodzą żydzi do takiego znaczenia w województwach krésowych, że w ostatnich latach XVI wieku ogromne biorą dzierżawy. Łokacze i liczne okoliczne włości w powiecie włodzimierskim, należące do kniazia Prońskiego, kasztelana trockiego, arendują żydzi, równie jak ogromne posiadłości ks. Grzegorza Sanguszki Koszyrskiego, wchodząc w te dzierżawy z pełnemi prawami właścicieli, co najzgubniej oddziaływa na stan ludności wiejskiej. Mnóstwo też wiek XVI dostarcza nam spraw wytaczanych żydom o namawianie i przymuszanie chrześcian do przechodzenia na wiarę żydowską, o kradzież dzieci chrześciańskich i t. p. Synowie Izraela, nie zadawalniając się złotem,

<sup>1)</sup> Zapiski sądowe (*Star. Pom. Pr. Pol.*) Helola co do wieku XV, dla dziejów małopolskich żydów są obfitým źródłem, Co do Ukrainy XVII i XVIII wieku, por. szkio dr. Antoniego J. w *Przewod. Nauk. i Lit.*, 1877, V, str. 34, „Żydzi na kresach.”

które umieją łowić, szukają środków utrwalenia i rozszerzenia swojego zakonu. Powyżej cytowane przywileje, które stanowią zaledwie małą częśćkę praw, służących pod tę porę żydom na krésach, ułatwiają im drogę do łatwych zysków i spekulacyi, do zuchwałego rozwielenia się na ziemiach polskich; władza pobbłażać musi, bo potrzebuje ich pomocy w sprawach piéniężnych. Rychło téż rozsiadają się po wsiach i miasteczkach, przyczyniając się więcej, niżby zdawać się mogło do późniejszych klęsk krésowego kraju.

Odbiegliśmy cokolwiek od przedmiotu, aby wykazać, czém byli w owéj porze żydzi na krésach. Jak wszędzie, tak i w Kowlu, umiejętnie zagarnęli w swe ręce wszystkie interesa miasta, skutkiem właśnie owego przywileju Bony, który usuwając dawniejsze zwyczaje, więcej dla nich uciążliwe, porównywał ich poniekąd z innymi mieszczanami. Rychło jednak skargi chrześciańskich mieszkańców Kowla wymogły u królowej nowe rozporządzenie w sprawie żydów. Dekretem z r. 1556 Bona nakazywała, aby żydzi wynieśli się z rynku, a domy swoje stawiali na jednéj tylko ulicy Żydowskiej. Czy rozkaz ten był spełnionym, źródła nasze nie mówią; w każdym jednak razie, chociażby nawet wynieśli się z miasta, nie wynieśli swych wpływów i knozań.

O gospodarce królowej Bony na włościach kowelskich, niczém nas nie objaśniają przechowane źródła; tak samo jednak jak w innych dzierżawach czynsze, czyli tak zwane „gołe płaty“ i daniny, stanowiły tu zapewne znaczne dochody, w lokowaniu na ziemiach królewskich, osadnicy uprawiać musieli grunta należące do zamku. A że Kowel leżał w okolicy lesistój, więc przemysł leśny był może główném źródłem dochodów, témbardziej, że nieopodal w stronie zachodniéj od starostwa płynący Bug, ułatwiał spławianie drzewa budulcowego w dalekie strony, aż do Gdańska i Elbląga. Łowy dzikiego zwierz, bartnictwo, potażarnie i t. p., to wszystko eksploatowaném być musiało przez namiestników królowej. Starostwo kowelskie było zawsze jedném z najludniejszych na Wołyniu, zagony tatarskie rzadko tu sięgały, bo bagna i brody niebezpiecznemi były dla nieobeznanych z miejscowością, z drugiéj znow strony stanowiły bezpieczne zapory dla mieszczaków. W Kowlu królowa Bona zastała zamek; są o nim w późniejszych nawet aktach luźne wspomnienia, ale nic ważniejszego. Baszt parę i trochę muru widziano w Kowlu jeszcze w pierwszych latach naszego wieku, później rozebrali to żydzi na swe kramy, tak że i śladu dziś niema. Stał on nad rzeką Turą; z drugiéj strony jakieś wały czy fosady brońić miały przystępu. W lat kilka po wyjeździe Bony do Włoch, cała Kowelszczyzna nadaną została prawem dożywotniém kniaziewi Kurbkiemu, wychodźcy z Moskwy. Odtąd téż w okolicy Kowla życie było gwarniejsze: miejsce gospodarnych namiestników królowej Bony zajęli butni towarzysze burzliwego kniazia. Zajazdy, wojny z sąsiadami, dożadne egzekucye, skandaliczne wreszcie procesa rodzinne samego kniazia: — oto temat życia, rozwijającego się odtąd przez lat sporo na ziemiach starostwa kowelskiego.

## Kronika lwowska.

Jeszcze słowo o lwowskiej wystawie rolniczo-przemysłowej. Stowarzyszenie rękodzielnicze *Gwiazda*. Muzeum przemysłowe.—Walne zgromadzenie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych i losowanie obrazów.—Akademia politechniczna i jej inauguracja.—Towarzystwo archeologiczne.—Archiwum Sznajderowskie i wydawnictwo *Encyklopedyi krajoznawstwa Galicyi*.—Szkoła rolnicza dublańska.—Nowości literackie.—

Od niejakiego czasu panuje u nas przeważnie dążność popierania przemysłu. Dążność ta jest wybitną cechą dnia dzisiejszego, góruje nad wszystkiem i wszystko wobec niej na drugi niejako plan usunąć się musiało. Co tylko leży poza jej kresem, co w jakikolwiek sposób nie dotyczy wzrostu przemysłu, fabryk i rękodzieł, i jakiegokolwiek z nimi nie ma łączności, jest u nas w tej chwili, powiedziałbym, do pewnego stopnia lekceważone, zaniedbane. Na sejmie, w wydziale krajowym, we wszystkich kołach i kółkach wpływowych, myślą tylko o środkach podniesienia przemysłu, tém się przeważnie zajmują, bodaj czy nie z uszczerbkiem innych niemniej ważnych spraw wyższego moralnego znaczenia. Ostatnia wystawa przemysłowa rozgorączkowała nas jeszcze bardziej w tym kierunku, którego sama była skutkiem i wyrazem. Galicya potrzebuje istotnie przemysłu, któryby jej nadał potęgę dobrobytu materialnego. Ma ona po temu siły i zasoby dotąd niezużyte, do których wyzyskania brakowało dotąd umiejętnej ręki i koniecznego sił zespolenia. Wystawa lwowska okazała, że posiadamy źródła, z których wielkie bogactwa wydobyć można i że już nawet uczyniliśmy pierwsze ku temu kroki, ale okazała zarazem, jak daleko jeszcze od pożądanego jesteśmy celu, jak dalece jesteśmy ubodzy.

Wystawa z powierzchowności przedstawiała się jak na Lwów istotnie wspaniale. Urządzenie jej było ozdobne i umiejętne, a ciekawość publiczności rozbudzona do najwyższego stopnia tak była zajęta widokiem tego wszystkiego, co się tu znajdowało, iż nie zwracano uwagi na niedostatki i słabe jej strony. Dzisiaj dopiero, gdy ów szal obudzony nowością przedmiotu ominął, można, trzeźwem patrząc okiem, ocenić należycie znaczenie i skutki naszej wystawy.

To pewna, że jakkolwiek wpłynie ona znakomicie pod niejednym względem na wzrost przemysłu, wpływ ten a zatem i przywiązywane do wystawy znaczenie, o wiele przeceniono w pierwszjej chwili. Wpływ wystawy był dwojaki. Skutki jej z dwu różnych punktów uważać potrzeba. Jej strony ujemne więcej może w swych skutkach na przyszłość przyniosą dobrego, nizeli to, co stanowiło jej ozdobę, co podziwiano na razie. Publiczność zachwycała się tém, co pięk-



nością lub szczególnością wyrobu z tego lub owego względu podpadało pod oczy i olśniewało; ale badacz myślący, ekonomista i przemysłowiec zwracał raczej uwagę na jej ujemności, sięgał głębiej myślą poszukując przyczyn tych ujemności i środków skutecznej pomocy tam, gdzie jej potrzeba: z tego punktu widzenia rzeczy przedstawia się dopiero w należytem świetle istotna użyteczność Wystawy Lwowskiej, z tego potrzeba oceniać właściwe jej korzyści.

Najświetniej wystąpiło rękodzielnictwo. Przekonaliśmy się, że Galicya posiada rzemieślników wykształconych, którzy, gdyby chcieli sobie zadać pracy, ażeby powszednie ich wyroby odpowiadały tym, którymi popisywali się na wystawie i gdyby się sumiennie o dobry materiał starali, mogliby ze wszech miar dogodzić życzeniom publiczności i zastąpić wyroby zagraniczne. Widzieliśmy na wystawie wyborną stolarszczyznę, przepyszne rozmaitego rodzaju sprzęty pokojowe, doskonałe wyroby krawieckie i modniarskie, piękne futra, prześliczne hafty i szycie, wyroby rymarskie rzadkiej dobroci, doskonale rafinowane spirytusy, piękne konie i było i wiele zresztą pięknych i dobrych rzeczy, ale obaczyliśmy także np., że przemysł górniczy, owe nieprzebrane a zaledwo tknięte źródło bogactwa u nas, w najsmutniejszym znajduje się stanie i wymaga jaknajrychlej zupełnej na zasadach umiejętnych opartej reformy. Obaczyliśmy, że nie posiadamy żadnych prawie fabryk większego rozmiaru, pomimo, że posiadamy materiały, których fabryczne przerobienie, których należyte wyzyskanie, przymnożyłoby wiele bogactwa krajowi. Co jednak najdziwniejsza i czego by się pewno najmniej spodziewano, to, że dział rolniczy na naszej wystawie był najuboższy, że stan gospodarstwa wiejskiego w onej Galicyi, którą krajem przeważnie rolniczym nazywać zwykliśmy, okazał się o wiele niższym, niżeli po tylu w tym kierunku w ostatnich zwłaszcza czasach, a mianowicie we dwadzieścia przeszło lat po założeniu szkoły Dublańskiej, oczekiwać słusznie należało. Nie będę tutaj badał przyczyn tego objawu. Czyto nieurodzajność roku była tego przyczyną, czy z jakichkolwiek bądź innych powodów nie zdołaliśmy jeszcze podnieść rolniczego gospodarstwa na stopę odpowiednią postępowi czasu, pomimo usiłowań rozgałęzionego po całym kraju Towarzystwa gospodarskiego i kilku lub kilkunastu wielkich istotnie postępowych gospodarstw; dosyć, że w ogóle wzięwszy na Wystawie Lwowskiej, było wiele zboża miernego gatunku, wiele warzywa i owoców, z którymi się nie warto było popisywać, słowem wiele rzeczy, mogących bardzo rozczarować tych, co sobie przedstawiali w różowem świetle rolnictwo galicyjskie. Ale dobrze i o tém wiedzieć. Nic nie szkodzi, że się to obaczyło, że się dotknięto żywej rany, o której nie miano należytego wyobrażenia. Po dyagnozie nastąpią środki lekarskie: wystawa wskazała kierunki, w których najpilniej działać potrzeba.

Rękodzielnictwo ostatniemi czasy widocznie prześciga w Galicyi rolników i gospodarzy wiejskich. Miasta górą! Znać tu wiele gorliwego krzątania się, dążność do wykształcenia, pracę udoskonaloną, to

wszystko jest nabytkiem lat ostatnich. Jeżeli tak dalej pójdzie, to Galicya nazwę rolniczej zmieni z czasem na miano kraju rękodzielniczego. Wielką tu zasługę ma Stowarzyszenie *Gwiazdy*, tak w samym Lwowie, jak po miastach powiatowych, usiłujące wszelkimi sposobami krzewić moralność i oświatę pomiędzy klasą rzemieślniczą. Szczęściem, że stowarzyszenia te, które gdyby były źle prowadzone, mogłyby stać się szkodliwymi z należytej zbroczywszy drogi, pozostają u nas pod kierunkiem ludzi światłych i zacnych, pełnych obywatelskiego poczucia. Stan też rzemieślniczy u nas kształci się i podnosi szybko. Od lat kilkunastu uczyniono tu niestychane w tym względzie postępy. Z *Gwiazdy* rozlewają się dobroczynne promienie światła, uszlachetniającego wyobrażenia i uczucia sfery, pogrążonej niedawno jeszcze w pozafowania godnej ciemności i namiętnościach.

Wiele także do rozbudzenia i uszlachetnienia rękodzielnictwa u nas, przyczyniło się założone przed czterema laty, po ostatniej wystawie powszechnej wiedeńskiej, muzeum przemysłowe. Tutaj znajdują rzemieślnicy nasi pod ręką wzory udoskonalone, których im przedtem niedostawało, których daleko szukać musieli, a i wiele takich, o których, gdyby nie muzeum, możeby nawet i wyobrażenia nie mieli, przy braku środków na oglądanie się za nimi po szerokim świecie, na podróże zagranicę, lub sprowadzanie ich własnym kosztem na swój użytek. Muzeum nasze oprócz tego jest jeszcze polem spółzawodnictwa i popisu dla naszych rzemieślników, jakiego przedtem nie mieli. Wystawione tu na widok publiczny rozmaite ich wyroby rozbudzają emulacją, że tak powiem, energią rękodzielniczą. Muzeum zastępuje tedy miejsce nieustającej wystawy, przedstawia obraz chwili bieżącej rozwoju przemysłowego i rękodzielniczego i pod tym względem ważną odgrywa rolę.

Muzeum jest zarazem szkołą w dosłownym znaczeniu. Uczy się tu młodzież rzemieślnicza rysunków ornamentalnych i innych, do techniki rękodzielniczej odnoszących się przedmiotów. Idąc za wzorem muzeum przemysłowego krakowskiego, dyrekcya tutejsza urządza każdej zimy kursa wykładów wyżej wspomienionej treści, głównie przeznaczone dla przemysłowców i rękodzielników, które bywają tak zajmujące i dobrze obmyślane, iż oprócz rzemieślników uczęszcza na nie licznie inna także publiczność; zaczęm przynoszą one dwojaką, bo umysłową dla słuchaczy, a materialną dla muzeum korzyść. W kursie obecnym wykładu profesor politechniki tutejszej p. Bykowski w muzeum teorią tkactwa, obejmującą w szerokim zakresie naukę produkcyi materiałów tkackich, jako to: konopi, lnu, bawełny i jedwabiu, następnie zaś sposoby wyrobu wszelkich tkanin z pomienionych materiałów. Przedmiot sam z siebie ciekawy i ważny zyskuje na wykładzie prelegenta, umiającego przedstawić rzecz w najważniejszych rysach, w sposób zajmujący i uczący.

Przez pierwszych lat trzy mieściło się muzeum przemysłowe lwowskie w bardzo stosunkowo szczupłych, najetych na ten cel, salach dawniej strzelnicy miejskiej. Na razie i to wystarczało, przynajmniej

wystarczać musiało, bo niepodobna było w całym Lwowie stosowniejszego znaleźć pomieszczenia. Wszakże potrzeba innego lokalu z dniem każdym stawała się widoczniejszą, bo muzeum doznawszy od pierwszych dni swego zawiązku wielkiej powszechnej sympatii, powiększało się codziennie mnóstwem przybywających darów, lub na widok publicznych wystawionych wyrobów, a ściany gmachu strzelnicy nie rozszarżały się, pomimo tego.

Otóż téj zimy dopiéro można temu było zaradzić. Gdy z początkiem roku szkolnego we wrześniu przeniesiono miejską szkołę realną, z ratusza, gdzie przedtém była, do nowego umyślnie w tym celu zbudowanego gmachu szkolnego, przeznaczyła rada miejska całą jedną połąkę ratusza, mianowicie sale zajęte dawniej przez szkołę realną, na pomieszczenie muzeum przemysłowego. Tutaj więc, przeniesione muzeum, ma się obecnie gdzie rozprzestrzeniać; mieści się wygodnie i przestronno. Tutaj dopiéro można je było uporządkować systematyczniej i umiejętniej niż przedtém i teraz dopiéro przedstawia się ono w całej swéj okazałości, jak na Lwów wcale przystojnie i zamożnie. Wystawa tutejsza zeszłoroczna przysporzyła mu téż spory zasób pięknych rzeczy. Wiele znajdujących się tam cennej wartości przedmiotów otrzymało ono ztamtąd w darze, jak np. piękny zbiór odlewów gipsowych, ornamentów i antyków wiedeńskiego gabinetu starożytności i tamtejszego muzeum przemysłowego, darowany przez ministra handlu imieniem rządu, podczas bytności jego we Lwowie, wprost z wystawy do muzeum, tudzież wiele przedmiotów ofiarowanych przez wydział krajowy, przez niektóre zakłady publiczne i osoby prywatne.

Muzeum nasze godne zaiste zwiedzenia. Przy najbliższej sposobności prześlę obszerniejszy opis jego teraźniejszego urządzenia.

\* \* \*

W przedostatnim dniu starego roku, Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, jakby chcąc obdarzyć swych członków podarkiem noworocznym, odbyło losowanie dzieł sztuki, na ostatniej zakupionych wystawie. Losowanie odbywa się zawsze razem z walnym zgromadzeniem, które prezes Towarzystwa Leszek Borkowski zagaja zazwyczaj przemową. Nawiązując rzecz do chwili obecnej, roztacza przytém zazwyczaj szerokie poglądy na dzieje i znaczenie sztuki w ogóle. Przemowy te Borkowskiego są jakby luźne a świetne karty jéj dziejów, na których uwydatnia tutaj najważniejsze chwile jéj rozkwitu i cywilizacyjnego wpływu. Borkowski znany jest, jako jeden z najlepszych mówców naszych. Przemowy jego wszakże w tém miejscu miewane noszą właściwą sobie cechę, różnią się zupełnie od mów z trybuny parlamentarnéj. Tutaj wznosi on się do téj wysokości nauki i natchnienia, jakiego potrzeba, aby pojmować sztukę i aby znaczenie jéj z należytej oceniać wyżyny. Gdyby przemowy te zebrać i razem wydać, stanowiłyby one szacowny traktat o sztuce; żałować należy, że miewane w szczupłym stosunkowo kółku członków Towarzystwa, nieogłaszane drukiem nigdzie więcej jak tylko w jego sprawozdaniach dorocznych, pozostają prawie niezna-

ne publiczności, bez tego rozgłosu i rozpowszechnienia, na jakie zasługują i przy jakim dopiero skuteczny wywierały wpływ, obudzając zamiłowanie sztuki.

Z tego powodu mniemam, że pożądaną dla czytelników Biblioteki Warszawskiej będzie rzecz, jeżeli podam obszerniejszą, nieco treść, a nawet o ile zdołam z pobieżnej notatki, powtórzę dosłownie niektóre ustępy tegorocznej przemowy Borkowskiego. Szanowny prezes Towarzystwa zwróciwszy uwagę na przyrodzone prawa sztuki, od których zawisł jej rozwój lub upadek w różnych wiekach i narodach, skreślił treść w najogólniejszym zarysie stosunek sztuki średniowiecznej, do dawniej greckiej, wiek VIII i epokę odrodzenia, porównyując ów stosunek do tego, w jakim się dzisiejsze malarstwo polskie do włoskiego znachodzi, w następujących słowach:

„Terazniejsze polskie malarstwo ma się do arcydzieł wieku XVI tak właśnie, jak się miało malarstwo włoskie z czasów odrodzenia do starożytniej sztuki greckiej. Dla ówczesnych artystów włoskich upragnione wzory wytworności estetycznej spoczywały także, jakby nadsłoneczne ideały, w odległym wieku i kraju. Sztuka grecka, wypielegnowana w objęciach wiary pogańskiej, przyczyniając jej wdzięku, rozgłosu i trwałości, budziła pewien wstręt w wyznawcach nowiej religii. Rygoryzm pierwotnych chrześcian chciał wbrew naturze ludzkiej rugować z niej cielesność, uczynić ją czysto duchową. Malarzom i rzeźbiarzom odmawiano chrztu. Oddających się temu zawodowi wykluczano ze społeczności chrześcian, wzbraniano im jak komedyantom wiecznego spoczynku w ziemi poświęconej. Z takich zarodków, wychodzących przeważnie z pojęć hebrajskich, powstała następnie sekta obrazoburców. Wieki minęły, nim zrozumiano, że sztuka, jako wypływ konieczny natury ludzkiej, mając powołanie cywilizacyjne, ogólne, może oddawać takie same przysługi każdej religii, jakie oddawała mitologii. Jednakowoż obawiając się oddziaływania, kościoła, który natenczas wszystkie sprawy ziemskie garnął pod siebie, zabrał i sztukę w swój zarząd. Najczęściej mniuchy byli malarzami, a sobór Nicejski w VIII wieku przyznawał prawo pomysłu, to jest kompozycją obrazów, wyłącznie Ojcom kościoła, zostawiając malarzom tylko wykonanie. Więc powstawały typy urzędowe, obowiązujące, bardzo często powtarzane, bo się ich niewolniczo trzymano. Pod takim wpływem szkoła Bizantyńska, korzystając z najpóźniejszych zabytków rzymskich, celowała jeszcze biegłością techniczną, udatnością form i czystością wykonania. Ale brakowało jej swobody i życia. Jakaś martwota, jakaś posępnosć, sztywność i nieruchawość, były jakby całunem śmiertelnym, w którym składano sztukę rzymską do grobu. Skon jej stawał się widoczny.

„Wyzwolenie ducha ludzkiego z tych więzów zwiemy *odrodzeniem*, czyli zmartwychpowstaniem sztuki. Zaczęto oglądać się znowu na wzory greckie już nie w celach ubocznych, religijnych: tylko w celu wyłącznie artystycznym. Ale zabytki greckiego malarstwa zagięły w zawierusze wieków. Znano je tylko z niedokładnych, rzad-

kich opisów, które jakby echa przycichające dolatywały jeszcze z zamierzłłej przeszłości. Okazy snycerstwa i rzeźbiarstwa były nieliczne i znacznie uszkodzone. To otwierało szerokie pole wolności umysłowej, nieciło i podżęgało twórczość. Owóz to Pigmalion, którego silnym ramieniem dźwignięte umnictwo we Włoszech, wzniosło się w w. XVI do tej wysokości, na której stoi nieprześcięgnięte dotychczas.

„Bo téż wiek XVI był dla cywilizacyi europejskiej w ogólności wiekiem bardzo stanowczym. Duch ludzki, niby Feniks z własnych popiołów powstający, wstępował właśnie w lata młodzieńcze, a spłoszony do lotu przez Abelardów, Bakonów i Kartezjuszów odrzucał szcudła powag, aby własnych skrzydeł doświadczyć. Było to godzenie starożytnęj oświaty azyatyckiej z nową oświatą europejską. Było to pojednanie zmysłowości pogańskiej, z duchowością chrześcijańską, dla sztuki bardzo pomyślne. Bo jak starożytność celowała w podnoszeniu powabów ciała, w oddaniu siły fizycznej i gwałtownych namiętności, tak znowu tajemnicę przedstawiania cichych myśli i głębokich uczuć, podnoszenia powabów duszy, zawdzięcza sztuka chrześcijaństwu. Madonny bizantyńskie chłodne i obojętne, ze wzrokiem zamgloném, jakby w odrętwieniu, doczekały się mistrza z Urbino, który im zdjął zasłonę, ożywił uśmiechem miłości, w oczach rozpałił płomień, stopy oderwał od ziemi i złożył na miękkim puchu pływających w obłokach aniołków, a ciało przezroczyste jak kryształ, napełnił bożkością.

„Czém była Asyrya dla Grecyi, czém była Grecya dla Włoch, tém teraz są Włochy dla nas: uprzywilejowaną ojczyzną sztuki. Tam szukamy natchnienia, prawideł i wzorów, a wzory te są tak ofite, tak wykończone i zadawalniające, iż pogrążają w używaniu prawie upajającym i rozbrajają twórczość. Włoska skarbnica sztuki przyczynia się wprawdzie do rozszerzenia znawstwa, do wykształcenia gustu, do wzbogacenia krytyki estetycznej i erudycyi, ale talentu nie stworzy, tak właśnie jak najplodniejsza rola nie stwarza ziarna. Jeżeli tedy artystyczne zbiory włoskie zechcemy uważać za bogate składy ideałów, gdzie je nabyć można, aby do domu przywieźć i przesadzić— „(sztukmistrz musi ulecieć w sfery ideału,” powiada artysta wojażer), to nie dziw, że sztuka taka wydaje się wychuchaną, cieplarnianą rośliną. Ideały wieków zamarłych świecą wprawdzie jak nieprzetrwane gwiazdy na widnokręgu sztuki, miłujemy je i podziwiamy, ale terażniejszość powinna sobie własne utworzyć, z własnych żywiołów. Tylko duch twórczy, pod wpływem każdorazowej oświaty i miejscowych okoliczności: klimatu, zwyczajów, opinii i t. p., zdolny jest wydać sztukę samorodną. Bo sztuka nie może żyć tradycjami; ona wytryska jakby ze skały Mojżeszowej z żywych wewnętrznych cieplic duchowych, które w ogólności życiem narodowém zowiemy. Na tę drogę weszła przed pięćdziesięciu laty nasza poezya, na téj drodze znajduje się teraz nasze malarstwo. Rozkwit sztuki dowodzi zawsze i wszędzie silnie nurtujących prądów życia.”

Nacechowawszy dalej kilku słowy nową szkołę polską i wpływ Matejki, skreślił stosunek, w jakim ogólna prawda artystyczna pozostaje do osobistych przymiotów i uzdolnień artysty, nadających dziełom jego właściwe, samoistne piętno.

Pierwiastkiem artyzmu powszechnym, koniecznym, jest owa cudowna iskra, nie nabyta pracą, nie zasłużona, tylko zachwycona gdzieś w doskonalszym od naszego świecie, stopniowo rozżarzająca się w płomień, który jakby światło słoneczne przez pryzmat przebija przez wszystkie ziemskie nabytki: nauki, namysłu, doświadczeń, ćwiczeń, poglądów filozoficznych, uczuć rodzinnych, religijnych i t. d. Nabytki te nie stanowią wprawdzie talentu, ale mu dają postać, głos, barwę... Prawda artystyczna zstępując z ogólnej ojczyzny, unosi się ponad wszystkie ziemskie sprawy i wypadki, ale nie traci na tym jeżeli się znajdzie z niemi w połączeniu i zgodzie. Anachronizmy, że tak powiem Szekspirowskie, w sławnych utworach malarskich nie zmniejszają ich artystycznej wartości, ale dokładność historyczna powinna być przecież bardziej być cenioną niż złote ramy. Im więcej nagromadzi artysta do celów swoich ziemskiego tworzywa, czy to z historii, czy z filozofii, czy z przyrodoznawstwa, tém ponętniejsze będzie jego dzieło, bo chociaż przybory takie nie są koniecznym warunkiem sztuki, to ozdabiają jej pojav, jak twarz piękna dobrą śpiewaczkę.

„Indywidualizm artysty objawia się zawsze w każdej chwili, w każdym jego dziele. Ta cząstka świetlana, którą otrzymał jako świadectwo swego powołania, nie pozbawia go człowieczeństwa i nie czyni niebianem... podobnie jak i sztuka nie może i nie powinna wyzwolić się z cech ziemskości. Przeciwnie, powołaniem jej uszlachetniać życie powszednie. Sztuka daje ideom widoczność i barwy, gibkość i ciepło cielesne; chodzi tylko o zachowanie równowagi pomiędzy myślą zarodną a ciałem, w które wstępuje, aby hieroglif był przejrzysty, łatwo zrozumiały, aby myśl nie gubiła się w nim jak we freskach metafizycznych Korneliusa, lecz występowała wydatnie jak w obrazach historycznych Matejki.”

Wykazawszy w powyższy sposób tę stronę sztuki ziemską, cielesną, tak się o jej praktycznym wyrazik zastosowaniu:

„Znany jest związek wewnętrzny, znane blizkie powinowactwo sztuk pięknych, nie tylko z umiejętnościami, ale także z przemysłem i rolnictwem w szczególności. Bez wykształconego smaku, bez poczucia i pragnienia piękna, rolnictwo i rękodzieła pozostałyby na zawsze w stanie dzikości. Ośmieliłbym się nawet utrzymywać, że wprzód rzeźbiarz stworzył idealne winogrono, że wprzód malarz stworzył idealną pełną różę, nim ogrodnik osiągnął tych ideałów w rzeczywistości. Są to prawdy stwierdzone tak licznymi przykładami, iż byłoby zbyt dłużej się nad tym rozwodzić. Dość będzie przypomnieć nicocenioną wartość wyroby złotnicze Benwenuta Celliniego, porcelany ze sławnych fabryk azjatyckich i europejskich, dyfityki perskie i indyjskie, makaty chińskie, jedwabnice luguńskie, gobeliny paryz-

kie, koronki brabanckie i mnóstwo innych przedmiotów przemysłu, które się stały źródłem bogactw narodowych. Bo pomiędzy wyrobami jednakowej nawet dobroci i użyteczności, zawsze te będą poszukiwańsze, które bardziej dogadzają uczuciom i pojęciom estetycznym. Taką to bronią walczą o lepsze rękodzieła, przemysł i rolnictwo. O broń tę trzeba i nam się postarać. Zdanie, iż wszystko zagraniczne jest lepsze, jakkolwiek jest śmieszne, ma jednak pewną przyczynę, a tą przyczyną nie zawsze jest lekkomyślność kupującego; może nią być także zasługa producenta.”

Z tego wychodząc zapatrywania komitet zeszłorocznej Wystawy Lwowskiej rolniczo-przemysłowej, ogarniając umiejętnie cały zakres swojego zadania, nie tylko życzył sobie, aby wystawa Sztuk Pięknych odbyła się razem z wystawą rolniczo-przemysłową, ale nadto dał subwencją na jej urządzenie, skutkiem czego można ją było lepiej urządzić i szerzej pomieścić niż dawniejszemi laty. W tym roku zakupiły obrazów na wystawie osoby prywatne za 5,000 guldenów. Towarzystwo zakupiło do wylosowania ośm celniejszych obrazów. Wszystko to świadczy o pomyślnym rozwoju Towarzystwa i pomyślnych skutkach jego istnienia, zważywszy zwłaszcza, że z każdym rokiem coraz większą kwotę na kupno obrazów poświęca. Postępując w ten sposób odpowiada ono swemu zadaniu i staje się prawdziwie użytecznym. Jeżeli wystawy same przez się rozbudzają i uszlachetniają umysł estetyczny w szerokich sferach publiczności, to znowuż sposobność sprzedaży dzieła na wystawie, bywa niemałą zachętą dla artystów do pracy i bodźcem do spótzawodnictwa artystycznego. Przy wielkich trudnościach, jakie zwłaszcza w początkach swego zawiązku przebywać musiało lwowskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych, jedynie tylko umiejętnemu i energicznemu kierownictwu zawdzięczać należy, iż nie uległo pod naciskiem onych przeszkód, ale przeciwnie rozwinęło się tak dobrze, jak na stosunki tutejsze nawet nie można się było spodziewać. Pomyślnym téż jest dla Towarzystwa wypadkiem, iż Leszek Borkowski na zgromadzeniu terażniejszym, ponownie na lat sześć prezesem obrany został. Nikt podobno inny nie pokierowałby jego czynnościami tak umiejętnie, tém bardziej, iż sama już powaga literackich zasług i rozgłosu imienia stojącego na czele, budzi ufność i sympatyą powszechną Towarzystwu.

Na zakończenie powyższej wzmianki o naszym Towarzystwie Sztuk Pięknych dodam jeszcze, że staraniem tegoż sprowadzony obraz Siemiradzkiego *Pochodnie Nerona*, przybył już do Lwowa i za dni kilka będziemy go mogli oglądać. Pozostanie on tutaj przez trzy tygodnie do końca stycznia.

\* \* \*

Rok ubiegły stanowi erę dla jednego z tutejszych zakładów naukowych. Z początkiem kursu szkoła tutejsza techniczna podniesioną została do godności akademii politechnicznej, na stopę równą akademii wiedeńskiej i pragskiej. Równocześnie została przeniesioną z da-

wniejszego swego pomieszczenia w mieście do nowego gmachu, umyślnie w tym celu zbudowanego na Nowym Świecie. Wspaniały ten gmach należy do najpiękniejszych i największych budowli Lwowa. Obok niego znajduje się drugi, nieco mniejszy, przeznaczony na pracownice chemiczne; trzeci ma jeszcze stanąć i objąć pomieszkania profesorów: co zważywszy oddalenie nowego zabudowania od środka miasta, jest rzeczą niemal konieczną. Budynek główny ze wspaniałym frontonem w stylu odrodzenia, ozdobiony godłem: *Litteris et artibus*, czyni zaszczyt swojemu twórcy i budowniczemu, dzisiejszemu rektorowi akademii prof. Zacharyewiczowi, chociaż w planie budynku musiał się liczyć z wielu względami niepomyślnemi ściśle architektonicznym celom. Poświęcenie i inauguracja nowego gmachu akademickiego odbyła się w dniu rozpoczęcia roku szkolnego. Zjechał na tę uroczystość minister oświaty Stremayr z Wiednia, a oddając imieniem rządu nowy ten światła przebytek gronu profesorów, wzywał je, aby „ten piękny kielich, ich ręką powierzony, napełniali zdrowém winem umiejętności.” Nowy rektor prof. Zacharyewicz, wzięwszy pochop do przemowy swęj z godła gmachu, przebiegł w treściwie a pięknie skreślonym obrazie, dzieje ducha ludzkości, podnosząc znaczenie sztuki pięknej i nauk humanitarnych w cywilizacyjnym jego rozwoju. Jakby w odpowiedzi na to przemówił, na zakończenie uroczystości, rektor uniwersytetu prof. Węclewski i z tychże samych słów godła gmachu, wysnuwając wątek myśli, bardzo wymownie i uczenie skreślił znaczenie nauk realnych, jako podstawy umiejętności humanitarnej, wskazał, jak wszystkie nauk gałęzie, wszystkie promienie światła umysłowego, skupione w ognisku ludzkości, tworzą razem wzięwszy jęj cywilizacją. Tak więc przemowy obu rektorów najwyższych instytucji naukowych, stworzyły niejako całość.

Nowy gmach politechniki okazał się jak na Lwów za wielki na dzisiejsze czasy. Kiedy powzięto zamiar jego budowy, i poruczono profesorowi Zacharyewiczowi wypracować plan jego, był to właśnie czas, kiedy popęd do nauk realnych objawiał się w nadspodziewanie wygórowanym stopniu. Były to czasy, kiedy się budowały wszystkie, dziś już w ruchu będące, koleje galicyjskie: Stryjska, Łupkowska, Naddniestrzańska; kiedy dla ukończonych techników otwierały się wielkie widoki w kraju i zagranicą. Zaczęło z rokiem każdym powiększała się liczba uczniów zapisujących się do szkół realnych, a pomniejszała liczba uczniów gimnazyalnych. Przyszło do tego, iż jednego roku musiano wstrzymać zapisy, gdyż na razie nie stało ani pomieszczenia, ani odpowiedniej liczby profesorów. Dzisiaj wszystko to się zmieniło... Wielka liczba uzdolnionych techników nie może dzisiaj znaleźć chleba dla siebie, zmuszoną jest chwycać się innych zawodów, do których się nie przysposabiła. Natomiast postępujący z biegiem czasu rozwój autonomii krajowej, wymaga coraz więcej prawników, zapewniając im dostateczne utrzymanie i pożyteczne pole pracy. Przeminał zatem szzał nauk realnych: gimnazya pełne, a liczba zapisujących się do szkoły realnej uczniów zmniejsza się z każdym rokiem.



Skutkiem tego, w roku bieżącym, podczas gdy na uniwersytecie jest tysiąc paruset słuchaczy, na politechnikę naszą uczęszcza zaledwie dwustu. Garstka ta tonie jak kropla w morzu w przestworach nowego gmachu, obliczonego na miarę dawniejszych stosunków. Z tej przyczyny podnoszono już nawet myśl, aby tutaj przenieść uniwersytet, mieszczący się wcale szczupłe w dzisiejszém po-jezuickiém zabudowaniu przy kościele św. Mikołaja. Do tego wszakże nie przyjdzie. Tymczasem gmach politechniki w rozległych salach swoich chętnie udziela przytułku i gościnności garnącym się tutaj instytucjom lub zadaniom naukowym. Uprzejmie otwierają się jej sale na publiczne naukowe odczyty; tutaj pomieszczone zostało Towarzystwo archeologiczne, mając sobie odstąpionych sal kilka na pomieszczenie swych zbiorów i odbywanie posiedzeń. Od chwili téż przeniesienia się do gmachu politechniki, Towarzystwo rzeczzone uzyskawszy niejako punkt podpory, rozwijać się zaczęło z podwojoną energią i z podwójnie pomyślnym skutkiem. Do tego przyczynił się téż znacznie udział na sekcye, mające ściśle oznaczony zakres działania. Za tém poszło, że liczba członków, zapisujących się do pojedynczych sekcji, znacznie wzrasta.



Z nowym rokiem przeniesione zostało ze Lwowa do Krakowa archiwum Szejderowskie, zakupione przez wydział krajowy z polecenia sejmu i oddane Akademii Umiejętności. Z przewiezieniem archiwum Szejderowskiego, ubywa nam bogaty materiał źródłowy, odnoszący się zwłaszcza do dziejów Galicyi. Miejscowi uczeni znachodzili tutaj obfite badań źródło, do którego teraz do Krakowa podróżować będzie potrzeba. Archiwum zyskało zapewne na tém, albowiem tym sposobem zostały losy jego zabezpieczone, przez oddanie pod opiekę akademii, której nie może się równać opieka prywatnej osoby, chociażby namiętnie w zbiorach tego rodzaju zamiłowanój. W rękach akademii naukowa wartość jego o wiele się podniesie, ale ubytek ten okaże się nieraz bardzo niedogodnym dla tutejszych uczonych. Trzeba bowiem wiedzieć, że niezwykle w swoim rodzaju jest owo archiwum i niezwykły zbieracz, który je zgromadził. Jak do każdego zawodu w świecie bywają osobliwe usposobienia, talenta i szczególniejsze zamiłowania, tak i p. Szejder urodził się, można powiedzieć, z takim zamiłowaniem zbierania naukowych dokumentów i wiadomości, jakiego może niewielu ze współczesnych w Polsce posiada, a przynajmniej niema nikogo, coby temu zamiłowaniu swemu z taką oddał się gorliwością, tak się jemu całkowicie poświęcił. W poszukiwaniach swoich celem rozszerzenia archiwum, nie spuszczał on się atoli na sam przypadek, ale od lat przeszło dwudziestu prowadził je systematycznie, nie zaniedbując żadnej sposobności, jaka się gdziekolwiek ku temu odkryła. Najwięcej wzbogaciło się archiwum jego starými aktami rządowými. Jest u nas przepis, że wszystkie akta namiestnicze, po pewnym kilkudziesięcioletnim okresie czasu, nie mające już wartości

dla celów administracji bieżącej, niszczą się. Wywożą je mianowicie do papierni czerlańskiej, dostarczającej papieru biurom rządowym, i tam na nowy papier przerabiają. Otóż p. Szejder umiał sobie wyjednać pozwolenie przeglądania onych przeznaczonych na zniszczenie aktów, a przesiadując nieraz całymi tygodniami ponad kotłem papierni czerlańskiej, nie przepuszczał żadnego kawałka starych onych szpargałów, dopóki nie odczytał każdego, nie poznał jego treści i nie ocenił wartości. Znachodziły się też tam niezmiernej wagi dokumenta, odnoszące się do statystyki i dawniejszej administracji kraju. Uratowano tam od zniszczenia, jedyne w swoim rodzaju autentyki, jakich nigdzie indziej nie znajdzie. One stanowią, że tak powiem, czoło archiwum Szejderowskiego; na ich podstawie układał on swą *Encyklopedyę do krajoznawstwa Galicyi*, której wydawnictwo obecnie przerwane, będzie zapewne z czasem dalej przez Akademię Umiejętności, czyli pod jej nadzorem, prowadzone, w treściwym i krytycznym opracowaniu. Jestto przedsięwzięcie naukowe rozległych rozmiarów, na które, jeżeli ma być dokładne, trudno aby siły jednego człowieka wystarczyły. Zadania takie muszą być i bywały zawsze sił zbiorowych owocem. Szkodaby jednak była wielka, ażeby go zaniechano zupełnie, mając tak bogaty zgromadzony wyłącznie ku temu materiał. P. Szejder wyjeżdża temi dniami osobiście do Krakowa, aby oddać akademii archiwum swe w należytem porządku. Otrzymał on od wydziału krajowego za ustąpienie tych swoich zbiorów skromną bardzo rentę dożywotnią, która mu zaledwie na mierne wystarczy utrzymanie. Głównym atoli powodem do przyjęcia tych warunków, była myśl zapewnienia swemu archiwum, temu ulubionemu dziecku swemu, w które treść kilkudziesięciu lat życia swego włożył, bezpiecznego na przyszłość losu pod skrzydłem Akademii Umiejętności.

\* \* \*

Z nowym rokiem przeszła też na fundusz krajowy, założona w roku 1854 przez tutejsze Towarzystwo gospodarskie i będąca dotąd jego własnością, szkoła rolnicza dublańska. Uroczystość oddania odbyła się w obec marszałka krajowego, członków wydziału krajowego, i delegatów komitetu Towarzystwa gospodarskiego, przyczem oddano hołd należny pierwszym założycielom i nauczycielom szkoły. Założona jeszcze w czasach, gdy dawniejszy system szkolny pochłaniał w mroku swym wszystkie kierunki wychowania publicznego, szkoła dublańska była pierwszą, jedyłą w kraju; była ona jednym świetlanym promieniem na tle powszechnej nocy. Oślonięta opieką Towarzystwa gospodarskiego, wiodła ona sieroce życie, rozwijając się ile możności na pożytek kraju. Z biegiem czasu spotężniała o tyle, iż wykształciła sobie sama swych profesorów, stojących dzisiaj u jej steru, i krajowi dostarczyła całą warstwę młodzieży uzdolnionej do prowadzenia gospodarstwa postępowego, obznajmionej należycie z wszystkimi jego warunkami i nowymi wynalazkami. Z ciężkimi trudno-

ściami walczyć musiała szkoła i Towarzystwo gospodarskie przy dolegliwym nieraz braku funduszków. Aby utrwalić byt szkoły, jedyny nasuwał się sposób oddania jej na fundusz kraju. Wszelako czyniąc to, Towarzystwo gospodarskie chciało zapewnić się, że nadany przez nie szkole kierunek dydaktyczny, pozostanie zawsze ten sam w jakichkolwiek okolicznościach, mogących zmienić stosunki dzisiejsze i na położenie szkoły wpływ wyrzucić. Długo, przez lat kilka ciągnęły się w tym przedmiocie układy pomiędzy sejmem, czyli wydziałem krajowym z polecenia sejmu a Towarzystwem gospodarskiem, które obecnie dopiero ukończone, rzecz do pomyślnego doprowadziły skutku. Szkoła przechodząc na fundusz krajowy, zyskuje podstawę rozległego, wszechstronnego rozwoju; otrzymuje obfite uposażenie, a profesorowie podniesieni do rzędu publicznych urzędników państwowych, mają zapewnione sobie teraz dopiero wszystkie korzyści połączone z tego rodzaju posadami publicznych krajowych i rządowych zakładów. Zarazem wszelako Towarzystwo gospodarskie pozostaje właścicielem zakładu o tyle, że w razie gdyby kiedykolwiek z powodu jakichkolwiek zmian, miał być język wykładowy i system nauk zasadniczo zmieniony, natenczas Towarzystwo gospodarskie wchodzi na powrót w posiadanie zakładu, jako swój własności, i zarząd szkoły w swoje wyłącznie obejmuje ręce. Tym sposobem zapewniony został zarówno pomyślny rozwój szkoły na teraz, jak i na przyszłość zabezpieczone jej losy.

\* \* \*

Mamy trzy nowe pisma w tym roku. Z tych najpierwsza pojawiła się *Strażnica*, poświęcona, jak czytamy na tytule, obronie spraw ekonomicznych. Redaktorem jest pan Gniewosz, który tu przedtém posiadał fabrykę asfaltów. Jakie będą dążności pisma, jaki cel właściwy, trudno orzekać z pierwszych numerów, których dotąd dopiero dwa się pojawiło. Z programu jedynie widać, iż pismo nie ograniczy się na sprawach ekonomicznych; ale w zakres jego wciągnęła redakcja wiele innych przedmiotów, sztuki piękne, krytyki i t. p. Jest więc obszerne pole, w programie ogólnikowo tylko wskazane, ponad którym czuwać *Strażnica* przedsięwzięła i wypada tylko z duszy życzyć, aby temu rozległemu zadaniu pożytecznie odpowiedziała.

Temi dniami wyszedł także *Lowiec*, poświęcony myśliwstwu, pod redakcją Władysława Zontaka, dyrektora muzeum przyrodniczego Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. *Lowiec* będzie wychodził w objętości dwu arkuszy raz na miesiąc. Powierzchność pierwszego numeru bardzo ozdobna a treść starannie dobrana. Są tam oprócz rzeczy dotyczących spraw łowieckich bieżących, wiadomości odnoszące się do dziejów myśliwstwa polskiego, wyjęte z dzieł W. A. Maciejowskiego, Wójcickiego i innych, *Słowniczek wyrazów myśliwskich*, *Korespondencya myśliwska* i t. d. Pismo to będzie wyrazem Towarzys-

stwa myśliwskiego, zawiązanego tu przed dwoma laty, w sferach arystokratycznych, lubiących zabawy łowieckie.

Trzeciém pismem witającym rok nowy jest wskrzeszona na nowo po kilkoletniej przerwie *Strzecha*, wydawana przez księgarza Richtera. Dawna znajoma nasza w niczem się nie zmieniła, nawet nie postarzała z laty; przeciwnie może jeszcze cośkolwiek odmłodziła, świeższym okrasila się z pozoru rumieńcem. W istocie wszakże nowa ta *Strzecha* kubek w kubek do dawniejszej podobna, z objętości, z treści, z ilustracyi, słowem z zewnątrz i wewnątrz. *Strzecha* pod dawniejszą redakcją przed laty spełniała swe zadanie skromnie, ale pożytecznie; nie świetniała nadzwyczajnym blaskiem piór genialnych, ale dostarczała rodzinnym strzechom naszym przyjemnej i pożytecznej rozrywki umysłowej, zbierała ziarnko po ziarnku gdzie się zdarzyło, aż z czasem utworzył się zasób wielotomowy, który dziś przeglądając, znajdujemy w nim z przyjemnością wiele rzeczy dobrych. Życzymy nowej *Strzesze*, ażeby wstępując w ślady swój poprzedniczki, podawała jak najwięcej rzeczy swojskich, rodzimych, a w takim razie możemy jej z góry przepowiedzieć powodzenie.

\* \* \*

Nakładem tegoż księgarza Richtera wyszedł poemat Roberta Hamerlinga *Ahaswerus w Rzymie*, przełożony przez Władysława Ordo-na. Poemat ten doczekał się w swój ojczyźnie w dosyć krótkim czasie dziewięciu aż wydań, i z dziewiątego téż wydania tłómaczył go p. Ordon. Jest to najwybitniejsze świadectwo jak dalece zagasło poczucie prawdziwej poezyi w dzisiejszém pokoleniu w ojczyźnie Getego i Szyllera. Poemat Hamerlinga obfituje w jaskrawe opisy, zastępujące miejsce natchnienia i wywołujące w czytelniku zamiast dreszczów zachwytu, rozdrażnienie nerwowe i niesmak. W obrazach Rzymu upadającego, w jego zbytkach i do ostatecznych granic posuniętej rozpusty szukając materiału, przedsięwziął poeta wywołać wrażenie jak najdosadniejszym, najjaskrawszym malowidłem owego zwierzęcego rozpasańia, owych najobrzydliwszych chuci. Starał się je poetycznym nałożyć kolorytem, i podać w jak najudatniejszej, najponętniejszej formie, aby tym wspaniałym obrazem najpotworniejszych potworności i najbrudniejszych brudów przerazić, (niby to odstrasającym przykładem) dzisiejsze czasy i społeczeństwo, jak to sam we wstępie poematu zapowiada:

O! będę drastyczny  
 Jak nasi mili znad Sekwany wieszczę!  
 A może chcecie, abym poetyczny  
 Dał obraz zbytków niesłyszanych jeszcze?  
 Dam go—Rozpusty najszałęszej głodni  
 Jesteście może? I nią was upieczczę.  
 Chcecie tytańskich występków i zbrodni?  
 Mieć je będziecie—A może zmysłami,

Wstrząść stępieniem? Poważnej Kaliopie  
Rzec, by na rytmu oskrzydłonej stopie,  
Epicki kankan zawiodła przed wami?...  
Zgoda. —

Owóż jest program, który postawiwszy sobie poeta, wiernie go się trzyma. Usiłuje całą siłą swęj swady poetycznej, urzeczywistnić to założenie. Używa wszystkich zasobów talentu, aby obrazy zepsucia Rzymu przedstawić jak najdokładniej, i obrzydliwość ich okryć urokiem ponętnęj zmysłowości i kolorytem poezyi. Jakoż nad całym poematem Hamerlinga, a mianowicie głównie nad pierwszą jego połową, poświęconą temu to właśnie malowidłu zepsucia zgrzybiałego Rzymu, unosi się jakby atmosfera duszących wyziewów, obudzająca w czytelniku mimowolnie wstręt i odrazę do zatrutych bagnisk, lubo osłonięnych zdradliwie kwieciami i zielonością. Swady poetycznej nie można odmówić Hamerlingowi. Opisy jego porywają zrazu olśniewającym barw swych blaskiem, lecz są rozwlekłe. Wszystkie opisy, jak np. Ogrodów Nerona, bachanalii, statku Agrypiny, jęj gotowalni i t. d. i t. d. są to istne orgie poetycznego gadulstwa. Druga połowa poematu grzeszy jeszcze bardziej od pierwszej rozwlekłością i wielomóstwem; przybiera atoli cechę znacznie od pierwszej odmienną. Nero przesycony użyciem, znużony rozkoszą, zastanawia się nad istotą i powodami tego przesyty i przeradza się w niemieckiego filozofa. W powtarzających się bezustannie monologach i dysputach jego z różnemi osobami: z Ahaswerem, z chrześcianami, których przypadkowo spotyka w katakumbach, rozwija on szeroko teorye życia i użycia. Staje się amalgamatem mającym w sobie po troszę coś z Fausta, i z Manfreda, i z Hamleta, i z wszystkich zresztą spekulatywnych metafizyków niemieckich od Kanta do Hegla. Taki był wyrok przeznaczenia, mający być karą zbrodniarza, wygłoszony usty Ahaswera:

Ty musisz w sercu pulsującym jeszcze  
Słyszeć zgnilizny toczące robaki...  
I żywy jeszcze, wlec przez czasów wiele,  
Jad wewnętrzznego unieszczęśliwienia i t. d. i t. d.

Pod grozą takiego wyroku, napróżno Neron szuka przedmiotu, któryby go mógł jak niegdyś zająć, zadowolnić; bo:

Coraz szerzej i szerzej roztwiera  
Paszczkę swoją głód zmysłów zwierzęcy,  
Którego nic już nie nasyci więcej,  
Bo nic już bodźca niema dlań, ni czaru...

W takim stanie okropnej czczości uczuciowej, woła w przypomnieniu przeszłości:

O! ten szczęśliwy, po trzykroć szczęśliwy,  
Kto jeszcze pełnią użycia się poi,  
Kogo doń żądza popycha gorąca...

A zastanawiając się nad swym stanem, tak dalej rozumię:

Cóż mi z poznania, gdy za nie tęp płacę,  
 Że rzecz poznawszy, uciechę z niej tracę?  
 Z nieskończoności cóż mi, gdy w jej łonie,  
 Skończoność mi się roztapia i tonie?...

Czytając przez całą połowę tomu podobne temu monologi i argumentacje Neronowskie, mimowolnie wpadamy na podejrzenie, czy to przypadkiem jaki nowożytny mędrzec niemiecki ze szkoły Faustowskiej nie wsunął się w togę ceszarową i nie udaje Nerona?

Przez całe życie, siłami wszystkimi  
 Szczęścia szukałem tu *nieskończonego*,  
 A może jego początkiem na ziemi  
 Jest wyrzeczenie się zupełnie jego?..  
 Nieskończoności mego *Ja* szukałem...  
 A może się ta nieskończoność stanie  
 Dopiero wtedy człowieka udziałem,  
 Gdy się *Ja* swego zaprzę sercem całym?..

Kompozycya poematu niemniej jest wadliwą. Postać Ahaswera, która jakby się już z samego tytułu zdawać mogło, miała ważną odegrać w poemacie rolę, nakreślona jest dość nie jasno. Ukazuje się kilka razy przelotnie Neronowi i znika z nim po krótkiej dyspacie za każdym razem, bo Ahaswer Hamerlinga lubi podobnie jak jego Neron czynić wycieczki w sfery abstrakcyjnych argumentacji. Trudno za to sobie zdać dokładną sprawę, jakie jego właściwe jest znaczenie w poemacie? W końcu dopiero dowiadujemy się z monologu Ahaswera, już po śmierci Nerona, iż ten starzec, zastępujący tu miejsce wyroczeni karzącego przeznaczenia, nie jest właściwie Ahaswerem, żydem z Jerozolimy, ale Kainem, synem pierwszych rodziców, i pierwszym grzesznikiem tego świata:

Pierworodnym synem  
*Ja niezrodzonych, stworzonych.* Jam pierwszą  
 Jest latoroślą pierwszój pary w świecie;  
 Pierwsze na ziemi ludzkie jestem dziecię...

A z następnych słów dowiadujemy się, że ma przedstawiać:

Ludzkość, która nawpół nieswiadomie  
 Za nie jasnego popędem pragnienia,  
 Przez wieki dąży do mety wytchnienia...

Z tego cośmy powyżej powiedzieli okazuje się dosyć jasno, że poemat Hamerlinga uważany ze stanowiska zasad zdrowej estetyki, ma wiele wad tak w kompozycji, jak w przeprowadzeniu. Wielkie swe powodzenie w Niemczech zawdzięcza on głównie piękności języka. Hamerling władając nim jak nikt inny ze współczesnych, czarodziejstwem stylu okrył słabe strony swego poematu. A zależało ono

zapewne także wiele od natury umysłowego usposobienia Niemców, lubujących się w abstrakcyjnych argumentacjach, których poeta włożył tak wielką dozę w usta Nerona i w cały zresztą poemat. My Polacy posiadamy jednak smak wcale inny, i w innych sferach nawykliśmy upatrywać ideałów poezji. Jakoż mimowolnie nasuwa się pytanie, co mogło skłonić p. Orдона, aby tak wiele talentu i czasu poświęcił na przekład tego poematu, i szczerze żałować przychodzi iż nie użył ich na przyswojenie literaturze naszej czegoś, coby ją rzeczywiście wzbogaciło. Przekład sam w sobie jest prześliczny, oddający wiernie myśl oryginału z wszystkimi odcieniami. Czytelnikom *Biblioteki Warszawskiej* znany jest przekład, choć tylko w wyjątkach, prof. Jezierskiego.

\* \* \*

Wyszły poezye Aurelego Urbańskiego, i zawierają znany już z dawniejszego wydania zbiór poezyi lirycznych pod napisem: *Szare ptaszę*, oratoryum dramatyczne *Izrael w Babilonie* i *Reminiscencye*, obejmujące kilka wierszy okolicznościowych i t. p. Liryczne zwłaszcza poezye pod skromną szatą cichój, niewymyślnój, ale z duszy płynącej piosnki zawierają wiele piękności. Miło odetchnąć tą swojską atmosferą prawdziwej poezji, przypominającej szelest rodzinnego gaju, strzechę rodzinną, i woń rodzinnej łąki i tony pieśni słowiczej, posiadającej niewytlómaczony urok dla każdego tkliwego serca.

W poezyach Urbańskiego jest prostota, która nas pociąga i rozrzewnia. Jest wiele prawdziwego liryzmu, a czasami wezbrane uczucie ozwie się gorzką ironią, w której atoli przebija zawsze łaza serdeczna. Poeta śpiewa z duszy, jak mu dyktuje uczucie i dlatego trafia do uczucia, chociaż niema zamiaru współzawodniczenia z wielkimi mistrzami poetycznego słowa:

Było ptasząt tam w gaju niemało;  
Cudne piórka u wszystkich błyszczące!  
Każde nucić tak pięknie umiało,  
Aż się jaskry dziwiły na łące!...

Było ptasząt tam w gaju nie mało...  
Więc wybaczenie mej skromnej piosence...

Nie mnie dorównało wam w sztuce;  
Piosenką pamięć wiosennych dni święcę,  
Swemu sercu w tęsknocie ja nucę...  
Więc wybaczenie mej skromnej piosence.

\* \* \*

Największą publikacją zeszłego roku jest dzieło dr. Wojciecha hr. Dzieduszyckiego: *Ateny*. Zamiarem autora było przedstawić w żywym obrazie świat i społeczeństwo ateńskie we wszystkich jego objawach umysłowego, domowego i publicznego życia i obyczaju, i przystąpił do spełnienia przedsięwzięcia, z wiedzą przedmiotu zdobytą zarówno nauką jak i zwiedzeniem dokładnym miejsc opisanych. Co nam o świe-

cie starożytniej Hellady, a mianowicie społeczeństwa ateńskiego podała historia w martwym szkielecie, to w obrazie skreślonym przez Dzeduszyckiego przemawia wyrazem życia pulsującego krwią ciepłą, jakby z martwych wskrzeszone. Materiału dostarczyła tu jak powiedzieliśmy wyczerpująca znajomość przedmiotu, co do najdrobniejszych szczegółów, a fantazyja artystyczna z tych pojedynczych, starannie a mizolnie dobranych cegiełek, stworzyła wspaniałą budowę. Aby dać poznać *Ateny* w ich dziejowem przeobrażeniu się, autor wybrał trzy najwybitniejsze chwile ich dziejów, trzy epoki, będące głównem tego przeobrażenia wyrazem: świat podań miejscowych, czasy Tezeusowe, świetny wiek Peryklesa, wreszcie Ateny dzisiejsze i kreśli trzy obrazy, uzupełniające się. Czytając jego książkę oderwać się od niej nie można, tyle w niej jest powabnego kolorytu obok gruntownej nauki i bogactwa zajmujących szczegółów. Księgarnia p. Bełzy może się słuszenie chlubić tём, iż podejmuje nakłady dzieł takiej wartości.

*Władysław Zawadzki.*

## P O D R Ó Ż E

# I ODKRYCIA GEOGRAFICZNE.

## Stanley i Kongo.

W jednym z poprzednich zeszytów Biblioteki Warszawskiej <sup>1)</sup> podano opis wyprawy Henryka M. Stanleja, poszukiwacza śladów Livingstona, którego zaledwo o dwa lata zawcześnie podano za umarłego <sup>2)</sup>. Dziś nam wypada choć krótkimi słowy skreślić rezultaty wyprawy tegoż Stanleja, podjętej już samodzielnie w celu dopełnienia dawniejszych studyów jego poprzedników, we wnętrzu południowej Afryki czynionych. A rezultat jestto niemały. Petermann, wydawca znanych *Mittheilungen* <sup>3)</sup>, nie umiał odpowiedniejszego wyrażenia, by oznaczyć zasługi Stanleja, nad frazes: „Amerykański korespondent gazety *New Yorks Harald*, Henryk M. Stanley, jest Bismarckiem wypraw naukowych w Afryce. Jak książkę Bismarck połączył odrębne części Niemiec i zbudował z nich potężne państwo, tak

<sup>1)</sup> R. 1876, III, str. 237 i nast.

<sup>2)</sup> Umarł 1 maja 1873 r.

<sup>3)</sup> 93 Band, 1877, str. 466.



Stanley skupił *disjecta membra* odkryć geograficznych w Afryce, ustalił między niemi związek i łączność, i tysiącletnie usiłowania uwieńczył mniej więcej zadawalniającym rezultatem.“

Zrozumiemy w części ten entuzjazm słynnego geografą niemieckiego, przejrząwszy choćby pobieżnie dzieje odkryć na Kongo czynionych.

Badanie Afryki sięga czasów niemal niepamiętnych; zwłaszcza Nil zaostrzał ciekawość społeczeństw niejednego stulecia. Wszakże i trudy, z zaspokojeniem téj ciekawości połączone, oraz przeszkody stające na zawadzie najgorętszym pragnieniom rozwiązania zagadki Nilowej, już w starożytności dobrze były znane. Już za Owidyusza synonimem trudności niepokonanych, zagadnień równie łatwych do rozwiązania, jak np. kwadratura koła, było przysłowiowe wyrażenie: *Caput Nili quaerere* (szukać źródeł Nilu). Bądź co bądź jednak zbadali starożytni, dokądkolwiek sięgnęła stopa ciekawego Europejczyka w Afryce, tajemnicą po rok 1485 pozostała rzeka Kongo. W tym roku Dyego Cam, na zachodnim brzegu Afryki pod 6° szer. połudn. ujrzał szerokie ujścia rzeki, którą nazwał Rio de Congo. Gwoli ówczesnym zwyczajom portugalskim, odkrycie swe upamiętnił, wznosząc na przyłądku rzeki pomnik kamienny, Padrão zwany, co Marcin Beheim, twórca globusa słynnego, towarzyszący Camowi, wprowadził do geografii, nowęj rzecę dając nazwę Rio de Padrão. Tuziemcy, mieszkający nad wodami nowo odkrytego przez Portugalczyków Rio, nazywali go Nzadi, z kąd wzięła początek zepsuta forma europejska Zaire, służąca Kongu. Wnet zawiązały się liczne stosunki między Portugalią a Zairkiem porzeczem, powstały téż jego liczne opisy. W sto lat po Camie, Duarte (Edward) Lopez spędził czas dłuższy nad dolnym Kongiem, i dokładny pierwszy opis jego pobrzeża zostawił. W tym samym czasie Anglik Andrew Battell zwiedził te okolice, a jego odkrycia i przygody spisał Samuel Purchas. W r. 1668 kapucyn Giovanni Antonio Carazzi spędził tu lat bardzo wiele, i obszerny opis swych przygód, oraz kraju, przesłał do Rzymu.

Odtąd przerwa 150-letnia nastaje w studyach nad Kongiem i jego porzeczem. W 1816 roku rząd angielski polecił kapitanowi Tuckey zbadać tę rzekę. Wszakże wyprawa doszedłszy właśnie do Enimbo, kędy dowiedziano się, że w pewnej odległości spławnym Kongo być poczynało, przez co największe trudności były przełamane, musiała się wrócić, wyniszczona chorobami. Zwiedzono wówczas rzekę na przestrzeni 280 mil angielskich (40 mil niemieckich) w górę, a odrysowano wedle ustnych wiadomości jeszcze na przestrzeni, którą w trzydziestu dniach przebieść było można. Handlarze niewolników wspominali, że 300 mil ang. wyżej za wodospadem, rzeka jest żeglowną. Katarakty te miały być na wschodniem korycie Konga, rozdzielonego o 10 dni drogi od Mavundy na dwa ramiona przez wyspę piaszczystą. Tuckey ze stanu wód Konga w lipcu, sierpniu i wrześniu, wnioskował, że jedno przynajmniej ramię Konga leżało na północ równika (2° półn.

szer.), i przyjmowało ztąd dopływy. Najważniejszą z późniejszych była wyprawa kapitana Vidala w 1825 r., której owocem była mapa Konga do Punta da Lenha (punkt drzewny); kapitana Owena także mapa koryta rzeki, 25 mil ang. powyżej ujścia; Magyar w 1848 r. dopłynął podobno do katarakt Yellala („Upá“ on je nazywa). Ponieudakéj w 1857 r. wyprawie kapitana Hunta, Bedingfield dowódzca angielskiego statku wojennego „Pluto“, dopłynął w 1860 r. w górę rzeki do Bomma; podobnie jak John Monteiro (który od r. 1858—1873 bawił w Angoli i w dolinie Konga), oraz wyprawa niemiecka Bastiana w 1873 r. Richard Burton w 1863 r. ujrzał znów Yellalski wodospad, który tedy okazuje się być najdalszym punktem wypraw przedsiębranych od ujść Konga.

W 1874 roku zamierzał angielski porucznik Grandy, z polecenia rządu swego jadąc rzeką Kongo, wytropić miejsce pobytu Livingstona, lecz w kwietniu tego samego roku dowiedziawszy się o śmierci tego podróżnika, powrócił do kraju. We wrześniu tego samego roku Schleinitz na statku „Gazella“ dopłynął do Punta da Lenha, a z dwoma mniejszemi żaglowcami dotarł do Bomma. W 1875 roku misjonarz Duparquet nie przekroczył kresu odkryć Tuckeya; bo doszedł tylko do Nokki. W styczniu 1875 roku skuner angielski „Geraldine“ rozbił się u ujść Konga i został złupiony, przyczem część osady poległa w boju. By ukarać murzyńskich przestępców, należało wprzód zbadać dokładniej miejscowość. W tym celu wysłana 2 sierpnia 1875 r. ekspedycja naukowa na statku wojennym „Spitell“, pod wodzą komandora Mervyna B. Medlycott, a pomocą porucznika Flooda, studyowała ujście Konga, na przestrzeni przeszło 100 mil angielskich. Zadość uczyniwszy nauce, wysłano flotylę z sześciu statków złożoną, pod wodzą komandora Williama Hewetta, która karę zamierzoną na napastników wykonała, pustosząc pobrzeża Konga do wysokości Punta da Lenha. Lecz już w styczniu 1876 r. wypadło mieszkańcom brzegów Konga powtórzyć nauczkę. Umiejętność z tego wszystkiego odniosła tę korzyść, że poznano żuławy Konga.

Zagadką wszakże i nadal pozostał bieg jej górny, oraz źródłowska dla tych, co szli od ujść wspaniałej téj rzeki. Zobaczymy w ogólnych zarysach, co zrobiono idąc z przeciwnéj strony.

Najprzód trzeba z góry zaznaczyć, że poszukiwania z zachodu i północy prowadzone, zgoła Konga nie miały na celu. Zadanie to raczej nie rozwiązane w starożytności *Caput Nili quaerere*, znalazło nowych rozwiązywaczy. Dopiero teraz z opisu dawniejszych podróżników, w skutek odkryć Stanleya, jesteśmy w stanie wyróżnić obraz Konga w zamięcie mniej więcej przypuszczalnych obrazów hydrograficznych krain, które rozciągają się na źródłowiskach Nilu. Pomijając właściwych badaczy źródeł Nilu, wspomniemy o tych, co choć nieraz wiedzieni myślą ich odkrycia, przecie należą właściwie do odkrywców środkowego biegu Konga.

I tak, już w r. 1793 W. G. Browne, angiłk, podróżujący po Afryce, który dostał się do wschodniego Sudanu i stolicy Darfuru, a więc

okolic, do czasów Nachtigala w r. 1873 Europejczykom niedostępnym, otrzymał wiadomości dość dokładne o Kongu.

„Dar Kulla—mówi on—należy do tych ziem na południu położonych, które handlarze niewolników z Wadaju i Darfuru, poszukując swego towaru, odwiedzają. Jako najważniejszy przedmiot zamienny, do Kulli zabierają oni sól, której 12 ft. stanowi wartość męzkiego niewolnika. Za kobietę żądają trzech funtów więcej, i, to rzecz dziwna, jeden funt liczą za oczy niewolnicy, drugi opłaca zalety nosa, trzeci jest miarą piękności uszu. Gdy miedź ma służyć za miarę wartości, wonczas sól do miedzi ma się jak 4 : 2. Również są poszukiwane wielkie weneckie perły szklane, oraz cyna. Z ostatniej w Kulli wyrabiają pierścienie i inne ozdoby.

„Mieszkańcy Kulli mają być wedle opisów to czarniej, to czerwonej, to miedzianej barwy. Język ich obfituje w dźwięki nosowe, lecz jest prosty i łatwy do nauki. Podobno mają bałwany. Są bardzo ochędźni, do czego może obfitość wód ich kraju przyczyniać się, oraz nadzwyczaj uczciwi i akuratni w stosunkach z handlarzami niewolników.

„Pływając po rzece używają statków, które jak nasze (angielskie) czółna poruszają drągami lub wiosłami. Tamtejsi mieszkańcy stają się niewolnikami bądź drogą porwania i prostego gwałtu, bądź kary za najlżejsze przestępstwo. W Kulli, nawiedzaną przez handlarzy niewolników, panuje król; gdzieindziej są naczelnicy drobnych plemion, niekiedy bardzo wpływowi.

„Kumba albo drzewo korzenne znajduje się tam w takiej ilości, że za funt soli dostanie 4—5 *mid* (metzen, garncy) korzeni. Drzewa, w skutek obfitości wody i żyzności gruntu, są tak wielkie, że z jednego pnia wyrabiają czółna zdolne 10 osób pomieścić.

„Handlarze darfurscy opowiadali mi (kończąc swój opis Browne), że Wadajczycy wojują z Darkullanami, i robią na nich napady podstępne dla zyskania niewolników, i tak niszczą wielkie przestrzenie kraju przez mord i pożogi<sup>1)</sup>.

Z drogą znajdującą się na karcie geograficznej Browne'a, a wiodącą z Wadaju i Darfuru do wielkiej rzeki na południu (Bahr-Kulla), jako szlak handlu i łupieży, oraz wojny, długo nie wiedziano co począć i kędy umieścić cel onój. Raz Bahr-Kulla wpadał do jeziora Czad, drugi raz do Nigru, do Kalabaru lub Kamerunu. To łączono go z systemem śródziemnym Afryki, to wprost opuszczano. Dopiero najnowsze mapy zgadzają się w swych podaniach z rysunkami Browne'a. Tak np. droga z Wary (Wadaju) na Raszyd i Salamat do Bahr-Kulli, obejmuje 10—11 stopni szerokości na karcie Browne'a. Najnowsza mapa Nachtigala wykazuje w tej odległości Bahar-Kuta. Browne'a szlak z Koba na Tomurke, Gulla, Bahr-Miri do Bahr-Kulli, wynosi 11—12°. Podobnie Nachtigala.

<sup>1)</sup> *Travels in Africa*, 1797, str. 308 i nast.

1824 r. łowcy na ludzki towar, wyprawiając się z Darfuru na południe, mieli za towarzysza, bardzo cenionego przez Bartha człowieka, imieniem Fako-Sambi. Człowiek ten, zamieszkały w Fayo (w południowym Darfurze około 11° półn. szer.) był dobrze obznajmiony nie tylko z dziejami i geografją środkowej Afryki, ale nawet z literaturą klasyczną. Posiadał i czytał dzieła Platona i Arystotelesa. Tento Fako-Sambi 1824 r. dotarł znowu do wielkiej rzeki śródafrykańskiej i ten fakt musiał poczytywać za bardzo ważny, skoro w 28 lat później opowiadał o nim 1852 r. Henrykowi Barth <sup>1)</sup> i wznowił tém dawne szczegóły o Bahr Kulli Browne'a.

Wedle powieści Fako-Sambi'ego, wielka rzeka południowa, do której 1824 r. doszedł z kupcami mięsa ludzkiego, zwała się Kubanda i płynęła ze wschodu prosto na zachód. Jest tak wielka, że osób stojących na drugim brzegu widać nie było. Wyprawa nie mogąc się przeprawić, musiała od Kubandy powrócić. Nietylko wielkość rzeki, ale i meztwo mieszkańców było tego powodem. Fako-Sambi (jak Browne) wspomina też o drzewie Kumba, rosnącym nad Kubandą.

Schweinfurth, przybywszy 19 marca 1870 r. nad rzekę Uëlle, zapisuje w swym dzienniku <sup>2)</sup>: „To była więc owa zagadkowa a rozgłośna rzeka, mająca płynąć ku zachodowi, o której zasłyszane z podań Nubijczyków wieści już od wyjazdu z Chartumu ciekawość moję budziły. Wedle Monbuttu-ów i Niamniamów z Kanny, Uëlle ma wiele dni drogi płynąć z największą pewnością w kierunku wschodnio-południowo-wschodnim (Peterman poprawia zachodnio-południowo-zachodnim) i w końcu tak się rozszerza, że na brzegach dojrzyć z rzeki drzew nie można i nic nie widać prócz nieba i wody... Rozpowiadali też o mieszkańcach wybrzeży dolnego biegu rzeki, że się biało ubierają i jak Nubijczycy na ziemi i przykłękając odprawiają modlitwy. Są to przeto mahometanie, na dolnym Uëlle, a wnosząc z odległości 20 dobrych dni drogi oraz z kierunku, będzie to położona na południu kraina Baghirmi.”

Z obliczeń Schweinfurtha wynika, że jeżeli z Dem Bakir do Uëlle jest 14 dni drogi i 3 stopnie szerokości, wówczas 20 dni drogi z Munsy doprowadzają tylko do 24° lub 23° wschod. długości (od Greenwich), a więc do południka, granicę tworzącego między Wadajem i Darfurem, do rzeki Bartha: Kubandy.

Schweinfurth też zna Kumbę, rosnącą nad wielką rzeką Browne'a i Kubandą Fako-Sambi'ego. Wyras Kumba (mówi on) u Niamniamów oznacza bardzo pospolity w tych stronach „pieprz Malaguetta” (*Xilopa aethiopica*), nadający nazwę wybrzeżu pieprzowemu. W wiekach średnich ceny bardzo, pod imieniem ziarnek Selima (*Habb-el-Selim*) pono przez Marokończyków w handel był puszczony, na długo przed poznaniem czarnego pieprzu. Przekonałem się, że jesz-

<sup>1)</sup> Journ. Roy. Geogr. Society, 1853, str. 120.

<sup>2)</sup> Im Herzen von Afrika I, str. 589 i 593, II, 171, I, 594—595.

cze dziś pieprz ten znany jest Turyanom, jako płód dalekiego południa.”

Gdy nareszcie Nachtigal 1872—1873 r. bawił w Sudanie, doszła go wieść o wielkiej rzece na południu Darfuru i Wadaju płynącej ze wschodu na zachód, zwanój Bahar-Kuta. Pomieścił ją na swęj mapie między  $4^{\circ} 13'$ — $4^{\circ} 26'$  południowej szerokości, a  $20^{\circ} 45'$ — $23^{\circ}$  wschodniej długości (wedle Greenwich).

Nachtigalowe Miri w formie Mere, Schweinfurth posuwa o  $1\frac{1}{3}^{\circ}$  szerokości bardziej na południe tak, że być może, iż i Bahar-Kuta więcej na południe koło  $3$ — $3\frac{1}{2}^{\circ}$  południowej szerokości leży. Wedle Nachtigala, muzułmanie miejscowi w swych razyach podrównikowych przekraczają wiele rzek, wielce w wodę obfitych. Wszystkie one płyną ku południo-zachodowi i wpadają do wielkiej rzeki na zachód płynącej Bahar-Kuta. Rzeka ta jest większą od rzeki „Szary” zwanój, z którą się nie łączy, obfituje w krokodyle i hipopotamy i wyspy zamieszkałe a bardzo liczne. Na pytanie Schweinfurtha, jeśli Uëlle nie Szary, to co jest Szary? odpowiedział Nachtigal, wykazem rzek Auka-debbe, Bahar-el-abiad, Bahar-el-azrek, Bahar-Kuti, Bahar-el-ardhe zdolnych Szary utworzyć.

Uëlle, wedle Schweinfurtha, ma tylko 800 stóp szerokości, połączone Szary i Baczykam pod Bugomanem, wedle Bartha tylko na 1200—1500' się rozlewają. Zaś Bahar-Kuta i Kubanda mają 10,000 do 80,000 stóp szerokości. Zaczém Uëlle może być dopływem Kuty ale nie może wpadać do mniejszego Szarego. Zresztą Nachtigal wskazał, że między Bahar-Kutą a Szarym, nie ma żadnej rzeki, któraby Uëlle mogła przyjąć.

Uderzony podobieństwem tych szczegółów i poprzednich, zauważa Nachtigal <sup>1)</sup>: „Nie wątpię, że Bahar-Kuta moich podań jest identyczne z Kubandą Bartha i Uëllem Schweinfurtha; nie wiem jednak, czy on stanowi górny brzeg rzeki Szary.”

Takim sposobem powieści Browne'a Fako-Sambiego, Schweinfurtha, Nachtigala co do bytu rzeki ze wschodu na zachód płynącej, do najmniejszych szczegółów zgadzały się. Nikt jednak nie zestawiał ich z Kongiem, którego bieg górny wedle Tuckeya sięgał  $2^{\circ}$  szerokości północnej, spuszczając się potem do ujść w kierunku południowo-zachodnim <sup>2)</sup>.

Peterman mniéma, że dzieło angielskiego geografą W. D. Cooleya *Inner Afrika laid open*, wyszłe przed 30 laty, najwięcej przyczyniło się do tego zaniedbania Konga w kombinacjach geograficznych późniejszych odkrywców. Cooley-to, opierając się na źródłach portugalskich, tylko najbliższe i drobne dopływy Konga zachował (Quango i Caeje, mapa z 1855 r.), dalszy jego kierunek śródafrykański, dowolnie

<sup>1)</sup> *Zeitschrift der Gesellschaft für Erdkunde*, Berlin 1875, str. 116.

<sup>2)</sup> Po Tuckeyu jeszcze Tomasz Woggas (*Jour. R. G. S.* 1845, str. 374) wspomina o wielkiej rzece Ayah, o 68 dni drogi od Kalabaru, co także na Kongo zdaje się wskazywać wedle Petermana.

zmieniwszy z północno-wschodniego (jak to podał Tuckey) na południowo-zachodni.

Gdy Livingstone przez lata 1869—1871 r. bawił ciągle w Nyangwe, Bambarre i koło rzeki Luławy w celu jej zbadania, nadaremnie kupcom arabskim ofiarował 400 £. (16,000 złp.) za przewóz swych 10 ludzi i towarów w Udżdżi złożonych. 20 lipca 1871 r. niczego nie dokonawszy, musiał powrócić na wschód. W każdym razie Livingstone kierunek dla Luławy wyznaczał wprost na północ od Nyangwe na przestrzeni  $2\frac{3}{4}$  stopni szerokości, tak zgodnie z wiadomościami Tuckeya, Browne'a, Fako-Sambiego, Schweinfurtha, Nachtigala, że dziwi tylko jest, że nie połączono przed Stanleyem tych wskazówek linią od Nyangwe ku  $2\frac{3}{4}^{\circ}$  na północy. Tu zaczyna się Bahar-Kuta Nachtigala zidentyfikowana z Kubandą, a leżącą na  $3^{\circ} 55'$  północnej szerokości ( $3^{\circ} 45'$ ) wedle Bartha—Petermana a wedle Nachtigala na  $4^{\circ} 13'—26'$  północnej szerokości, a  $20^{\circ} 45'$  ( $22^{\circ} 20'$ ) i  $23^{\circ} 0'$  ( $23^{\circ} 5'$ ) <sup>1)</sup> wschodniej długości (Greenwich). Dalej idzie Tuckeya rzeka pod  $2^{\circ}$  północnej szerokości.

Cameron przybywszy 1 sierpnia 1874 r. do Nyangwe nie znalazł poparcia u tuziemców, którzy widzieli w nim nowego łowcę niewolników. Musiał więc 26 sierpnia 1874 r. zwrócić się na południe, ale unosząc w duszy przekonanie od Arabów powzięte, że Luława płynie wprost na zachód. Niewiadomo, o ile na tę teorią wpływało przekonanie o związku Luławy z Nilem lub Kongiem.

O Kongu pomyślał dopiero Stanley.

„Cała podzwrotnikowa Afryka (pisze on 30 października 1876 r. z Nyangwe) jest krajem dziewiczym, o którym nic nikt nie wie, nawet tutaj w Nyangwe. Livingstone pragnął wielce zbadać ją, ale nadaremnie i Cameron myślał o tém samym, lecz nic więcej nad Livingstonea nie dokonał.

„Cały kraj otacza tajemnicza głusza, a przesady obfite tuziemców warują strasznemi fikcjami. Wedle nich zaludniają go okrutnie złe kary, pęgowane jak zebry, koczownicze życie prowadzący, których bronią zatrute strzały, a pożywieniem słońce być mają. Olbrzymi las dziewiczy rozciąga się niewiadomo jak daleko na północ. W każdym razie nikt końca jego nie widział. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, jedzie się przez ten las zapadły podzwrotnikowej Afryki i przez cały ten czas słońca nie ujrzyysz, za gęstym liściem. Wielka rzeka Luława płynie na północ bez końca. I kto wie, czy nie mówią prawdy Arabowie, że oceanu nakoniec dosięga?

„Pytając się Araba, który najbardziej na północ się posunął, o szczegóły tej jego podróży przestałem się dziwić statęj myśli Livingstonea, że Luława wpada do Nilu. Arab ów opowiadał, że po 15 marszach na Uregę ku północy <sup>2)</sup>, przybył do Luławy, która tu skręcała

<sup>1)</sup> W tekście są obliczenia Nachtigala, w nawiasach Petermana z podróży Bartha.

<sup>2)</sup> Stanley zdaje się liczyć 4 marsze na trzy dni (uwaga Petermana).

się na półn. półn.-wschód. Gdy słowa tego człowieka potwierdzili jego towarzysze, muszę mu wierzyć; wszakże z jego słów bynajmniej nie wnoszę, że Luálawa wpada do Albert-Nyanza i łączy się z Nilotem porzeczem, lecz że raczej dobiega aż pod równik i ztamąd płynie na południo-zachód do Konga. Wedle mego przekonania (pisze on dalej) Luálawa nie jest Nilem, mimo swego północnego biegu, bo już w Nyangwe tak obfitą masę wód toczy, że starczyłoby ich na trzy Nile."

Więc rusza, bądźco bądź go spotka, na zbadanie biegu Luálawy, jego związku z Kongiem bez względu na mogące mu tu zagrozić niebezpieczeństwa, może i na niemożność powrotu. Zwiększa swój orszak, przez choroby i zbiegostwo, wielce zmalały, do 210 głów, z tego 140 w fuzye, 70 w włocznie zbrojnych i z tą garstką 5 listopada 1876 roku opuszcza Nyangwe... a 8 sierpnia 1877 r. staje w Embommie nad dolnym Kongiem.

10 sierpnia 1877 r. ztamąd wysłał telegram do *Daily Telegraph*, który go ogłosił 17 września. Telegram brzmi jak następuje: „8 b. m. przybyłem tutaj z Zanzibaru, w opłakanym stanie, w 115 osób. Opuściliśmy Nyangwe w Manyemie 5 listopada 1877 r., udając się ładem na Ureggu. Niemogąc przedrzeć się przez gęste lasy, przeszliśmy Lualabę i wzdłuż lewego jej brzegu podążaliśmy przez południo-wschodnie Ukusu. Mieszkańcy stawiali opór, trąpili nas dzień i noc, zabijali i ranili mi ludzi zatrutemi strzałami. Toczyliśmy walki w tych ludożerczych krainach bez nadziei pomyślnych rezultatów. Sprobowaliśmy ułagodzić dzikich podarkami i uprzejmością. Dary odrzucili, cierpliwe nasze zachowanie się uważali za tchórzostwo. Na dobitkę nieszczęścia, najęta w Nyangwe eskorta 140 ludzi odmówiła dalszego pochodu. Jednocześnie krajowcy wyteżyli wszystkie swe siły by nas zniszczyć z kretesem. Broniliśmy się; wszakże, niechcąc wracać się, i niechcąc zaczętego dzieła, wypadało się uciec do jedyne go środka wyjścia z nieszczęśliwego naszego położenia. Wypadało użyć naszych łodzi. Lubo na wodzie istotnie górę braliśmy nad dzikimi, przecie i tu pochód jednego dnia był odbiciem trudów poprzedniego.

„Była to walka rozpaczliwa, uciążliwy marsz na przebój w dół rzeki, pokąd w tych ciężkich utarczkach niedobiliśmy się do łańcucha wielkich katarakt. Te w liczbie pięciu, niezbyt odległe od siebie, na północ i południe od równika zatrzymały nas w dalszej wędrówce. By je ominąć, wypadło wyciąć sobie drogę 13 mil angielskich długą przez las gęsty i 18 łodzi z szalupą ekspedycyjną przenieść suchą drogą, przyczem napady tuziemców zmuszały nas często topór na broń palną zamieniać.

„Minąwszy te wodospady, mieliśmy dość czasu odpocząć po trudach ciągnięcia naszych czółen po ziemi. Pod 2<sup>o</sup> poł. szer. wielka Lualaba skręcała ze stale dotąd prawie wprost na północ zwróconego kierunku na północny zachód, potem na zachód, dalej na południo-zachód. Tu miała 2—10 mil angielskiej szerokości, i pełną była wysep. By uniknąć nużących zapasów z tyłu pokoleniami zuchwałych ludożerców, musieliśmy płynąć wskroś archipelagu, aż nakoniec trzy dni zgoła nic

niejadłszy, trapieni głodem wściekłym, zdecydowaliśmy się czoło stawić losowi, i przybyliśmy do lewego brzegu. Na szczęście plemię tu spotkaane, obeznane było z korzyściami handlu. Posiadali cztery muszkiety pochodzące z zachodnich wybrzeży; rzekę nazywali Ikutu Ya Kongo. Zawarliśmy pobratymstwo i nakupili tyle nam potrzebnej żywności podostatkiem. Zarazem sprobowaliśmy, ażali dalsza żegluga wzdłuż lewego brzegu rzeki nie powiedzie się?

„W trzy dni później nastąpiło spotkanie z potężnym jakimś plemieniem, którego całe męzkie pogłowie było zbrojne w muszkiety i zaledwo nas spostrzegłszy, wsiadli na 54 wielkich łodzi i napadli na nas. Dopiero straciwszy trzech ludzi dałem pokój nawoływaniom, żeśmy przyjaciele i zaniechałem im przedstawiać ubranie na podarek. 12 mil angielskich płynęliśmy po tej strasznej rzece, tocząc bój najżartowszy z napastnikami. Był to też największy ale i przedostatni bój z 32, jakie stoczyłem, płynąc Lualabą.

„Rzeka ta, zbliżając się do Atlantyku, bierze nazwy Kwango i Zairy, zmieniwszy nieraz poprzednio swe miano. Na całej przestrzeni między 26 a 17° wsch. dług., bieg Lualaby nieznajduje żadnych przeszkód w rozległej dolinie, którą przerywna w długości 1400 mil angielskich, biorąc znaczną liczbę dopływów wspaniałych, zwłaszcza ze strony południowej. Później rozrywa szeroki grzbiet górski, oddzielający ową dolinę od Atlantyku, i przelewa się przezeń w trzydziestu kaskadach i rwących prądach, poczem rozlewa się w wielką rzekę na przestrzeni od wodospadów jellalskich do oceanu.

„Straty nasze były ciężkie i dotąd jeszcze noszę żalobę w sercu po stracie ostatniego towarzysza białego, dzielnego i pobożnego młodzieńca, rodem Anglika Franciso Pockock, który 2 czerwca b. r. wpadł w kataraktę Masasy. Tegoż samego dnia wodospad Mowy ledwo mnie z 7 ludźmi niepochłonał, a sześć tygodni później z całą załogą (statku) „Lady Alice“ stoczyłem się po falach kaskady Mbelo, cudem ledwo ocalałszy. Straciłem też i mego wiernego, młodego towarzysza Kalulu. Z Bomy parostatkiem przewiozę całą wyprawę do Kabindy a ztąd do św. Pawła de Loanda. Pan Pice z firmy Hatton and Cookson w Liverpoolu jedzie na Angolę z memi listami do was. Henry M. Stanley.“

Wedle późniejszych wiadomości, wyprawa przybyła do św. Pawła Loanda, w bardzo smutnym stanie <sup>1)</sup>.

Na zarzuty czynione Stanley'owi, że odkrycia jego geograficzne tyle krwi kosztowały, Peterman odpowiada najprzód zestawieniem strat orszaku Stanleya i Tuckeya. Pierwszy przez 9 miesięcy z Nyangwe do Atlantyku stracił 34 Wanguamów i 1 europejczyka, Tuckey w 1816 roku przez 3 miesiące, 18 europejczyków i 11 kolorowych. Następnie geograf niemiecki zapytuje chłodno: „a czyż huma-

<sup>1)</sup> Spotkał się tu Stanley z wyprawą portugalską majora Sorpy Pinto (16 sierpnia) i chciał wraz z nią wrócić przebytą już raz drogą napowrót. Towarzysze jednak oporem swym skłonili śmiałego podróżnika, iż statkiem z nimi wrócił do Zanzibaru a ztąd sam do Europy.



nitarnie dzieło zjednoczenia Niemiec spełniło się bez rozlewu krwi, a przecież tu działały narody najucywilizowańsze na świecie, nie zaś dzicy i ludożercy Afryki? Z górą 1,000,000 żołnierzy padło w prusko-niemieckiej wojnie, i do 100,000 ludzi niewinnych zabito lub zraniono. Gwoli sprawom ludzkości „dla polepszenia doli chrześcian w Bulgaryi, toczą się wojny najkrwawsze, najbardziej nieludzkie, najdziksze, jakich świat niewidział.“ Z listów zaś Stanleya, kończy Peterman, widzę owszem, że ten człowiek postępował sobie energicznie ale zarazem w sposób szlachetny i wzniośle. I w istocie fakt troszczenia się o powrót towarzyszy do ich ojczyzny, najlepiej świadczy o dobroci serca Yankeskiego podróżnika. A rezultat tej wyprawy? Kto wie czy nie słusznie go określa Peterman zdaniem: „o ile się zdaje Stanley miasto szkodę Afryce i jej milionom przynieść, inaugurował swoją podróżą nową dla niej erę.“ Lecz o tym potem. Podróż ta ze względów naukowych, jak słusznie zauważa Behme, ma taką doniosłość dla afrykańskich poszukiwań geograficznych, jak dla Australii podróże Warburtona, Forresta i Gilesa. Rozerwane dotąd spostrzeżenia ze wschodu, zachodu i północy w ogólnych zarysach składają jakąś całość hydrograficzną, którą tylko dalsze ekspedycje uzupełnią i wykończą oraz sprawdzą w szczegółach.

Zgodnie z powieścią Livingstona, której błędnie przeczył Cameron, rzeka Stanleya płynie od Nyangwe ku północy, niemal prostopadle, blisko 2° szerokości północnej skręca na zachód i południowachód, zraszając dalej zachodnią połowę podrównikowej Afryki, jak to przedstawiała mapa Camerona, i zbliża się do Schweinfurtowej rzeki Uelle, oraz okolic zbadanych z Wadaju i Baghirmi. Od 17° wschodniej długości ma 6 katarakt, potem na długości 180 mil spada o 585 stóp przez tak liczne kaskady, że większych Stanley naliczył 62. Między temi a podzwrotnikowemi kataraktami Kongo przedstawia 835 mil angielskich długości nurtu żeglownego. Czy Uelle wpada do Konga czy do Szary, jak sądził Schweinfurth dotąd niewiadomo; faktem jest już zato, że wielka rzeka płynąca na południe Wadaju, którą Barthowi nazywali Kubandą, Nachtigalowi Kutą, jest Kongiem.

Pomijając już jednobrzmienność *Ikutu Ya* Kongo Stanleya z Kutą Nachtigala, musimy we wspólnym wszem tym podaniom rysie wielkości, którym rzeka Bartha i Nachtigala góruje nad inne również na południe Wadaju płynące; rysie nieobcym Kongu, przez obecne studia w téż strony posuniętemu, uznać cechę charakterystyczną tegoż Konga. W porównaniu z Kongiem, Szary jest karłem, a dla innego takiego olbrzyma jak ta Brahma-Putra afrykańska, brak miejsca w podrównikowej Afryce. Porzecz Konga, wedle mapy tymczasowej z badań Stanleya przez Petermana skreślonej, wynosi 59,100 mil niemieckich □ powierzchni, a czego na kotłinę Tanganyiki przypada 5,500. Porzecz Renu, wzięte dla porównania wielkości, ma 3,600 mil niemieckich □ powierzchni. Stanley oblicza też samą przestrzeń na 860,000 mil angielskich □.

Lualawa-Kongo, wypłynąwszy z jeziora Mweru,—które z jeziorem Bangweolo (Bemba) łączy się przez rzekę Luapulę (w pobliżu której umarł Livingstone)—zmienia pokilkakroć nazwę. Manjuemowie dają jej miano Luálawa, północniejsi Wainyowie: Ruárowa, Bukusowie wtrącają dźwięk *w* (Ruárowa), a pod równikiem jak wspominało już Ikuu Ya Kongo. Stanley proponuje dla całego biegu przez się odkrytej rzeki miano Livingstone.

Koło równika wpada do niej: Ikelemba albo Uriki, prawie tak wielki jak nurt główny. Stanley identyfikuje ten dopływ Uriki z Kasabi (Kasai). Barwy wód jego są podobne do herbaty, i odróżniają się jeszcze w odległości 130 mil w nurtach Konga, który dopiero koło morza zmienia swe fale na jasnobrunatne. Oprócz tej Narwi afrykańskiej, Kongo ma drugi dopływ Aruwimi, zdaniem Stanleya identyczny z Uelle Schweinfurta. Nieco na zachód 18° wschodniej długości (wedle Greenwich) wpada do Konga Ibari, rzeka kraju Nkotu, szeroka na 1500 stóp; Stanley uważa ją za dolny bieg Kwango. Między Aruwimi a Uriki wpada z południa do Konga dopływ Sankuru, dość znaczne jezioro mający na środku biegu.

Podróż Poggego członka niemieckiej ekspedycji z Loando do Kimbundo z Quizimene (Musumba to jest stolicy Muata Jauwo) 1875 r. dostarczyła materiałów do skrócenia poprawnego biegu południowo zachodnich dopływów Konga (raczej Kasabi sądząc po mapie), jako to Czykapa, Luachimo, samego Kasabi, Lulua, Lubilas. Nie kończą się jednak na tym wszystkie już nie *cosas d'España* lecz *d'Africa*. Ekspedycja francuzka, badająca bieg rzeki Ogowe, (wpadającej do zatoki Nazareckiej, na południu Gabunu) pod wodzą Marche'a i Savorgnana de Brazza <sup>1)</sup>, ogłosiła już geograficzne położenie zbadanych przez się punktów tej rzeki, za ich podstawę biorąc wieś Lope w kraju Okanda, przez Walkera oznaczoną w 1873 r. (0° 6' 45" południowej szerokości 9° 35' wschodniej długości paryskiej, 11° 55' wschodniej długości Greenwich). Oznaczenia te sięgają od ujść Iwindo, kędy Marche z de Compiègnem 1874 musiał rozpocząć powrót, aż do ujść Kaileja (oba dopływy Ogowe). Jest to punkt, już bardziej na wschód położony jak kres podróży du Chaillu 1865, stopniem dalej na południe zmierzającego w głąb Afryki <sup>2)</sup>. De Brazza podaje, że Ogowe, (którego kartę już mamy) jest tylko ramieniem Konga. Wiadomość ta jeszcze z niedowierzaniem przyjmowana przez geografów niemieckich, ma za sobą zgodną opinią Bowdicha (1817 r.), który nawet podaje nazwiska miejscowości, gdzie rozdział głównego nurtu Konga i Ogowe ma następować. Ma to być Tanyau.

Tym szczegółom wiele prawdopodobieństwa dodaje fakt, iż Savorgnan de Brazza (wedle listu z Dume 0° 56' południowej szerokości, 13° 14' wschodniej długości Greenwich) spotykał nad Ogowe ludy, na

<sup>1)</sup> *Bulletin de la Soc. de Géogr. de Paris*. Lipiec 1877.

<sup>2)</sup> Muau Kombo 1° 23' południowej szerokości i 11° 23' wschodniej długości paryskiej.

mapach 1876 r. oznaczone w okolicy Kongo i Kwango jak oto M'bam-ba, Umbete, Bateke, Awumbo. Pogge już wspomniany, opierając się na wieściach swego przewodnika Saturnino, że źródła Konga a Kasabi i Kwango są jedne, przeciwny jest tożsamości Lualaby i Konga. Przy-szość okaże kto ma rację.

Środkowa kotlina Afryki w granicach przez Stanley'a zakreślonych, to jest od zachodnich upłazów (tarasów) pojezierza górzystego na wschodzie do wschodnich stoków nadmorskiego gór łańcucha na zachodzie, a na południe zaś do Kabebe i Kobango (9—10° południowej szerokości) ma 450,000 mil angielskich □ powierzchni wedle Stanleya. Wedle jego opisu byłby to eden ze względu na żyzność gruntu i bogactwo flory zwrotnikowej. W Ukusu są całe lasy palmy olej dającej. W Katandze są kopalnie złota i miedzi, a kość słoniowa służy do budowy świątyń i płotów, którei okalają bałwany. Co większa, z tego materiału sporządzają najpospolitsze narzędzia.

Prócz Ugoyo, nie widział Stanley żadnej krainy tak ludnej jak ta środkowa kotlina Afryki. Zbiorowiska mieszkań nie tworzą już wsi, ale miasta, często na 2 mile długie, o dwu lub kilku ulicach szerokich, o domach pięknie i schludnie zbudowanych, które przewyższają temi zaletami budowlę całej wschodniej Afryki.

Ulubioném zajęciem ludności jest handel. Targowisk jest wszędzie pełno. Charakter ludności, ulegającej wpływowi Arabów lub Portugalczyków jest zawsze zepsuty: to uparci, swarni, to wojowniczy. Tak ludność w Nyangwe jest dzika, pochopna do zdrady, niechętna i wroga cudzoziemcom. Bakusu są tak mile usposobieni zdaniem Stanleya, że zebranie biskupów i misjonarzy uważaliby za piękną dostawę zwykle spożywanego... *roast beef*u.

Poniżej Aruwimi (Uelle wedle Stanleya), ludność również jest ludożerczą. Chcąc uniknąć zetknięcia się z tymi kanibalami, musiała się wyprawa amerykańska trzymać ile możności środka rzeki. Również i w Mangali musiano walczyć z tuziemcami. Obie téż okolice są w sferze napadów muzułmańskich. Takiż sam skutek wpływów obcych (zwłaszcza dostarczania araku) znalazł Stanley na dolnym Kongo.

Za to za Batelu wewnątrz Afryki, Stanley nie może się nachwalić uprzejmości i przyjaznych objawów plemion, których obcy nie zepsuli. Pięć miesięcy płynąc przez okolice, pierwszy raz obcym okiem widziane, nie doznał najmniejszej przykrości.

W ogóle jednak trudno o charakterze tych śród-Afrykanów napewno wnioskować. Tam, gdzie (na południu jeziora Uberewe) Stanley musiał staczać boje, misjonarze angielscy spokojnie krążyli. De Compiègne i Marche w 1874 r. ustąpili przed tymi samymi krajowcami nad Ogowe, z których pomocą teraz Savorgnan de Brazza coraz dalej w górę nurtów téj rzeki się posuwa.

Dr. Lenz <sup>1)</sup> podaje z autopsyi szczegóły o mieszkańcach pobrze-

<sup>1)</sup> *Deutsche Geografische Blaetter*, 1877, zes. 2 (organ Towarzystwa geogr. w Bremonie).

ży Ogowe, pozwalające sądzić, że tam osiedli od 20—30 latami Akelle (Mbangwe po części), oraz Fan (Oszeba i Mpangwe też zwani) są mieszkańcami porzecza Konga. Uważa bowiem, że Fanowie mieszkają od prawego brzegu środkowego i dolnego Ogowe (0°—1° połud. szer.) począwszy, do Atlantyku; a na północ dochodzą do 4 i 5° szer. półn. Zestawia ich nawet z Niam-Niam i Monbuttu Schweinfurtha: tak z rysów, jak obyczajów i broni, i mniema, że środkową Afrykę pod równikiem od zachodu na wschód zajmuje różnoimienna, ale przymiotami zespolona z sobą jedna masa czarnych ludożerców, pokrewna jego Fanom. Jest tego zdania i Behm.

Pozostawiając specjalnemu organowi szczegóły o licznych portugalskich, angielskich, niemieckich, włoskich i t. d. wyprawach do Afryki, oraz komitetach po całej Europie w tej myśli założonych (nawet w Rosyi), zaznaczamy tu tylko jeden szczegół ważny dla przyszłych dziejów Afryki.

Dr. A. von Frantzius w rozprawie o pierwotnej ojczyźnie była europejskiego <sup>1)</sup>, dowodząc z wszelkiem prawdopodobieństwem, że takowej szukać należy w środkowej Afryce, taką czyni uwagę o murzynach: „Byliśmy w ogóle dotąd niesprawiedliwi dla murzynów i ich zasług położonych w dziejach cywilizacji. Dopiero w ostatnich czasach przyznano im sławę odkrycia sztuki dobywania żelaza z rudy. Dziś już nikt nie wątpi, że dotąd w użyciu u murzynów będący sposób uwalniania tego kruszcu z obejmujących go materyi, jest ich odwiecznym wynalazkiem. Zato zasług ich jako hodowców była rogatego, dotąd nie zauważono: a cóż dopiero mówić o uznaniu! A jednakże oswojenie była było jednym z najcenniejszych nabytków ludzkości, a zawdzięczamy go murzynom” <sup>2)</sup>. Nie brak też pomysłów otwarcia wnętrza Afryki, dobycia jej skarbów. Z jednej strony Gerard Rolfs i pułkownik francuzki Champouhet myślą o kolei żelaznej przez Saharę, i obliczają odległość: z Trypolis do studni Belkas-schyfery; z Algieru do Tymbuktu. I zapewne pod wpływem tych projektów, p. Bernardin, konserwator Muzeum handlowego i przemysłowego w Gandawie, oblicza w dziele: *L'Afrique centrale, Etude sur les produits commerciaux* (1877), płody naturalne Afryki, których wywóz opłaciłby się. Z drugiej strony, wykrzywie, że Kongo stanowi wodną komunikacją między Atlantykiem a pobrzeżem oceanu Spokojnego, sprowadzi z pewnością nietylko projekta użytkowania jej dla celów cywilizacyjnych (Cameron), ale i próby wprowadzenia ich w życie. Pozostanie to w każdym razie zasługą dzielnego Stanleya, że po yankesowsku *go-ahead* wciąż idąc, spełnił to w rzeczywistości, co z pomocą balonu każe francuzki Verne li fantastycznemu swemu podróżnikowi dr. Ferguson spełnić, i otworzył dla świata szczerlnie dotąd zamknięte serce Afryki.

<sup>1)</sup> *Archiv f. Anthropologie*, t. X, str. 129.

<sup>2)</sup> Peschel jest innego zdania, uważając, że murzyni już oswojono dostali z Azji.

# KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wojna wypowiedziana kobietom uczonym przez p. Barbey d'Aureville (*Les bas bleus*).—*Podróż Karola W. na Wschód*, epopea z XI wieku, studjum Gastona Paris.—Rozprawa pedagogiczna profesora berlińskiego Bois Raymond.—*Żegluga napowietrzne* Gastona Tissandier.—Gustaw Courbet, naczelnik szkoły realistów w malarstwie.—*Wyprawa pułkownika egipskiego Challi Long do Afryki środkowej*. *Harmonia dźwięków* p. Rambosson.—Dramat Legouvégo: *La Separation*.—Poranki charakterystyczne Maryi Dumas: *Elektra* Sofoklesa, *Sejm Niewieści* Arystofanesa. Galerya etnograficzna przy Muzeum artylerji, w zakładzie Inwalidów.—

Od lat kilku p. Barbey d'Aureville rzuca niby race fajerwerkowe, luźne tomiki p. t.: *Wiek XIX dzieła i ludzie* (*Les oeuvres et les hommes*). W czterech tomach, jakie się dotąd pojawiły, widzieliśmy całą galeryę dziennikarzy, romansistów, poetów, złośliwie skarykaturowanych. Piąty z rzędu tom, poświęcony literatkom francuzkim. Autor zebrał tu, jak mówi, samą śmietankę; w następnym tomie ujrzymy zsiadłe mleko. Tytuł nowj publikacyi: *Les bas bleus* (*Błękitne pończochy*), a celem jęj krucyata przeciw kobietom uczonym.

Cała wyższość kobiety, według autora, leżała w tym wdzięku nieokreślonym, którego nie znaleźć w literaturze ani w sztuce, a który polegał wyłącznie na zawracaniu głów, dopóki mężczyzni mieli głowy. Gdy ich zabrakło, próżność kobięca pełna niegdyś uroku, przerodziła się w pychę potworną, gdyż bezsilną. Wówczas, oderwały pióro od kapelusza, gdzie było mu lepiej pozostać; schwyciły je w rękę i dalejże bazgrać nięm po papierze, frymarczyć literaturą, dobijać się rozgłosu i sławy.

*Bas bleus*, mówi autor, są we Francyi obcą naleciałością; szarańcza ta za czasów Popego wylęła się w Londynie, w którym kobiety zatopione w świecie intelektualnym, zatraciły poczucie smaku i wzięły błękitne chłopskie pończochy. Ztamtąd owa plaga rozlała się po wszystkich krajach; największe spustoszenie uczyniła we Francyi, tym kraju arcy-salickim, który w języku swoim nawet nie ma wyrazu na określenie *autorki* i *literatki*. Wprawdzie były tu niegdyś pretensjonalne sawantki, tak ostro schłostane przez Moliera, ale autor przebacza im wszelką śmieszność, gdyż chodziły w atlasach i jedwabnych pończoszках, a pióra powiewały z ich upiętrzonych fryzur.

Nieprzebragany wróg literatek, nie przebacza zarówno malarkom i profesorkom. Krzyż Legii honorowj na piersiach Róży Bonheur, doprowadza go do wściekłości. Pojąć mu trudno, jakim sposobem mężczyźni chodzić mogą na konferencye kobięce. Z pomiędzy wszystkich muz, jednej tylko, według niego, przystało kobięcie składać hołdy.

„Tą muzą Terpsychora! Żadna pisarka ani malarka, nie stała się tęp w swym zawodzie, czém była w tańcu Taglioni.”

„Biada kobiecie, mówi autor, gdy ją opęta raz dyabeł błękitny, nie wypłacze się z jego szponów. Pisanie to grzech śmiertelny dla natury niewieściej, to coś prawdziwie potwornego. Łatwiej stworzyć sztuczne ostrzygi, niżli w niewieściej głowie, utworzyć męzki rozum. Żadna pisycykultura intelektualna nie spełni tego cudu. Kobiętom brak twórczości. Komunistki z usposobienia, przywłaszczają sobie cudzą własność, przeżywają tylko myśli cudze. Wszystkie ich romanse podobne do siebie, jak ryciny z żurnalu; pióro mają lekkie, ale z pod tego pióra wypadają same komunauy!”

Po takim wstępie, autor kreśli (jak nateraz) postacie dwudziestu sześciu literatek XIX wieku: reszta później nastąpi. A dość ich. O ile wiemy, samo *Towarzystwo literackie* w Paryżu, liczy ich 60, mimo trudności, jakie stawia elekcyom. Szereg rozpoczyna pani de Stael. To geniusz, zdaniem autora, czysto niewieści, pozbawiony siły samodzielnej. „Jak świat potrzebował *prztyczka Bożego*, aby rozpocząć wirowe obroty w przestrzeni, tak i pani Stael potrzebowała *prztyczka* obcą wymierzonego ręką, by myślą wybiedz ku wyżynom. Styl jęj barwny i melodyjny, strojny, jak kobięta ubrana po balowemu, ale brak mu potęgi. Nie stąpi kroku o własnej sile. Postawmy przy nim lwie pazury Buffona, lub Herkulesową maczugę Bossueta, a przekonamy się, że pani Stael kobięta jest i niczém więcj.”

Z wszystkich jęj prac literackich, nowy krytyk najwyżej stawia Delfinę i Korynnę, gdyż w tych słynnych niegdys, a dziś zapomnianych romansach, odkryła tajniki serca własnego. W wielkiej autorce podnosi autor nad wszystko słabość niewieścia; ceni ją głównie ztąd, że zawsze niespokojna, że zniechęca się łatwo, że lęka się nudów jak ognia, że lada zadraśnięcie śpilką, sprawia jęj konwulsyjne tortury, że ją przestrasza wszelka boleść, a nadewszystko śmieszność.

Przy pani de Stael, autor stawia piękną panią Recamier, w której „przez lat trzydzieści, kochała się platonicznie cała Europa.” W nięj znajduje najwyższy ideał doskonałości niewieściej. „Pani de Stael, mówi on, oddałaby całą chwałę swoją za piękność i za szczęście w małżeństwie, dwa tylko klejnoty godne ocenienia z całej puściny, jaką matka Ewa zostawiła kobięcie!”

W jaskrawych barwach maluje krytyk Zofią Gai, znaną roman-sopisarkę z piewszej połowy tego wieku. Według niego jestto typ *bas bleu*, w całym znaczeniu słowa. „Szpetna a cheiwa tryumfów, z rozpaczy rzuciła się do literatury. W roku 1848 widywał autor na obiadach u Lamartina, tę starą *kwokę literacką*: w potwornym korne-cie, z grubym głosem, kłęta jak grenadyer.

Już z tēj cytaty może czytelnik przekonać się, jaki jest ton całej tēj dyatryby. Nie jestto jednak najwyższy wyraz tēj trywialnej szykany i karykatury wszystkich odznaczających się w literaturze kobię-t.

Pomijamy łagodną stosunkowo charakterystykę „szczytnej genialności” Delfiny Girardin, córki owęj *kwoki literackiej*, genialności, którą krytyk spostrzegł w listach przez Delfinę pisanych do Presy pod pseudonimem marg. de Launay, a traktujących o fatalaszkach, o jakiejś sukni z ośmiu wolantami. Mniejsza o wyrok bezbarwności stylowej, braku oryginalności wydany na Georges Sanda, lub księżny Belgiozo, która nakreśliła „obraz (podróży swój po Wschodzie) chłodny, czczy, bezbarwny, pełen sprzeczności, słowem taki, jaki kobiécie kreślić wolno.”

Autor przewyższa sam siebie, nazywając Daniela Stern (hr. d'Agout) „jąkownicą literacką,” w czém uprzedził go Trentowski, zowiąc Daniela „uczoną krową;” dla pani Quinet, za jęj *Paryż podczas oblężenia* znalazł autor frazes taki: „Trzeba było bomb pruskich, aby wysadzić w powietrze tę beczkę prochu patryotycznego, te kartacze frazesów.”

Pominięcie pani Michelet, zdaje się być albo wynikiem względów osobnych lub zniewagi z góry obmyślonej, jeśli ocenę prac jęj autor pomieści w *kwaśném mleku* drugiego tomu.

Dla pani Gasparin, pan Barbey d'Aurevilly jest niewyczerpany w pochwałach. Zowiąc ją Micheletem zdrowym, sklarowanym, obmytym, jakim był w pierwotnej czystości, nim nadużył cudownych darów swoich, nim utracił anielskie skrzydła.

W *Widnokregach niebiańskich (Horisonts celestes)*, pani Gasparin, zdaniem krytyka wzniosła się w owe jasne sfery, po których szybował geniusz Danta, *wyżej nawet*, bo dusza jęj nie zna rozpaczy. Podczas gdy Dante jak pelikan, karmił świat krwią serca swego, ona kryje głęboko boleść i uświęcona nią, pokazuje nam raj stokroć jeszcze piękniejszy!”

Po tylu i tak przesadnych pochwałach, dowiadujemy się, że pani Gasparin brak całkiem oryginalności, „bo kobiéta nie może być oryginalną, bo każda Ewa stworzona z żebra Adamowego, każda jak kameleon przybiera męzkie barwy, a niekiedy powtarza je nawet w czystszej światłości.” Ztąd oczywisty wynik, że kobiécie wolno być *praczką literacką!*

Wśród tego szeregu ośmieszonych postaci występuje i panna Klarysa Bader. Krytyk nie odmawia jęj głębokiej erudycyi, ani pisarskiego talentu, ani gruntownych zasad, i dliczegóż ją ściga tak zawzięcie? Czyżby dlatego, że w czterech dziełach: *O kobiécie indyjskiej, hebrajskiej, greckiej i rzymskiej*, autorka wspierając się na pomnikach historycznych i literackich, ukazuje wszędzie stosunek najściślej-szy między poszanowaniem kobiety a pierwotną czystością obyczajów! Panna Bader podwójnie jest winną, zdaniem krytyka: raz, że sama wzięła błękitne pończochy, powtóre, że daje pochop innym kobiétom w tym kierunku, „wmawiając w nie *z całą naiwnością*, jakoby niewiasta równą była męzczyźnie przed Bogiem, równie odpowiedzialną za swe czyny!”

Co za przewrotność umysłu i serca! bo przecież Barbey d'Aureilly przechwala się nieraz ze ścisłości swych zasad chrześcijańskich. Wstrzymujemy się od wszelkiej polemiki, rzecz bowiem sama przez się przemawia dostatecznie.

P. Gaston Paris, profesor literatury w Kolegium francuzkiém, na doroczném posiedzeniu Instytutu rozbiarał oryginalny poemat z XI wieku: *Podróż Karola Wielkiego na Wschód*. Ten odłam starożytnéj epepei francuzkiéj, długo zagrzebany był w prochu niepamięci, zarówno jak *Pieśń o Rolandzie*. Niedawno dopiero filologowie francuzcy odkryli w Anglii kopią poematu, dokonaną według zagubionego tekstu. Wprawdzie klechdy ludowe przechowały w pasmie wieków główne rysy podania, ale tak przekształcone, że trudno było schwycić ich wątek. Pierwszy Gaston Paris zajął się zbadaniem drogocennego pomnika; opierając się na prawach lingwistyki, jak niemniej na innych danych, odnosi go do czasów poprzedzających pierwszą krucyatę, kiedy pielgrzymi za powrotem z Jerozolimy, rozpowiadali dziwy o świętym grodzie i o zwiedzanych krajach. Według uczonego krytyka, poemat ten, pełen życia, zaprawny fantastyczną barwą, tryskający swobodnym dowcipem, jest bezzaprzeczenia utworem paryzkiego poety. Przytaczamy główną treść epepei.

Razu jednego Karol był w opactwie St.-Denis. Z koroną na głowie, z mieczem u boku, przechadzał się w obec królowéj i paladyńów. Nagle zatrzymuje się przed małżonką:

— Pani moja! — zapyta — jestże ktoś pod słońcem, ktoby lepiej nosił miecz i koronę?

— Po co się tak chełpić, mój panie—odpowié niebacznie królowa—znam ja króla, co wygląda wdzięczniej od ciebie i wspaniałej!

— I któż on taki?—zawoła Karol gniewnie—Pójdę z rycerstwem mojem, zajrzę mu w oczy. Jeśli prawdą co mówisz, niechajże i tak będzie; jeżeli kłamstwo splamiło twe usta, utnę ci głowę za powrotem.

Królowa drżąca jak liść, wymienia Hugona, króla Konstantynopola. Karol powołuje baronów, zapowiada im, że idzie do Jerozolimy; chce zwiedzić grób Pański, po drodze musi poznać współzawodnika swego. Paladynowie gotowi iść za królem; dwadzieścia tysięcy rycerstwa zbiera się w oka mgnieniu. Wszyscy zawieszają na plecach pielgrzymie torby; nie mają tarczy, ani szpad, ani zbroic; z koszturym w ręku idą w daleką drogę. Starszyzna dosiada mułów. Dzwony opactwa uderzyły hasło pochodu.

Wnet minęli Burgundią, Lotaryngią, Bawaryą; zdeptali kraj włoski i grecki; stają wreszcie w bramach Jerozolimy. Karol idzie przez miasto z dwunastu baronami. Radosny w duszy, wchodzi do kościoła; siada w miejscu, kędy siadał niegdyś Zbawiciel. W ślad za nim, żyd jakiś wiedziony ciekawością, wsunął się do przybytku. Gdy wzrok jego spotkał się ze wzrokiem królewskim, drży jak liść, o mały



że nie pada bez zmysłów. Wybiega jednak, lotem strzały pędzi do patriarchy.

— Ojczel!—zawoła—chodź ze mną! dziś jeszcze chcę się ochrzcić. Dwunastu panów weszło w progi kościoła; w pośród nich jest trzynasty... Blask bije z ich oblicza, jak żyję takich nie widziałem; to zapewne Chrystus ze swymi apostołami.

Patriarcha pośpiesza do przybytku; poznaje króla, przyjmuje go ze czcią należną. Daje mu cierniową koronę, którą nosił Zbawiciel, i jeden z gwoździ świętych, i rękę, na której starzec Symeon piastował Dziecię Boże. Karol sypie nawzajem drogie dary. Cztery miesiące przebywa w grodzie świętym; zostawia w nim ślady szczodrobliwości swojej. Buduje kościół na cześć Bogarodzicy i szpital dla pielgrzymów.

Uszczknawszy palmowe gałęzie w Jerycho, Francuzi przez Syryę i Azyą mniejszą podążają do Carogrodu. Żona bije opodal od złocistych wieżyc i dachów miasta. O milę ciągną się laurowe ogrody. Tysiące rycerzy i strojnych niewiast krąży po kwiecistej murawie. W pośród nich król Hugon to przejeżdża się w złocistym rydwanie, to znów prowadzi złoty pług, uprzężony w woły o złotych jarzmach. W pałacu sprzęty kute ze srebra i złota. Na ścianach pociągniętych lazurem, przedstawione wszystkie zwierzęta co chodzą po ziemi, wszystkie ptaki co latają w powietrzu, wszystkie ryby i płazy napełniające dno rzek i oceanów. Sklepienia gmachu podparte wielkim srebrnym pilastrem; wkoło ogromnej sali sto kolumn marmurowych okutych w złoto, u stóp każdej kolumny para spiżowych dzieci trzyma w ustach rogi z kości słoniowej. Ilekroć wiatr powieje, rogi dzwonią we wszystkie tony, a sala wiruje w około. Na widok tych cudów, Karol Wielki i paladynowie ostupieli z wielkiego podziwienia.

Hugon przyjmuje gości z całym przepychem wschodnim. Zasiadają do uczy. Na stołach zastawiono jelenie, odyńce, żorawie, dzikie gęsi, pawie zaprawne pieprzem. Krążą z rąk do rąk szczerozłote czary pełne wina. Żonglery dzwonią pieśń, potrącając w struny wioli.

Po uczcie Hugon prowadzi Karola i paladynów do przeznaczonej im komnaty. Dwanaście łóżek ustawiono dokoła; w pośrodku panuje nad nimi pyszne łożo królewskie. Francuzi kładą się z sercem rozradowaném.

— Musimy uciąć wesoły rozhovor!—rzecze król do baronów,—i dalejże pleść koszałki opałki: jeden przesadza się nad drugiego. Ale nieszczęściem, chytry król grecki ukrył szpiega w wielkim pilastrze, podtrzymującym łuki sali. Ów szpieg nadstawia ucha na każde słowo, bierze za prawdę dziwaczne przechwałki Francuzów.

— Niech mi tu przyprowadzą—rzecze Karol—pierwszego z rycerzy Hugonowych; niech oblecze na barki dwie brojece, włoży na głowę dwa szyszaki, dosiędzie najdzielniejszego bieguna. Jak machnę ręką, rozpiątam na dwoje rycerza ze zbroją, z siodłem i rumakiem, a oręż mój utkwi na stopę w ziemi.

— Niech król Hugon pożycz mi rogu swego—zagadnie Roland —ja wyjdę na miasto i zadnę tak silnie, że bramy grodu spadną z żelaznych zawias. Sam król zatoczy młyńca tak wartko, iż purpura spadnie mu z ramion.

— Czy widzicie—rzecze Ogler Duńczyk—ten srebrny pilastr, co podiera sklepienia? Jutro rano wstrząsnę nim tak mocno, że pałac rozwali się w gruzy. Biada temu, kto nie uciecze w porę!

— Mam ja — powie Aymer — cudowny kapelusz z rybięj skóry, co czyni niewidzialnym. Jutro włożę go na głowę, a kiedy król Hugo siedzie do stołu, zjem wszystko z mis przed nim postawionych, wypiję wino z jego czaszy, nim ją do ust poniesie.

Inni parowie przechwalają się w tenże sposób; umilkli wreszcie i zasnęli. Szpieg słyszy jak chrapią, co tchu pędzi do króla, powtarza mu francuzkie gadaniny. Hugon zżyma się, przemyśla o zemście. Nazajutrz z rana gdy ujrzął Karola i parów, przystąpi do nich groźno.

— Szydziliście ze mnie—rzecze z gniewem—otóż jeśli nie spełnicie wszystkich pogroźek waszych, mój miecz upadnie wam na karki! Parowie stoją jakby im stopy wrosły w ziemię.

— Królu! — rzecze Karol — to obyczaj francuzki pleść koszałki opałki, zaczem zasną. Wczoraj uczęstowałeś nas wyborném winem, mamy odpowiadać za płoche słowa? Pozwól mi naradzić się z baronami.

I poszedł do kaplicy; wnet przyszli za nim parowie.

— Przebraliśmy podobno miarę—rzecze Karol—piliśmy zawiele i rozpuścili język bez potrzeby. Prośmy Boga, aby nas wybawił z téj niebezpiecznej toni.

Ledwie król rzekł te słowa, ukazuje się anioł zesłanec niebios.

— Nie lękaj się, Karolu—rzecze słodko—i ty i twoi parowie zbłądziliście wczoraj. Trzymajcież odtąd język za zębami, ale na ten raz wasza paplanina spełni się z woli Bożej.

Francuzi radośni w duchu, śpieszą co żywo do pałacu Hugona.

— Królu!—zagadnie Karol—postąpiłeś niegodnie z twymi gośćmi, ukryłeś szpiega w sypialni naszój. W każdym kraju taki czyn zwie się zdradą. Wino trochę nas odurzyło, pletliśmy koszałki opałki; chceszli jednak pochwyć nas za słowo? Wszystko cośmy rzekli, wnet potwierdzimy czynem.

— Zgoda—odpowie król Hugon;—a zatem wy książę Wilhelmie z Oranii, rozwalcież mury tego grodu, jakieście to zapowiedzieli.

Wilhelm za całą odpowiedź obłoczy barki skórą nieznanego zwierza, podejmuje ogromną kulę, którój trzydziestu ludzi ruszyć z miejsca nie mogło, wymierzy ją z silnym zamachem: padło na ziemię czternaście sążni muru.

— To czarownik, przysięgam na duszę!—zawoła Hugon—zobaczmy co uczynią drudzy? Bernard z Brusbachu przechwalał się, że wypchnie z łożyska wody rzeki i rozleje na miasto, niechże dokaże swego!

Bernard bieży co tchu w dolinę, staje nad rzeką, daje znak, a oto fala podnosi grzbiet coraz wyżej a wyżej, zalewa pola i łąki, toczy się gwałtownie ku miastu. Lud opuszcza domostwa, ucieka z życiem; król przerażony, wbiega na najwyższą basztę, wyciąga z niej ręce do Karola, obiecuje mu wszystko złoto, jeżeli ocali go od zguby. Karol pomodlił się, i woda wraca wnet do łożyska. Hugon zstępuje z baszty; chyli głowę przed swym wybawcą.

— I cóż—zagadnie król—chciałżebyś jeszcze nowej próby?

— Dosyć już, dosyć!—odrzecze Hugon—widzę żeś miły Bogu, chcę być wazalem twoim. Weź wszystkie moje skarby, odstawię je sam do Francyi.

— Nie wezmę ani denara—przerwie król—o jedną rzecz tylko poproszę. Odprawmy po mieście uroczysty pochód i włóżmy obaj złote korony.

Hugon zgadza się chętnie. Obaj królowie stąpają obok siebie, odziani purpurą, w koronach, z berłem w ręku. Karol o stopę i cztery cale przerasta rosnącego Hugona. Francuzi patrzą na to; jeden powtarza drugiemu: „Nasza pani królowa, ciężko się pomyliła; nikt na świecie nie wart mierzyć się z Karolem.

Po uczcie król żegna Hugona; przebywa obce kraje, powraca do słodkiej Francyi. Staje w opactwie św. Dyonizego. Kładzie na ołtarzu koronę cierniową, i gwóźdź święty. Królowa czekała w przybytku; rzuca się do nóg królowi, błaga o przebaczenie. Karol podnosi ją, przypomina urazy, dla miłości grobu świętego.

Poemat ten dziś zapomniany, używał jak widać wielkiego rozgłosu w świecie, skoro przełożony na język norweskimi, znajduje się w zbiorze sag skandynawskich. Odkryto go także w Walii, wśród licznych pomników poezyi starożytniej. Rzecz ciekawa, czy téż wsłuchawszy się dobrze, w klechdy naszego ludu, lub przypatrzawszy kroniki klasztorne, nie znaleźlibyśmy w nich żadnego oddźwięku tej starodawniej eposu. Trudno przypuścić, aby Benedyktyni, sprowadzeni do Tyńca z Kluniaku, lub inni francuzcy zakonnicy nie mieli utrzymywać związków ze swą metropolią. Przekonani téż jesteśmy, że przy bliższych poszukiwaniach, znajdą się w pomnikach naszych liczne świadectwa jedności z Zachodem, jak się znalazły w pomnikach skandynawskich.

Wielkie wrażenie między Francuzami sprawiła pedagogiczna rozprawa p. Bois Raymond, profesora uniwersytetu berlińskiego, zamieszczona w *Deutsche Rundschau*. Wiadomo jak po wojnie 1871 r., profesorowie niemieccy, a między nimi sam Bois Raymond, wystawiali instrukcyą w Niemczech, przypisując jej w wielkiej części, tryumfy swoje nad Francuzami. Inaczej dziś przemawia ów profesor, który kilka lat temu, przeproszał z katedry słuchaczy, za francuzkie nazwisko jakie nosi. W świeżej publikacji, potępia on najsurowiej dzisiejszy kierunek szkół w Niemczech. Według niego, wykład nauk,

jaki zaprowadzono, naraził już na wielkie straty intelektualny kapitał w narodzie, wzmacnia bowiem prąd niebezpieczny dla dzisiejszej cywilizacji: sprowadza amerykanizm, czyli nowe barbarzyństwo.

Profesor przypisuje ten zwrot ogromnej przewadze nauk przyrodniczych, w dzisiejszym wychowaniu. Umysł ujarzmiony rzeczywistością, ubożeje pod względem idei. Obrazy zacierają się w wyobraźni, uczucia milkną w duszy: ztąd jakiś chłód, oschłość, rozbrat z wdziękiem i poezją. Wreszcie, po usilnej pogoni ku naukowym wyżynom, umysł ludzki spada pomału do zastosowań technicznych, do niższych celów, do rzemiosła i zysku. Ameryka pokazuje w uderzający sposób, czém jest ta cześć bożka dolara. Jakaż tam dziwna sprzeczność! z jednej strony, szalony zbytek w rzeczach podrzędnych, chciwość bogactw i hojność niesłychana; z drugiej strony ciemnota, próżnia, gburowość, zapowiadające powrót do barbarzyństwa w nowój formie.

„Przyznajmy sami—mówi Bois Raymond—że idziemy szybkim krokiem do amerykanizmu. Widzimy państwo niemieckie silnie zjednoczone; pragnienia młodych lat naszych ziściły się: Niemcy szanowane dziś na lądach i na morzach! ale kiedy myśl uniesie nas w przeszłość, w on kraj niemiecki, rozszarpany, ubogi, słaby i skromno-mieszkański, zdala od zimnych blasków grodu cesarskiego, między dworki małego miasteczka, obrosłe bluszczem i winoroślą, ażaliż nie brak nam czegoś, co nas tak upajało i radowało? Ażali jak w onój pieśni o jaskółce, nie szepczemy z westchnieniem:

To, co było niegdyś moje,  
Oj, daleko dziś, daleko!

„Ten lud niemiecki, nicze nie stracił z dawnych uniesień ku ideałom, z żartkich polotów w jasną dziedzinę prawdy, z uroku życia domowego, co płynęło niegdyś tak słodko w ciszy i głębokiém skupieniu? Rozkwit naszej literatury znikł jak sen; Goete sam, gdyby dziś był młodym, nie zdołałby napisać Goetza Wertera ani Fausta!”

Od lat siedmiu zmieniły się czasy, a bardziej może zmienił pogląd profesora, wytrzeźwionego z wielu złudzeń. Prąd rycerski porywający wtedy serce, przedstawiał mu wszystko w najświetniejszych barwach. Z patryotyczném uniesieniem mówi wtedy o uczuciu niemieckim, tój chlubie narodu, co z Homerem i Szekspirem w tornistrze, biegł walczyć za jedność ojczyzny niemieckiej! Dziś wszystko inaczej, inaczej! W r. 1877, Homer i Szekspir nie obchodzi nikogo, sam nawet Faust, poemat arcynarodowy, zaniedbany już całkiem! „zbliżamy się do czasów, mówi profesor, kiedy nikt nie ośmielił się zacytować kilku wierszy z Fausta, gdyż ogół nie zrozumie zastosowania!” Z rumieńcem wstydu gromi wreszcie język uniwersyteckiej młodzieży, tak dziś zaniedbany i barbarzyński, a stawia jęj za wzór „pilność Francuzów i Anglików w uprawie języka macierzystego.”

Wielki to tryumf dla Francyi! Niedawno jeszcze profesorowie zareńscy jak doktor Prantl w Monachium sztychili z Monteskiusza,

zowiąc go pogardliwie *stylistą*. Owóż dziś Bois-Raymond, chce aby wszyscy profesorowie stali się mniej więcej stylistami, aby wszelki błąd gramatyczny uważany był za zniewagę narodową. Pragnie w tym celu ustanowić najwyższy trybunał w sprawach językowych, to jest akademią niemiecką; domaga się przytém zmiany w wyższym wykładzie nauk: żąda przywrócenia w szkołach wykluczonej łaciny. Pytanie dotyczące edukacji klasycznej żywo porusza w Niemczech umysły profesorów! Patriotyzm wniósł się do téj sprawy. Dr. Hartman, nienawistny plemionom łacińskim, wystąpił silnie na rzecz greczyzny, chce aby przeważała w kollegiach: Bois-Raymond przeciwnie, widzi w łacinie jedyną tarczę przeciw gróźnej powodzi barbarzyńsko-amerykańskiej.

Profesor ten w wydanej świeżo rozprawie, pokazuje jaką bronią zwalczać trzeba gruby realizm, szerzący się coraz gwałtowniej. „Potrzeba według niego, zjednoczyć szkoły filozoficzne z realnemi. Rozbrat dziś istniejący, najgorsze wydaje następstwa. Szkoła realna zanadto jest praktyczną specjalną, nie może zatem przygotowywać dostatecznie do wykładów uniwersyteckich. Wszystka młodzież bez różnicy: przyszli adwokaci, lekarze, inżynierowie, architekci, wojskowi nawet, mają przejść nauki humanitarne i zdawać jednakowe egzamina.”

Z boleścią patrzy na obecny stan filologicznych gimnazyów, w porównaniu do szkół realnych. Od czasu reformacyi, gimnazya te na krok nie postąpiły. Uczeń ledwie że otrzyma licencyat, zapomina odrazu autorów łacińskich i greckich, z którymi trawił po trzydzieści godzin tygodniowo! niema żadnego pojęcia historyi; czemu? bo mu wpychano w głowę martwe fakta i daty zamiast pokazywać żywotnie rozwój umysłu ludzkiego w paśmie wieków. Bois-Raymond nastaje gwałtownie na potrzebę reformy, wymaga stanowczo połączenia szkół filologicznych z realnemi. Celem jego: „ocalić, jeżeli czas jeszcze, konający idealizm niemiecki!”

W liczbie dzieł illustrowanych znajdujemy ciekawą pracę Gastona Tissandier o balonach. Autor z całą kompetencją pisze o tym przedmiocie: onto przed trzema laty z Sybelem i Croce Spinellim odbył w naukowym celu pamiętną żeglugę powietrzną. Dwaj pierwsi jak wiadomo, przyplacili ją życiu: Tissandier sam jeden ocalał. Smutny dramat nie powstrzymał go od nowych doświadczeń; przeciwnie, podniecił jeszcze jego zapał, czego dowodem trzykrotnie powtórzone próby.

Książka, którą mamy przed oczyma, daje opis dwudziestu czterech żeglug powietrznych autora, w przeciągu lat dziesięciu; z tych cztery dokonane były podczas wojny w r. 1870. Najdalszą odbył Tissandier balonem „*Zenithem*” na przestrzeni 600 kilometrów, z Paryża do Arkachonu; najwyższą tymże *Zenithem* na 8,600 metrów w górę, z której właśnie sam jeden wrócił żywy.

W pierwszej części dzieła, autor kreśli historią wynalazku balonów; rozpoczyna od głębokiej starożytności. W mitycznych podaniach o Abarysie, który obiegł świat na strzale złotej, danej przez Apolina, o Ikarze i Dedalu, których skrzydła woskiem przyklepione, odpadły pod żarem promieni słonecznych, w fantastycznych przygodach arabskich powieści, spostrzega pierwsze próby powietrznych wędrowek jeśli nie dokonane w rzeczywistości, to przynajmniej stworzone w myśli i wyobraźni ludzkiej. Od mitów przechodzi do historii, wspomina mechaniczną gołębicę filozofa greckiego Architasa, która według kronikarza Aulusa Gellusa, latała po powietrzu, na lat 360 przed naszą erą. Mówi dalej o czarnoksiężnikach Azji Mniejszej, którzy jak Szymon Mag, za czasów Piotra Świętego, wybiegali nad ziemię. Zatrzymuje się wreszcie na pomnikach bibliograficznych z końca XVII wieku. Wówczas jezuita, Piotr Lana, w dziele ogłoszonym r. 1670, nakreślił kódkę, wspartą na czterech kulach, które, napełnione powietrzem, miały unosić ją w przestrzenie. Dalej zaszedł brat Guzman, uczonego Portugalczyk rodem z Brazylii. Druki i rękopisma, pozostałe po nim w Lizbonie, świadczą, że on był w rzeczy samej wynalazcą balonu. W raporcie do króla portugalskiego z r. 1709, wyraża się w ten sposób: „Wynalazłem machinę, za pomocą której można biegać po powietrzu, spieszniej niż po morzu i lądzie. Łatwo przebywać nią 200 mil na dzień, posyłać depesze do dalekich armii, uprowadzać z fortec osoby znamienite, bez wiedzy nieprzyjaciela. Dzięki tej machinie, poznają ludy strefy podbiegunowe.” Guzman czynił doświadczenia wobec króla i dworu; w dziedzińcu pałacu królewskiego unosił się w górę i spuszczał. Satyry współczesne wyszydzały te próby, gdyż ciemny gmin obwinał wynalazcę o związki z dyabłem. W jednej z nich czytamy te słowa:

Guzman w powietrzne wzbil się lazury,  
 Jak ptak na skrzydłach leci do góry;  
 Nie dziw, że śmiało ku słońcu zmierza,  
 Gdy ludzi tyle oskubał z pierza!

Obwiniony o czarnoksiężstwo Guzman nie śmiał powtarzać swych doświadczeń. Zajmował się potem morską żeglugą, budował statki. W końcu życia przybył tajemnie do Hiszpanii, umarł w szpitalu sewilskim.

W Anglii Tyberyusz Cavallo zajmował się pilnie aeronautyką, przez ciąg XVIII wieku, ale doświadczenia jego nie wyszły za obręb chemicznego laboratorium. Czemu więc przyznano Mongolfierom pierwszeństwo w odkryciu balonów? Oto dlatego, że oni pierwsi usystematyzowali teorią i słuszność jej pokazali praktycznie. Publiczne ich próby sięgają roku 1783. W miarę postępu nauk chemicznych, problemat żeglugi powietrznej stawał się coraz bliższym rozwiązania. Biot i Gay-Lussac, pracowali usilnie w tym kierunku, w pierwszych latach wieku bieżącego. Doświadczenia *aeronautów* powtarzały się bezustannie z coraz to pomyślniejszym skutkiem. Wiadomo, jak wielką przysługę balony oddały Francji podczas ostatniej wojny.

Tissandier dowodzi, że nauka wpadła już na sposób kierowania dowolnie balonem; jeśli dotąd nie zbudowano takiego statku powietrznego, to jedynie z powodu, że budowa ta wymaga do miliona franków. Nie wątpi jednak, że prędzej czy później znajdą się ludzie, którzy tryumf nauki hojnie okupią złotem. Co do przyszłych korzyści, jakie przedstawia żegluga powietrzna, przytaczamy tu własne słowa autora.

„Balon, mówi on, nie odda nigdy takich usług praktycznych, jakie oddają okręta i koleje żelazne, ale może przenosić nadzwyczaj szybko podróźnych i towary, wymagające śpiesznego transportu. Dla niego nie istnieją żadne stopy graniczne; tak lodowate bieguny, jak puszcze afrykańskie i lasy Australii, nie mają dlań tajemnic!

„Przebiegając warstwy atmosferyczne na szerokich przestrzeniach, poznamy się z niemi jak z oceanem. Dokładne zbadanie praw, kierujących prądami, ułatwi kiedyś powietrzną żeglugę.

„Balon uważany wreszcie, jako machina wojenna, należy do najstraszliwszych, jakie człowiek wymyślił kiedykolwiek; skoro go nie zatrzymują granice, ani warowne grody, może w szalonym biegu, rozsięwać po drodze śmierć i pożar. Kto dziś przewidzi następstwa tej morderczej broni, podanej w ręce ludziom? Miejmy jednak nadzieję, kończy autor, że z ogólnym postępem, era pokoju i zgody otworzy się dla świata!”

Umarł w Szwajcaryi nad Lemanem, niepospolity malarz francuzki, którego imię smutny zyskało rozgłos. Mówimy o Gustawie Courbet, twórcy realistycznej szkoły, systematycznym wrogu wszelkich ideałów, tak w sztuce jak w historii. Z tego to stanowiska wychodząc, Courbet mianowany przez komunę dyrektorem sztuk pięknych, zburzył słynną kolumnę na placu Vendome. Chciał tym sposobem zożydzić w opinii powszechnej legendę Napoleońską, której ta kolumna żywym była wyrazem. Przeszłość Francyi zanadto bogata, aby mogła i chciała zrzec się jęj dobrowolnie. Najzaciętsi nawet przeciwnicy ostatniego cesarstwa, jak Wiktor Hugo, potępili gwałt dokonany. Kolumna, jak niegdyś zapanowała nad Paryżem, a Courbet wygnany z kraju, pozyskał imię nowego Herostrata.

Zycie całe artysty było najzaciętszą walką. Przeżył lat 60, w bezustanném szamotaniu się z drugimi, a zapewne i z sobą samym; trudno bowiem przypuścić, aby człowiek tak wielkiego talentu, nie czuł mimowolnych porywów ku idealnym wyżynom, od których odrywał się całą potęgą woli, a zanurzał w becznym materializmie. W pierwszej młodości walczył z ojcem. Wystąpił do Paryża na naukę prawa, pochwycił za pędzel i rzucił się na drogę sztuki.

Było to w czasach zbudzonego ledwie romantyzmu. Godło *Brzydota pięknem*, odbijało jaskrawémi zgłoski, na sztandarze nowęj szkoły poetów i artystów. Paradoksalne to godło, wygłoszone przeciw klasykom, którzy zerwali zupełnie z przyrodą, a gonili wyłącznie za jakiémś konwencyonalném piękném, nie oderwało przecież nowato-

rów, od pojęcia wyższego ideału, nie przybiło ich całkiem do ziemi. Najlepiej świadczą o tém utwory Wiktora Hugo, przewodźcy szkoły romantycznej. Courbet wziął godko *brzydota pięknem* w literalnym znaczeniu; pod tym wpływem wykonał *Biesiadę czarownic* z Fausta (*Orgie des Valpurgis*), obraz dziwaczny i potworny. Zachęcony poklaskiem towarzyszyków, jak on szukających nowych dróg, wzrósł odrazu w szaloną pychę; wzmogły ją témbardziej ostre bicze krytyków, przesiąkniętych do gruntu klasycyzmem. W roku 1844 wystąpił poraz pierwszy w *Solonie*; schłostany surowo nie cofnął się na krok i coraz ekscentryczniejszymi utworami wystawiał się na coraz nowe pociski. Realisci ogłosili go mistrzem swoim. W lat kilka potém dał na wystawę *Powrót z jarmarku* i *Robotników tłukących kamienie*. Otrzymał medal. Przeciwnicy tém silniej wystąpili, że Courbet pokonał już trudności pędzla, a przez to samo, stał się dla nich groźniejszym niż dawniej antagonistą.

Odtąd rzucał w świat coraz to nowe utwory, nadzwyczaj oryginalne w całej brzydocie swojej. Podczas pierwszej międzynarodowej wystawy w r. 1855, rozgniewany za złe miejsce, jakie mu przeznaczono, wybudował szopę poza obrębem gmachu i pomieścił w niej własne obrazy. Toż samo powtórzyło się w roku 1867. Rodzajowe utwory Courbeta, mimo zalet rysunku i drgającego w nich życia, odrażają realizmem, a częstokroć myślą szyderczą, niegodną sztuki. W krajobrazach zato, umiał schwycić tajemnicę przyrody i stać się prawdziwie oryginalnym. Jego *Walki jeleniów* i *Sarny w lesie*, stawiają go wysoko w rzędzie francuzkich pejzażyistów.

Realista w całym znaczeniu słowa, Courbet był nim tak w pracach, jak i w życiu. Portrety i fotografie przedstawiają go w niedbałej odzieży, bez surduta, z glinianą fajką w ustach. Pracownia jego urządzona w refektarzu zburzonego klasztoru, zawalona stalugami, najsmutniejszy przedstawiała obraz: ściany porośły pleśnią, pająk rozciągał po nich szeroko swoje płótno. Chwile wolne trawił w szynku nad szklanką piwa. Nieprzyjaciel kobiet, nietylko że nie wybrał żadnej na dozogonną towarzyszkę, ale na płótnie przedstawiał je zawsze z najszeptniejszej strony, zawsze obracał w karykaturę.

Sprawa kolumny kosztowała drogo artystę. Wiadomo, że wypuszczono go z więzienia, na zaręczenie, że ją sam odbuduje. Koszta owój budowy i procesu, oceniono na 333,000 franków. Miał wypłacać rocznie po 10,000; na styczeń r. b. naznaczoną była pierwsza rata. Rząd francuzki, zasekwestrował w tym celu najlepsze obrazy artysty. Wkrótce zapewne te obrazy przeniesione będą do galeryi narodowej w pałacu luksemburskim, a rząd przyjmie na siebie koszta odbudowania pomnika.

---

Księgarnia Plon, do licznego zbioru podróży nowoczesnych, do dała niedawno ciekawy opis wyprawy pułkownika egipskiego Challi Long, do Afryki środkowej. Dzieło to, napisane oryginalnie w an-



gielskim języku, znalazło świetnego tłumacza w pani Foussé, córce akademika Sacy.

Podróżnik egipski wzbogacił kartę geograficzną odkryciem nowego jeziora. Nazwał je *Ibrahim nianza* od imienia Khedywa Egiptu. Okupił tę sławę mnóstwem doświadczonej plag i udręczeń; a najdotkliwszą z tych była żółta febra, która nieopuściła go przez cały ciąg wyprawy. Chorobliwy stan mógł w części wpłynąć na umysł podróżnika: wszystko téż widzi w najczarniejszych barwach. Kraj w oczach jego wszędzie pusty, nagi, niekiedy ohydny, powietrze zgniłe, zatrute, ludność barbarzyńska w całym słowa znaczeniu. Nie są to przecież same uwidzenia pesymisty. Autor maluje dwór króla M'Ce, potężnego władcy kraju Ungudy; obraz ten nakreślony z drobiazgową dokładnością, świadczy o grubej ciemnocie afrykańskich tubylców.

Król M'Ce przyjął tryumfalnie pułkownika wojsk egipskich; na znak radości wyprawił mu hekatombę z trzydziestu ludzkich ofiar. Etykieta dworu Ungudy wymaga koniecznie takiej manifestacji. Po zwykłych uctach nastąpiły intrygi zauszników królewskich: oskarżono pułkownika o jakieś spiski na rzecz Khedywa Egiptu. Odarto go z pieniędzy, zagrożono mu śmiercią; o mało że uszedł cały z rąk czarnych barbarzyńców. Szydzi téż gorzko z marzycieli, którzy jak J. J. Rousseau, widzą w stanie dzikości przypomnienie zatraconego Raju!

Owoce wyprawy, nagrodą żelaznej wytrwałości podróżnika, było odkrycie jeziora Ibrahim. Chwilę tryumfu swego autor odmalował równie ciemnym kolorytem, jak i cały szereg obrazów. Opowiada, jak na kruchej łodzi z garstką towarzyszy chorych, strawionych gorączką i głodem, przy wściekłym szumie wichru i potysku piorunów przepływa po raz pierwszy rozhukane wody jeziora. Obraz to wspaniały; walka przyrody z potężniejszą wolą człowieka oddana znakomicie.

Przebiegając te czarne obrazy, tak odmienne od tych, jakie skreślił angielski podróżnik Cameron i Amerykanin Stanley, zapytujemy, czy podejrzenia zauszników króla M'Ce nie miały rzeczywistej podstawy? Książka pułkownika egipskiego ogłoszona po angielsku, jest-że poprostu dziełem pesymisty? Nie byłoby raczej celem jej odwieść Europę od wypraw, przedsiębranych dziś tak usilnie do Afryki środkowej, z myślą zaszczerpienia chrześcijańskiej cywilizacji wśród barbarzyńskich Negrów?

Wyprawy dzisiejsze do Afryki, są jakoby echem średniowiecznych krucyat, z tą jednak różnicą, że do myśli religijnej, która ożywiała dawnych Krzyżowców, łączy się dziś przeważnie miłość nauki i mniej szlachetne pragnienie materialnego zysku. Wspominaliśmy w roku zeszłym o Towarzystwie międzynarodowym, zawiązanem w Brukselli pod opieką króla Belgów, w zamiarze ucywilizowania Afryki środkowej. W różnych krajach zbierano już składki na cel tak obchodzący ludzkość. Otóż piękny zamiar zrodzony zimą, nie doczekał nawet letniej pory. Niemcy odstąpili od jedności, przedsięwzięli wy-

prawę na własną rękę; Anglicy odmówili wręcz składek na zbiorowe przedsięwzięcie; sygnęli zato hojnie złotem, gdy spółka rozwiązana została. Siedm wypraw angielskich przysposabia się w téj chwili do Afryki, pod opieką Towarzystwa geograficznego; Francya i Belgia gotują niemniej swoje własne wyprawy.

Ukazało się u Didota dzieło o muzyce p. Rambosson, pięknie ilustrowane, p. t.: *Harmonia dźwięku, historia instrumentów muzycznych*. Autor znany już z innych prac, uwiecznionych przez Akademię, traktuje rzecz w sposób popularny, a co ważniejsza, pełen oryginalnych poglądów, wspartych na własnym doświadczeniu. W ciekawym bardzo ustępie pokazuje np. wpływy muzyki na fizyczny i moralny stan człowieka; formułuje niejako nową terapeutykę: obowiązuje się leczyć choroby nerwowe muzyką Meyerbeera, Herolda i innych mistrzów, stosownie do usposobienia chorego. Myśl ta zrazu wydaje się szczególną, ale autor licznymi dowodami popiera swoją tezę. Przedstawił ją niedawno Akademii medycznej: uczeni specjaliści uznali rzecz za godną uwagi.

P. Rambosson pozbiarał wiele charakterystycznych rysów, świadczących o działaniu muzyki tak na jednostki, jak na ludy. Jest w niej tajemniczy urok jakiś, poruszający serca; prosta melodya silniej do nich przemówi, niż tony skomplikowane według prawideł szkolnych. Uczony Ampère niecierpiał sztucznej muzyki, a płakał jak dziecko, gdy posłyszał jaką piosenkę ludową.

Bardzo ciekawy szczegół przytacza autor o działaniu staréj pieśni francuzkiej na Egipcyan. Gdy Napoleon zajął Egipt, uczeni, należący do wyprawy, usiłowali przekonać tubylców o wyższości cywilizacyi zachodniej. Rozpoczęto od fajerwerków i balonów, ale mieszkańcy Kairu obojętnym patrzyli na nie okiem. Na wniosek Monge'a, orkiestra wykonała wspaniały koncert. Egipcyanie słuchali go zimno, bez poruszenia.

— Zagrajcie im Malbrucka — rzekł pogardliwie Monge do muzyków — dla nich i to wystarczy.

Orkiestra zagrała pieśń. Melodya jéj w cudowny sposób zelektryzowała słuchaczy. Czoła rozjaśniły się nagle, źrenice błysły zarem; szmer zachwyty zabrzmiął wśród tłumów: Malbruck zwyciężył Egipcyan!

Z tego powodu wywiązała się ciekawa dyskusya w Akademii nauk moralnych i politycznych, gdy kilka tygodni temu rozbiegano w niéj dzieło p. Rambosson. Melodya Malbrucka, według świadectwa członków, znaną jest oddawna w Hiszpanii, gdzie mogli upowszechnić ją Maurowie. Arabskie pieśni, sprowadzone ze Wschodu przez Felicyaua Dawida, podobny téż mają charakter. Dzięki erudytom, tryumf Malbrucka w Kairze przestał być tajemnicą.

Same nawet zwierzęta, według pana Rambosson, silnie ulegają wpływom muzyki; pod czarem jéj, z dzikich i okrutnych, stają się łagodne,

nieśmiałe. Na dowód przytacza prawdziwe zdarzenie, zaszłe przed sześćdziesięcią laty w botanicznym ogrodzie paryżkim. W dniu 10 preriala r., VI według republikańskiego kalendarza, kilku znanych muzyków z Konserwatoryum umyśliło wyprawić koncert słoniom, aby widzieć jakie téż muzyka sprawi na nich wrażenie. Orkiestra zasiadła niewidzialna pod ścianą odgradzającą zwierzęta; po pierwszych zaraz akordach słonie przestały jeść, postąpiły ku grającym i pilnie wsłuchiwały się w dźwięki. Chwilę stały nieruchome, przerzuciwszy trąbę przez parkan, poczem zaczęły chodzić to przódz, to wolniej, stosując się wyraźnie do taktu.

*Harmonia dźwięku* tworzy wielki tom w 8-ce, ozdobiony 200 rycinami i pięciu tablicami chromolitograficznymi. Ostatnie zdobycze w przedmiocie akustyki, traktowane w niej naukowo; historia instrumentów muzycznych zajmuje dział obszerny. Autor przypomniał znakomitą rolę, jaką odgrywała muzyka w starożytności i w późniejszych wiekach, zaczawszy od Egipcyan i Hebrajczyków, aż do czasów Ludwika XIV i XV-go. Wzory instrumentów zebrane tu ze starych ksiąg i z płaskorzeźb przechowanych starannie po muzeach europejskich.

Autorowie dramatyczni szukają wyraźnie nowych dróg, nieutarzonych dotąd; przełamują z trudem odwieczne lody. Akademik Legouvé przedstawił dramat, w którym miłość nie jest bynajmniej sprężyną, jak to bywało dotąd, a który mimo to silnie poruszył słuchaczy. Tytuł dramatu *Separation* (Rozłączenie). Pomawiano autora o chęć propagowania rozwodu, my przecież nie widzimy tego. Rozwód nie zmieniłby w niczem stosunku działających osób; przekona o tém sama osnowa sztuki.

Pani Delpierre, młoda kobieta, pełna serca i rozumu, żyje wzorowo z mężem; szczęśliwa w pożyciu, wychowuje najstarszemu kilkoletniego synka. Mąż ze swój strony oddany żonie i dziecku, pragnie uprzyjemnić im każdą chwilę. Nagle uderza piorun, i w niwecz obraca szczęście rodziny. Przez omyłkę oddają żonie list adresowany do męża. Pani Delpierre nie patrząc na podpis odrywa pieczętkę: dowiaduje się z listu, że mąż jest poprostu szpiegiem, na żołdzie obcego potężnego państwa; że w skutek jego denuncyacji, człowiek najzaczniejszy, dawny przyjaciel domu, za powrotem do kraju swego, został uwięziony i skazany na dalekie wygnanie. Oskarżyciel otrzymuje w nagrodę order i połowę skonfiskowanego majątku swój ofiary.

Szlachetna kobieta uniesiona rozpaczą, oddaje list mężowi; oświadcza stanowczo, że wszystko skończone między niemi. Opuści dom, zamieszka z matką, żadne względy światowe nie zmuszą jęj do dalszego pożycia z nikczemnikiem. Delpierre zrazu upokorzony, wpada w gniew, podnosi rękę na żonę; w tejsze chwili wszedł ktoś do pokoju. Gwałt dokonany pod okiem świadka, służy za powód do separacji. Powód rzeczywisty pozostaje dla wszystkich tajemnicą.

Przy całej niczemności swojej, Delpierre najtkliwszym był mężem i ojcem. Jeśli popełnił czyn haniebnny, to dlatego, aby otoczyć żonę dobrobytem, zapewnić przyszłość syna. Człowiek to słodki i ogładzony, i tylko brak wyższych pojęć moralnych doprowadził go do haniebnego czynu.

Dziesięć lat upłynęło od prawnego rozłączenia małżonków. Przez ten czas Delpierre szpieguje tak jak dawniej. Pani Delpierre żyje samotnie na uboczu: sąd przyznał jej opiekę nad synem; czuwa też nad nim z macierzyńską troskliwością. Ojciec na mocy sądowego pozwolenia widuje syna raz na miesiąc. Miłość ku dziecku obojga rodziców, sprowadza ciągłe zatargi, nawet gwałty. Wykradziony przez ojca chłopiec, pozostaje trzy lata w gimnazjum lionśkim. Po długich poszukiwaniach, matka znajduje go i zabiera do siebie. Młody Fernand tymczasem wyrosł na pięknego ośmnastoletniego młodziana.

W kilka miesięcy później, Delpierre, skutkiem usilnych zabiegów, wyrobił dla syna prawne usamowolnienie. Fernand wyzwolony z pod macierzyńskiej opieki, będzie mógł iść za ojcem. Walka rodziców o drogiego jedynaka stanowi całą oś dramatu. Młodzian z każdego względu zasługuje na tę miłość rodzicielską: serce ma pełne szlachetnych popędów, umysł poważny, wyrobiony pod wpływem nieszczęść. Rozumie on, że istotny powód rozłączenia rodziców, pokryty jest nieprzedartą jakąś tajemnicą: pragnąłby gwałtem odchylić tę zasłonę. Zbyt mu drogą matka, aby śmiał posądzić ją o najmniejszy błąd, zanadto kocha ojca aby mógł widzieć w nim winowajcę. Nie pojmuje co zdołało roztrącić dwa drogie mu serca i postawić między niemi zaporę tak niezłomną.

Nieraz już pani Delpierre przywiedziona do ostateczności, miała wyznać wszystko synowi; nie mogła jednak zdobyć się na odwagę: słowo konało na jej ustach. Nadchodzi wreszcie stanowcza chwila, Fernand usamowolniony opuści ją, zamieszka z ojcem: zbyt wyężona struna musi pęknąć!

Matka z synem przybyła na kąpiele morskie do Trouville. W kilka dni po nich przyjeżdża Delpierre, przywozi akt usamowolnienia. Fernand musi wybrać dom ojca albo matki. Pragnie koniecznie nakłonić do zgody rodziców: próżne usiłowania! Zrosparzony wchodzi bezmyślnie do kasyna. Grupa złożona z kilku osób, czyta pod oknem listę nowo zapisanych gości. Ktoś wymienił nazwisko Delpierre.

— Czy podobna—zawoła jakiś cudzoziemiec, powstając nagle od stołu—taki człowiek może się mieścić w towarzystwie uczciwych ludzi?

Fernand jak łatwo zgadnąć występuje w obronie ojca; wszczynają się spór, przychodzi wreszcie do wyzwania.

Delpierre, uwiadomiony o pojedynku, sądzi, że to poprostu sprzeczka dwu młodzików o jakiś błahy powód; chwytając kartę wyzywającą, widzi nazwisko człowieka, którego denuncyował i zgubił przed dziesięcioma laty.

Wieść o skandalu rozbiega się w mgnieniu oka, tajemnica tyle lat ukrywana wychodzi wreszcie na jaw. Delpierre wykluczony z klubu musi opuścić Trouville. Tłómaczy się, płacze w własne słowa; nikt nie wierzy; każdy odtrąca go z pogardą. Postanawia wyjechać; gotuje się do drogi. Nagły strzał w przyległym pokoju, rozwiązuje okropny dramat.

Legouvé okazał się prawdziwym mistrzem w przeprowadzeniu sztuki. Nie widać tu najmniejszego naciągania. Każda scena rozwija się loicznie; akcja postępuje żywo; katastrofa przychodzi w samą porę.

Niedzielne poranki dramatyczne coraz się bardziej upowszechniają. Odeon przedstawia Moliera, inne teatru wprowadzają na deski swoje arcydzieła Kornela i Rassyna; niektóre głębiej jeszcze sięgają w przeszłość. Panna Marya Dumas, córka zmarłego powieściopisarza, urządziła przed rokiem poranki *charakterystyczne*, któreby raczej przystało nazwać kosmopolitycznymi, każdy bowiem poświęcony sztukom osobnej narodowości. W tym roku widowiska te przybrały szerszy rozwój. Na tak zwanym *Poranku angielskim* odegrano kilka tygodni temu Szekspirowskiego *Hamleta*, na *Hiszpańskim* widzieliśmy *Don Juana* Tirso de Moliny i komedię Calderona; ostatniej niedzieli na *Greckim poranku*, Paryż ujrzał *Elektrę* Sofoklesową, i *Sejm niewieści* Arystofanesa. *Elektra* przekładu p. Halevy niezupełnie zadowolili widzów; artyści nie umieli się przejąć prostotą właściwą starożytnej sztuce: piękny utwór, mimo wiernego przekładu, zakrawał nieco na parodię. *Sejm niewieści* za to wywołał grzmot oklasków, i pobudził cały teatr do szalonego śmiechu. Znana powszechnie treść tej sztuki. Żony znudzone despotyzmem swych mężów a panów, postanawiają bądźco bądź zrzucić jarzmo. Podczas gdy małżonkowie śpią snem trwardym, obłóczą ich szaty, przyprawiają wasy i brody, i pośpieszają na górę. Tam w imieniu mężów, chcą jednomyślnym głosowaniem zatwierdzić nowe, swobodniejsze dla siebie prawa. Nieszczęściem dwu mężów odkryło tajemnicę. Obaj rzucają alarm na śpiący gród Minerwy. Powstrzymano szalony zamach.

Tłumacz Gustaw Bertrand sparafrazował raczej niż przełożył komedię, która jeśli nie razila smaku wytwornych Ateńczyków, wypędziłaby zapewne z łoż wszystkie Francuzki XIX wieku, gdyby ją przedstawiono w pierwszej formie.

Po greckim następują poranki: włoskie z Alfierym, niemieckie z Goctem i Schillerem, rosyjskie z Puszkinem i Lermontowem. Będą zapewne serbskie i rumuńskie. Panna Dumas jak widać nie łaskawa na literaturę naszą, a przeciw Fredro dostarczyłby złotego wątku, choć na jeden poranek polski.

Odeon wpadł na myśl przedstawienia legendy, w formie starodawnego misteryum. Tytuł jój *Le bonhomme Misère* (*Pocziwy bie-*

*dak*). W przyszłej kronice naszej mamy poznać tę oryginalną sztukę, która od miesiąca przyciąga licznych widzów.

W Muzeum artylerji, przy zakładzie Inwalidów urządzono w tych czasach nową galeryą etnograficzną. Widzimy w niej główne typy dzisiejszych wojowników, zebrane z różnych części kuli ziemskiej.

Wszystkie te typy w liczbie siedemdziesięciu kilku, wielkości naturalnej, przybrane są w strój narodowy, lub zdobne jedynie w wyklucia i malowidła.

## USTĘP Z ŻYCIA

# ALBERTA HOHENZOLLERN-ANSPACH,

LENNIKA W PRUSIECH POLSKIEGO.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE \*).

PRZEZ

*Eugeniusza Skrodzkiego.*

## II.

Obawy serca macierzyńskiego, aby się jój syn nie zepsuł, pośród tyłu osławionych ze złego życia Krzyżaków, okazały się płonne, jeśli bowiem rozpusta, pijaństwo i inne haniebne występki panowały między starszyzną zakonu, za to młodzież chowana w nowicyacie była trzymaną ostro i pod ścisłym nadzorem.

Przyszli rycerze poddani byli komendzie i rozkazom starego Rittmejsra v. Hülzen, który jeszcze pamiętał walki pod Chojnicą i Friedlandem z Polakami za Kazimierza Jagiellończyka, dziada Alberta. Stary ten wojak był uosobieniem regulaminu wojskowego i jego wymagań; zaprawiał téż niezmordowanie młodzież do niewygód obozowych, władania orężem, trafności strzału, zwiorania szyku; trzymał

\*) Dokończenie—patrz zeszyt za luty r. b.

ją w ścisłej i żelaznej karności. Dla Hülzena mało miały znaczenia wobec obowiązków służby: korony, herby, mitry. Służba była bóstwem dla niego, przed którym ustawały inne wszelkie względy; wobec niego człowiek był cyfrą. To też uzbrojony w długi harap z surowcu kręcony, w rajszuli sam nim bił upornego konia, a czasami niby przypadkiem i źle na koniu siedzącego hrabiego lub hercoga, zawsze przepraszając za pomyłkę. Z ścisłym aresztem o chlebie i wodzie wykonywanym z całą punktualnością niemiecką, można się było spotkać za najłżejsze przewinienie i wolano to jeszcze, aniżeli siedzenie przez kilka godzin na ostro zaciosanych łątach. Hülzen kochał się w swoim zajęciu i w swoich uczniach.

Ponieważ Krzyżacy stanowili zakon, więc pod względem naukowym i moralnym, kandydatom do stanu rycerskiego przewodniczył kapłan, rodzaj przełożonego, *magistra juventutis*, jak bywa po innych klasztorach nad nowicyzkami.

Zaledwie zatem wychodzili z rąk starego żołnierza fanatycznie przywiązanego do porządku i dyscypliny służby, dostawali się zaraz pod nadzór czujny, ostrożny, ale nieubłagany i wytrwały, po części tajemny dozór księdza. Ten już pilnował wykładu nauk i aby uczniowie rzeczy zadane umieli i wykonywali gorliwie.

Nauki tu szły podług powszechnie przyjętego, tak zwanego *Trivium*, zamykającego w sobie gramatykę, retorykę i dyalektykę. Kurs wyższy czyli *Quadrivium* zamykało arytmetykę, geometryę, muzykę i astronomię; oprócz tego najstarszych uczono filozofii podług Arystotelesa z objaśnieniami Dunska Skota, tak jak znowu zasad taktyki podług Polybiusza, Ksenofonta, *kastrametacyi*, czyli sztuki zakładania obozów według Cezara, do czego dołączano (już zaczynające wchodzić w użycie), sposoby fortyfikacyi włoskich podług Machiavelego i pierwsze zasady balistyki Salviusa.

Widzimy więc, iż i co do nauk młodzież nie była w zaniedbaniu. Co do moralności zakładu mogła Zofia Jagiellonka także być spokojną, uczniowie tutejsi żyli w zupełnym odosobnieniu i oddaleniu od zepsutej starszyny i ani się domyślali jej szpetnych wybryków. Zakład oddany pod opiekę bogobojnych i pilnych kapłanów, nie miał żadnej styczności z koszarami rajtaryi lub knechtów, ani nawet rezydencyami różnego stopnia komturów. Wszyscy wychowawcy byli zapisani do bractwa Różańcowego, a pracę naukową przeplatając tylko bądź ćwiczeniami wojskowemi, bądź wykonywaniem różnych praktyk religijnych, wymaganych po owoczesnej młodzieży, jędrnieli na duchu i na ciełe.

Młody Albert dobrze we wszystkiém w domu przygotowany, szybko przeszedł wyższe tutejsze kursa, z ogólném zadowoleniem przewodniczących i ich pochwałami; niedługo bawił na pierwszych stopniach zakonnych, bo zaledwo ukończywszy lat 20 wieku, już go widziemy komandorem w Memlu czyli litewskiej Kłajpedzie. Komandorstwo było u Krzyżaków kilkorakie, tak, jak i w zakonie im pokrewnym

Maltańskim. Raz była to godność wojskowa coś między dzisiejszym pułkownikiem a generałem, czynność więc inspekcyjna, aniżeli dowództwo: tych u nas przezywano *komturami*. Powtórę komandorzy zajmowali się zarządem pewnej prowincji zakonu. Nakoniec bywali i komturowie zarządcy kluczów czyli ekonomii; w ścisłym znaczeniu, było to namiestnicze zastępstwo tytularnego posiadacza jakiego zakonnego beneficjum. Najwyższym zaś komandorem był tak zwany komandor generalny, domniemany następca i zastępca wielkiego mistrza i rezydencją onego była najczęściej *Klajpeda*, po niemiecku przezwana *Memel*.

Memel było port niemałego znaczenia, należący do związku hanzeatyckiego; Krzyżacy mieli w nim dobrze ufortyfikowany nad morzem zamek, w mieście pałac dla komandora z cienistymi ogrodami, nadto dwa główne arsenały lądowy i morski, oraz składy prochu i soli. Było zatem punkt zapewne ważny dla zakonu i niemało zaszczytu przynoszący temu, co nad nim był przełożony; ale jakże mało przyjemny dla młodzieńca, który w żywój swój wyobraźni marzył o dworach, gonitwach i turniejach? Tu oddzielony od reszty Europy, prawie na samym jej krańcu, pośród błót, jezior, otoczony ludnością, której nie rozumiał języka ani obyczaju, tęsknił za zielonemi wzgórzami i błoniami Anspachu i pisywał listy do swoich, których kilka zaledwie się zachowało. Jedyną rozrywkę, co tu napotkał, był wielki jarmark raz do roku w sierpniu, na który drogą wodną przybywali sąsiedzi Litwini z pieńką, smołą, drzewem, a za nimi wielka liczba niemieckich nabywców z Hamburga, Lubeki, Altony. Obok tych tłumnie napływało obywatelstwo Żmudzi, Kurlandyi dla poczynienia sprawunków w kramach i składach przez żydowstwo z całej Polski zbierające się, rozłożonych, lub nabywania towarów od Ormian, Bocharców, Wenecyan.

Bądź cobądź w charakterze Alberta zachodziły mimowolnie znaczne zmiany, bo pomału przesiąkał polityką i wyobrażeniami zakonu. Spoglądając z wysokości latarni morskiej na sine fale zatoki Kurskiej, tłukące o skały, dumał zapewne nieraz jakby usunąć od panowania nad Bałtykiem współzawodniczące z zakonem: Polskę, Danią, Szwecyą. Albert był Niemcem, czuł się Niemcem, pokrewnym był cesarza, czyli głowy rzeszy niemieckiej; czyż więc mógł myśleć inaczej lub inaczej życzyć swojej ojczyźnie; nie przysięgałże na posłuszeństwo dla starszyny zakonu, która o odebraniu Pomorza i Prus Polsce ciągle myślała? Jeśli jeszcze niewtajemniczonemu w arkanach polityki nowicyuszowi przechodziły przez głowę jakie skrupuły, wątpliwości lub obawy, dosyć było po klasztorach subtelnych kazuistów, którzy potrafili uspokoić zbyt trwożliwe sumienie i naciągnąć sofizmatami każdą rzecz w tę stronę, gdzie im wypadało. Powstawał ztąd nieraz chaos, zamieszanie, szczególnie w pojęciach religijnych młodego komandora, gdy się sam na sam znalazł z sobą, albo gdy stawał między starszyną; na radzie, szedł za innymi pomału się obznajmiając z tradycją i celami zakonu. Sądził w końcu, iż nie błędzi sądząc, że rozumnych, zręcznych i silnych,



żadne nie obowiązują prawo stanowione dla tłumów i gmin, i wpaść ani się spostrzegłszy, jak wszyscy starzy Krzyżacy, w zupełne religijne zwątpienie, uważając wiarę za narzędzie i pokrywkę istotnych celów przed masami.

Właśnie w te czasy po trzynastoletniem sprawowaniu mozolnych obowiązków wielkiego mistrza, umarł książę Fryderyk saski, Albertowi pokrewny. Na zamku królewieckim panującym nad tym grodem (założonym w czasie wyprawy krzyżackiej r. 1254 na Litwę na cześć Ottokara, króla czeskiego), zawisła czarna chorągiew i kapituła zakonu obradowała w głównej sali nad wyborem zastępcy.

Kto miał zostać wielkim mistrzem? Niezawodnie najgodniejszy zachością charakteru, rozumny, zręczny, w sztuce i rzemiośle rycerskiem najbiegły, lubo bardzo młody na tak ważne stanowisko, lecz przez cesarza i innych dostojników rzeszy popiérany Albert von Hohenzollern: stało się to roku 1512.

Zostawmy Królewiec i Krzyżaków na chwilę, w przygotowaniach do mającej się odbyć instalacji uroczystej mistrza, odbywaną nieledwo z taką wspaniałością, jak koronacye po dziś dzień, a może nie od rzeczy będzie przypomnieć mniej świadomym lub pamiętnym czytelnikom, przebieg wypadków, które ten dzień uprzedziły; wszakże nie piszemy historii, ani objaśniamy nowe fakta dla jój szperaczy, usiłujemy tylko podać ogółowi wyobrazenie o tém ważnym dla całej Europy w następstwach swoich zdarzeniu.

Wiadomo, iż po odebraniu przez króla jerozolimskiego Baldwina Ziemi Świętej z rąk niewiernych, namnożyło się tam wiele bractw i zgromadzeń chrześcijańskich, bądź dla obrony Grobu Świętego, bądź dla pomocy ubogim, chorym pielgrzymom, licznie te wstawione miejsca nawiedzającym.

Narody łacińskie, po części Anglicy i Niemcy nadreńscy, południowi i z Flandryi, założyli zakon *Templaryuszów*, później zniesiony i zakon *S. Jana Jerozolimskiego* powszechniej zwany *Maltańskim*.

Niemcy zaś bardziej północni z cesarzem Barbarosą na krucyatę przybyli, założyli zakon *Braci szpitalnych*, którego cel sama nazwa objaśnia, przezwany *zakonem niemieckim*, a jak u nas powszechnie *Krzyżakami*.

Już czwarty mistrz krzyżacki Herman de Saltza, nie mając co robić w Ziemi Świętej, w której na nowo zapanował półksiężyc Islamu, z szczątkami zakonu schronił się do Marburga do Hesyi.

Właśnie w tę porę Piast Konrad książę mazowiecki, nie mogąc dać rady pogańskim Prusakom, którzy mu nieustannie pogranicze najeżdżali, gdy nie udało mu się utworzyć polskiego zakonu z *Braci dobrzyńskich* niedługo istniejących, powziął nieszczęśliwą myśl przyzwania na pomoc roku 1228 Krzyżaków, których mistrz nosił tytuł: *Hoch und Deutschmeister*.

Ci Krzyżacy nie byli tém, czém później; kwitnęła między nimi pobożność i cnoty, czystość obyczajów, zapal do nawracania i podbija-

nia niewiernych wielki. W bezczynności pokojowej, pielęgowali chorych. Jeden z ich mistrzów stawiając mężnie Mongołom czoło na polach Lignicy, wraz z całym polskim rycerstwem, poległ tam obok wrocławskiego Piasta, zastąpiwszy Europę od ich napadu.

W sto lat jednak później, postać rzeczy się odmieniła. Pokorni świętego Augustyna reguły zakonnicy, wzrósłszy w potęgę i dostatek, o nawracanie pogan mało dbali, myśląc tylko o coraz dalszej grabieży i oderwaniu od Polski ziem, któremi ich był niebaczny Konrad uposażył.

Daremnie królowie polscy szukają dla siebie u cesarza i w Rzymie sprawiedliwości. Krzyżacy, stanowiąc już niemałą nad brzegami Bałtyku potęgę, wszędzie umieli znaleźć dla siebie poparcie. Cesarze—dla interesów Rzeszy, radzi byli temu, iż porty tak ważne pozostają w rękach niemieckiego zakonu; papieże obalamucani fałszywymi przedstawieniami położenia rzeczy przez Krzyżaków, którzy wielki wpływ w Rzymie zyskać sobie potrafili, za ledwo ich jawne gwałty i zdzierstwa naganiłi czasami. Z tych nagan zakon sobie nic nie robił. Znaleźli się owszem tacy, jak Jan Luksemburczyk król czeski, którzy za pieniądze zakonu, przeciw Polsce wojowali, i autorowie, co potwarze z umysłu przeciw Polakom rozsiewali.

W takim położeniu rzeczy, dzielny król Łokietek zrozumiałwszy że tylko jeden oręż w takich razach coś stanowczego a nie dyplomatyczne rokowania poradzi, pomimo sędziwego wieku, zebrawszy wszystkie siły, wygraną wielką bitwą pod Płowcami, zachwiał wzrastającą potęgę zakonu i pomyślny pokój z nim zawarł. Następcy jego politykowali z przemożnym zakonem jak mogli, dopióro Władysław Jagiełło wielkim europejskiego znaczenia zwycięstwem pod Dąbrową czyli Grunwaldem, położwszy na placu 50,000, między nimi samego w. mistrza, zadał stanowczy cios potędze krzyżackiej.

Odtąd zakon coraz bardziej tracił na powadze i znaczeniu. Za panowania Kazimierza Jagiellończyka, ojca Zofii, a dziada Alberta, zdzierstwa i ucisk krzyżacki doszły do tego stopnia, że się stały jarzmem nieznośnym dla ludów lechickich mazurskiego plemienia, oraz Prusaków i Litwinów, zamieszkujących odwiecznie te kraje, a nawet dla licznych Niemców, którzy tu się po miastach i ziemiach rozsiedli. Przyszło do tego, że zrozpaczone stany pruskie, korzystając z osłabienia najeźdźców, udały się o pomoc do Polski, aby im pomagała w ich powstaniu. Wybuchła ztąd wojna między Kazimierzem Jagiellończykiem a zakonem prowadzona była przez nas z zwykłą miękkością, wynikającą z wad ustroju politycznego Polski. Trwała długo, bo lat trzynaście, wzięła jednak ten skutek, iż traktatem pokoju w Toruniu 1466 r. zawartym, do korony wróciły wszystkie jej dawne a bogate prowincye, jak: Pomorze, Warmia, ziemia Malborska i Chełmińska. Zakonowi pozostały same właściwe Prusy, około Królewca i Memla. Położono jednak za warunek, aby i te uznawały się za kraj lenny polski, aby mistrz w. inwestyturę brał od króla i senatu, za co on sam

i kilku komandorów, mieli prawo do uczestniczenia w naradach tego zgromadzenia.

W takichto warunkach i położeniu rzeczy w zakonie, wstępował Albert w szeregi braci. Nie potrzebujemy dodawać, że Krzyżacy niezadowoleni z pokoju Toruńskiego, czychali tylko na sposobność szkolenia Polse, a ile razy ją widzieli zaplątaną w kłopoty wewnętrzne lub wojny, podnosili głowy. Stanowili jeszcze niemają jak na owe czasy militarną potęgę. Ziemie ich najeżone były fortecami dostatecznymi do odparcia niedołężnej jeszcze wtedy artyleryi. Administracya ich krajem, była może fiskalną do zbytku, ale wcale ekonomiczną i w swoim rodzaju doskonałą. Liczne ich wsie i folwarki zagospodarowane wzorowo, z całą niemiecką systematycznością, kiedy w całej reszcie Niemiec szwankowało rolnictwo, a nawet i rachunkowość gospodarcza, mogła służyć za wzór wielu zarządom dóbr dzisiejszych.

Nie był to już jednak ów stan świetny, jaki nam wieści z czasów mistrzostwa Ulrycha Jungingena, zabitego pod Grunwaldem, podają, bo wtedy samych rycerzy zakonników liczono 3,162, komandorów wyższych gubernatorów prowincyi 28, czterech biskupów: pomorski, chełmiński, warmiński, którzy teraz odpadli i pozostały sambijski, należeli do zakonu. Nadto komturów niższego stopnia, knechtów zbrojnych i rajtaryi stałej liczba wynosiła do 7,000, którzy stanowili jakby kadry armii pokojowej pomnażane w czasie wojny z łatwością, piechotą napędzaną z wiosek i rycerstwem, które z Niemiec, nawet Burgundyi, Holandyi, Niderlandów, Danii, zaraz tu nadbiegało, na pierwsze wezwanie mistrza. Stanowiło to ogół i dziś imponujący stu kilkudziesiąt tysięcy doborowej armii. Zamków czyli rodzaju fortec liczono tu 48, miast murowanych 55, wsi 18,365, parafii 640; samych ekonomii, czyli centrów zarządu dóbr klasztornych narachowano 2,000, przełożonych nad rybołóstwem 81, nad młynami 30, poborców podatku 37. W samej Piławie były młyny i tartaki, które dukata dochodu na godzinę do skarbcza w mistrza przynosiły. Lubo tego już w całości Krzyżacy nie mieli, a kraj w ogóle wiele ucierpiał przez ostatnią wojnę, w której 2,000 kościołów, a 21,000 wsi i miast spalono i zniszczono, zawsze przecie trzecią część jeszcze z tego wszystkiego uratowali. Dochodu zaś mieli mistrze do dwudziestu milionów złotych, o wiele więc więcej aniżeli sam cesarz i reszta monarchów Europy.

Wielkie bogactwa i dostatki prowadzą do zbytków i zepsucia, pod tym wpływem wszelka moralność u braci szpitalnych upadła. Komturowie ich stali się rodzajem Satrapów, rządzących się samowolnie, utrzymujących jawnie haremy po ekonomiach sobie oddanych. Przy zjazdach i kapitułach zakonu, pijaństwo i rozwiązłość wszelka przeciągały biesiady bez miary, a miłośnice, kobiety złego życia, wielkie miały znaczenie. Do tego wszystkiego łączono dziwną surowość i okrucieństwo dla bezbronnego sobie poddanego słowiańsko-litewskiego ludu, pomimo upomnień, nieraz kłątwy własnych biskupów, przecie Niemców. Poddanych uważano za rzecz, za bydło, za coś co nie miało

żadnego prawa. Historia cytuje, jak Zygfryd de Weissenfeld w Pomeranii, wyjeżdżał w pole zawsze mając kopę stryczków na podogrodziu, aby na nich wieszać spotykanych chłopów, którzy mu się w czémkolwiek nie podobali. Bywali i tacy, co dla złych dróg, z obawy wywrócenia, zaprzęgali do wozów spędzane dziewki folwarczne, smagając opieszale biczami. Jeśli takie wybryki okrucieństwa Krzyżaków obrażały własne ich duchowieństwo, o ileż więcej cierpieli nad tym uciskiem bratniego im ludu, sami Polacy. Czuli, iż byleby podali rękę zgnębnionym, co było i ich obowiązkiem, a zwycięstwo stanie po ich stronie. Ale cóż, jeśli ten kraj wolny był przez chwilę od wojny zagranicznej, trapiły go niebawem nierzędy wewnętrzne. Cesarze niemieccy umieli jedno i drugie umiejętnie podniecać, a pieniądze krzyżackie zaczęły pomału trafiać do panów radnych w Krakowie, bo jeśli za Kazimierza Jagiellończyka przyjęto podarunek z 50,000 dukatów złotem dla senatu, ileż sum podobnych mogło oddziaływać na postanowienia państwowe skrycie?

Lecz czas nam wrócić do obioru Albrechta.

W dawnych wiekach każdą drobniejszą okoliczność lubiono odziewać powagą obrzędu, obchodem uroczystości; mogłoż być inaczej, gdy chodziło o instalacją nowego mistrza potężnego zakonu?

Ciekawość u ludzi może jeszcze była większą anizeli dziś, bo wzrasta ona stale stosunkowo do braku oświaty i poważniejszych przedmiotów zajęcia. Zbiegły się też w dzień na tę uroczystość przeznaczony, tłumy rycerstwa nietylko niemieckiego ale z Flandryi, Francyi nawet z Hiszpanii, a to w nadziei odprawienia gonitw, jeszcze w wielkiej naówczas będących modzie i wziętości. Za nimi zjeżdżały i możniejsze rodziny tak arystokracji jak i mieszczaństwa, w chęci zabawienia się, napatrzenia osobliwości, może i pokazania cór swoich nadobnych.

Nic więc dziwnego, że w szczupłym, ciasno zabudowanym Królewcu, wprędce trudno było znaleźć przybyłym mieszkania. Zjechały się tu przed innemi rodziny mające braci lub krewnych w zakonie. A i te po najwyższych piętach domów mieścić się musiały z żonami i pannami swemi, choć zwali się Reusy, Salmy, Szwendery, Weizany, niemniej Gatterslebeny, Thierbergi, Grumbachy, miejscowi Truchsesy, Rohrbachy, Westfaleny, Schurbergi de Eicke, familie kurlandzkie Liewenów, Mengdenów, Medemów, Vittinghofów, Borchów, Plettembergów, Platerów de Recke i Fürstembergów, zgoła przedstawiciele téj silnej, zjednoczonej, wzajem się wspierającej, zawsze walecznej gdy o ojczyznę chodzi niemieckiej arystokracji, jedynéj co swą powagę po angielskiej utrzymała zdołała, wśród demokratycznych prądów, które zawładnęły Europą.

Na głównym rynku Królewca, przed czasową kwaterą nowo obranego mistrza, powiewała od chwili obioru na wysokim maszcie flagą o jego barwach, a na saméj tarczy herbowej był napis w języku łą-

cińskim, niemieckim i polskim, treści, którą dla nie umiejących czytać heroldowie umyślnie na to wyznaczeni ogłaszali:

„Wielkim mistrzem zakonu obranym został za sprawą Ducha Świętego i zebranej kapituły, radnych panów zakonu, Albert von Hohenzollern-Anspach! Gdyby jednak kto wiedział, iż pomieniony elekt, kiedy co przeciw wierze świętej mówił, cesarzowi i monarsze swemu w czém nie był wierny, w bitwie go nie zasłonił, albo nie był w niej dosyć mężny, lub gdyby dla chciwości bogactw z nieszlachcianką się kiedy gdzie małżeństwem łączył, kłamał, krzywoprzysiągł, szarpał sławę niewiast, cudzą rzecz przywłaszczał, ubogich, sieroty lub wdowy uciskał, kupców nie wspierał lub poddanych nękał, mścił się niegodziwie, oddawał pijaństwu; to każdy taki coby o tych rzeczach wiedział czy to mężczyzna, czy kobieta, czy choćby nawet dziecko, na znak iż elekt zaszczytu tego jest niegodny, ma prawo dotknąć znie wagą tarczy niniejszej, i skargę swoją czy obżalowanie, wnieść przed sędziów, dniem i nocą w tym domu obradujących.”

Gdy po uływie dni piętnastu od czasu wystawienia tarczy, nikt żadnego z pomienionych zarzutów dowieść się nie kusił przed sędziami, takowi udawali się do kapituły zakonu i pod przysięgą protokularynie zeznali, że nie zachodzą żadne przeszkody co do nastąpić mającego aktu uroczystego.

W dniu oznaczonym na instalację ostateczną, której już po odbytej próbie opinii publicznej o elekcie nic nie przeszkadzało, od rana bito w dzwony po wszystkich kościołach i klasztorach tutejszych, a co godzina odzywał się z zamku strzał armatni.

Uroczystość cała w dawnych czasach miała charakter czysto zakonny, odprawiano ją według starożytnych rytuałów, które pamiętały czasy, gdy ci Krzyżacy byli tercyarzami augustyańskimi, czyli świeckimi, żyjącymi według reguł św. Augustyna doktora kościoła, zgromadzeniem braci przeznaczonych do usług szpitalnych, zbrojnych, bo tak położenie Ziemi Świętej wobec wciąż grożących Saracenów wymagało. Obecnie domięszano do obrzędów klasztornych ceremonie, które zwykły odbywać się przy koronacji panujących. Ztąd jeśli po dawnemu elekt zamknięty w samotnej celi, przez trzy dni o ścisłym poście odbywał rekolekcyę, to w sam dzień instalacji prowadzono go wśród wszystkich dygnitarzy obecnych i posłów zagranicznych po szkarłatnem suknie, rozestaniem od samej kwatery, aż do podwoi katedralnego kościoła. Starożytne mury tej świątyni od sklepień do dołu ustrojono w bogate obicia, tysiące światła rozjaśniało ciemności panujące od zasłoniętych okien, a biskup sambijski odprawiał solenną wotywę o Duchu Świętym. Nakoniec następował sam akt wyświęcenia na mistrza.

Dawniejsze wieki pełne ducha religijnego, który się odbijał na każdej czynności i w pojęciach ogółu, zupełnie inaczej pojmowały znaczenie godności, zaszczytów, dostojenstw które splotywały na wybranych. Przedewszystkiem wszelką władzę uważano za rodzaj ciężkiego włodarstwa na ziemi, za które spadała na tego, co je sprawował, wiel-

ka odpowiedzialność przed Bogiem i ludźmi. Obawa téj odpowiedzialności, aby do grzechów właściwych człowiekowi, nie dodać brzemienia władzy i pokrzywdzenia bliźnich, była tak wielką, iż nie przyjmowano godności tylko za rozkazem. Z tych téż czasów pozostał zwyczaj, iż po odśpiewaniu *Veni Creator*, delegat władzy papieżkiej i cesarskiej, zapytywał elekta po trzykroć:

— Czy chcesz przyjąć na swoje grzeszne barki ten ciężar dostojenstwa wielkiego mistrza zakonu? na co tenże odpowiadał:

— *Nolo!* nie chcę! nie czując się tego godnym, ani sposobnym; — co powtarzało się trzy razy.

Wtedy delegat lub który z kardynałów-legatów kierujących ceremonią, nad klęczącym wymawiał te wyrazy:

— Za sprawą Ducha Świętego, z woli Boskiej, papieża i cesarza przyjm ten ciężar na siebie, za grzechy twoje, i z posłuszeństwa któreś winien kapitule zakonnej, a przyjętą władzę sprawuj zgodnie z chwałą Bożą, pożytkiem kościoła, zakonu, rzeszy, wszystkich poddanych sobie.

Elekt wówczas na Ewangelią przysięgał.

Solenne odśpiewanie *Te Deum* przy odgłosie dzwonów, salw armatnich, i przeciągłych wiwatów zgromadzonego ludu zakończyło uroczystość.

Pięknym był widok odprowadzenia na zamek przez rycerstwo nowego mistrza. Kilka tysięcy braci, uszykowanych w podwójny szereg, ubranych w białe płaszcze z czarnymi krzyżami, narzucone na spodnią odzież i zbroje także czarne, (bo tylko komturowie odznaczali się złotymi bandoletami), na dany znak przez komandora generalnego dobyło z pochew błyszczące miecze, i ponad głową zwołna postępującego najwyższego dowódcy krzyżując takowe, utworzyli rodzaj migocącego na słońcu, stalowego sklepienia.

Na zamku czekała zaproszonych gościnną biesiada, w której udział przyjęli: dostojnicy kościoła i zakonu, i jako goście tu bawiący członkowie rodziny Hohenzollernów, brandeburscy margrabiowie, i przejeżdżający do Rygi król duński.

Prawdziwe zabawy rozpoczęły się od gonitw, nieodstępnych od każdej uroczystości. Krużganki zajęły najpiękniejsze kobiety z Europy, które z umysłu na to widowisko tyle lubione wówczas przybyły. Szczególniej przeważały liczbą damy z różnych dworów rzeszy, ale były między niemi włoszki, neapolitanki, hiszpanki i szwedki, wiele pań z Danii i Kurlandyi.

Zebrałe piękności wybrały jednomyślnie za swego obrońcę, czyli jak go tytułowano *rycerza płci pięknej*, sędziwego księcia z Brabancyi de Croij, który oprócz licznych bitew i wojen, także w siedemdziesięciu takich zabawach okrył się sławą.

Siedział poważny starzec jak gołąb siwy na wyborowym hestrze przybranym w błękitny czaprak, stojąc u bram samych szranków. W rękę trzymał drzewce, na którym powiewała bogato haftowana

szarfa, a gdy kto z walczących był zanadto przez przeciwnika nękanym, lub groziło mu niebezpieczeństwo, okrywał go tém znamieniem pokoju, i w imieniu téj wielkiej jeszcze wówczas powagi, bo płci pięknej, żądał aby zapaśnicy z placu ustąpili. Pomimo zapału walki, natchmiał opuszczali szranki na to wezwanie.

Oprócz rycerzy niemieckich występujących tu w wielkiej liczbie, brali udział i zagraniczni jak i sąsiedzi polscy. Takimi byli: Jan Tarło, Szydłowiecki, Wolski, Kosmowski, Potulicki, Karski, Zaremba. Według relacyi celowali oni okazałością, w której w ogóle się ten naród kocha: pięknymi końmi, pióropuszcami i szatami złocisto szkarłatnymi. Zwracał także uwagę wszystkich koniuszy wielkiego mistrza Witzenrode, który z trzewikiem białołęwskim (głosząc go własnością najpiękniejszej z najpiękniejszych) na swoim hełmie, cudów zręczności dokazywał. Niemniej odznaczył się baron Reutern i Kollowrat syn magnata czeskiego, który to ostatni wielu z konia zsadził, i wielu pobił, tak że pierwszą nagrodę dostał.

Po turniejach i gonitwach o pierścienie, następowały koncerty, serenady, pochody przy świetle pochodni pod oknami sławniejszych piękności, albo zabawy i uczyty wydawane dla ludu.

Albert ile mógł unikał tych rozrywek. Umysł to był jak mówiliśmy z natury poważny, poważnie się téż na rzeczy świata zapatrujący, tembardziej że zachodziły w tym czasie dla mistrza zakonu pełne trudności czasy. Wojna bowiem groziła Polsce od Moskwy, a cesarz nalegał, aby jednocześnie na nią uderzyli Krzyżacy. Dlatego kapituła zakonu i wszyscy członkowie rzeszy byli zdania, aby hołdu należnego Polsce odmówić, inwestytury ztamtąd nie brać, podczas kiedy zupełnie innym duchem tchnące listy odbierał z Krakowa, Anspachu a nawet Lignicy.

Upór ten Alberta w niewykonaniu zresztą dosyć częściej formalności hołdu w Krakowie, nadzwyczaj był przykry dla wuja jego Zygmunta I. Może nie było i dla niego samego przyjemném działać przeciw temu, którego kochał i szanował.

Wprawdzie na zjeździe czyli kongresie wiedeńskim cesarz wobec trzech innych królów, przybiecał Zygmunтови nakłonić mistrza do hołdu, ale widać z spełnieniem téj obietnicy się nie bardzo kwapił, a nawet jak pokątnie mówiono, od tego sam miał go odwodzić.

Przez czas tych rokowań, wymiany korespondencyi, Albert czynił znaczne do wojny przygotowania, pruskie zamki artyleryą i puszkarczami osadzał. W tym celu 237 armat, 50 moździerzy, 800 łasztów prochu, 11,000 kilofów, tylcz łopat przysposobił, nadto 10,000 piechoty i 2000 jazdy z Niemiec sprowadził.

Zmiarkowawszy te jego zamiary król Zygmunt i stany, uroczyscie przez herolda w dniu 28 grudnia 1519 r. wojnę zakonowi wypowiedzieli. Pierwsza utarczka między Krzyżakami a Polakami nastąpiła pod zamkiem Holland niedaleko Elbląga.

Zamek ten jednak wkrótce Mikołaj Firlej zdobywa; w której to potrzebie sam mistrz raniony zostaje. Firlej nie poprzestając na tém, i Brandeburg szturmem bierze.

Po tych niepowodzeniach Albert znając powolność wuja dla siebie, udaje przed Zygmuntem królem, iż pragnie zgody a wyjednawszy dla siebie jako przekraczającego prawa stanu Rzeczplitej, od wuja list żelazny, sam dla układów do Torunia przybywa.

Układy te nie doprowadziły do zgody. Polacy pokrzepieni w nadziejach zwycięstwami, twardo stali przy wymaganiach swoich, zaś Albert chciał tylko zyskać na czasie i oglądał się za pomocą. W ciągu zwlekanych układów Albert dowiedział się, iż z Niemiec pod wodzą Wolfganga Schöneberga idzie mu 20,000 posiłkowego wojska, nadto że i król duński, zawsze najlepszy jego sprzymierzeniec, 2000 zbrojnych morzem mu przysłał do Fryszhafu. Zatem zaczęte układy zrywa i z Torunia wolno odjeżdża, bo Zygmunt nie przeszkadza odjazdowi nieposłusznego wasala, ceniąc świętość obietnicy.

Odbiegła jednak Krzyżaków, dawna ich rycerska ochota, a z nią szczęście oręża. Wojna miękko prowadzona powoli się wlekła. Pomi-mo świeżych i znacznych odebranych posiłków, zaledwo zdołano zdobyć mało znaczące polskie zamki Starogród, Czczewo (Dirschau) i Chojnicę. Uporczywie dobywali Krzyżacy Gdańska, ale wzięcia go sami mieszkańcy nie dopuścili. Wkrótce głód, epidemiczne choroby rozproszyły wojska niemieckie. Prysłana odsiecz z Polski zmusiła je do odstąpienia ztamtąd. Ścigano i wypleniano zupełnie odstępujących, waleczny Mikołaj Starcz postradane zamki polskie odebrał.

Wojna ta dla wielkiego mistrza nieszczęśliwa, ciągnęła się jednak lat dwa i kosztowała piętnaście milionów monety dzisiejszej; ale jeśli zachwiała popularnością Alberta w rzeszy, nauczyła go i przeświadczyła o tém, że minęły czasy, gdzie można było dokazywać zakonowi zbrojno, i należało wchodzić na drogę układów i pokojowej zgody.

### III.

Nie odrazu wszakże Albert postanowił porzucić utarte przez poprzedników drogi popierania zamiarów cesarza, aby tym sposobem powrócić do odebrania Polsce ziem zwróconych jej pokojem toruńskim. Nastąpiły chwile wahania się, zwątpienia, niepewności, pośród których walczył sam z sobą. Według własnych zeznań Alberta, które w formie notat doszły do naszych czasów, podług ułamków jego korespondencji, i tradycyi która się przechowywała między rodami polskimi, jakkolwiek spokrewnionemi z Hohenzollernami, albo listami z tego czasu rozrzuconemi po archiwach domowych, widocznie na zmianę postanowień wielkiego mistrza, miały wpłynąć, trzy następujące, zaszłe około tego czasu wypadki.

Niepowodzenia ostatniej wojny, zrobiły to iż Albert czuł się między swymi nie tyle popularnym, utraciwszy wiele na stawie i wzię-



tości. Poprawić to położenie rzeczy uważał za obowiązek dla siebie. W tym celu wznowił oddawna utrzymywane stosunki zakonu z wielkim księciem moskiewskim Wasilem Iwanowiczem IV. Albert sądził nie bez słuszności, iż kiedy wojna między carem a Polską wybuchnie, najspodobniejsza będzie chwila i dla niego powetować swe straty. Należało jednak wystąpić z przemożniejszymi siłami aniżeli poprzednio, i w tym celu jeździł do Niemiec, aby tam zyskać pomoc panów rzeszy i rycerstwa niemieckiego. Lecz rzeczy te szły tępo, bo inny już duch owiął całe Niemcy, a umysły wszystkich były zajęte, sporami religijnymi, *reformą*.

Za ognisko ruchu nowatorskiego właśnie uważano dwory tych panów rzeszy, od których Albert najwięcej poparcia się spodziewał. Frankonia, Hesya, Palatynat, Dania, Szwecya zalane były wyznawcami reformy. Ponad wszystkie jednak górował w zapale prozelityzmu dom brandeburski elektorów, młodszej Hohenzollernów linii. Dom to wówczas już był dosyć możny w siły zbrojne, bogactwa, dostatki, i używał pewnej popularności. Członkiem jego sławny kardynał Albert arcybiskup moguncki, założyciel uniwersytetu w Frankfurcie nad Odrą, który za odpusty zbierał pieniądze na krucyatę przeciw Turkom.

Przebywając w części w tym domu z krwi i kości niemieckim, podwójnie sobie pokrewnym, Albert po mału nasiąkał nowemi ideami, a tu także poraz pierwszy poznał nie bez wrażenia, Annę Dorotę córkę króla duńskiego, z elektorową spokrewnioną.

Z Odersburga płynąc raz do Szczecina, gdzie go czekał yacht wielko-mistrzowski, z nudów wyszedł Albert z namiotu przygotowanego dla tak dostojnego podróżnego, i zaczął przechadzać się po pokładzie. Na samym jego tyle zwróciła jego uwagę grupa złożona z kilkunastu osób. Byli tam kupcy podróżujący, mieszczanie, kilku zamożniejszych rolników, zakonników z reguły żebrzącej, byli i żołnierze; pośród nich żywo i namiętnie rozprawił człowiek cały czarno ubrany, o wydatnych rysach twarzy, wyniosłym i pięknym czole znamionującym myśliciela, oczach żywych, namiętnych i rozumnych. Rozprawił najwięcej o przedajności, przekupstwie i chciwości złota, jaka opanowała ludzi, o odstępcstwie ich od zasad Chrystusa, dla przepychu, zbytków, znaczenia, wygod życia, mamony, o ciągłych wojnach hańbiących społeczność chrześcian, nadużyciach wyższego duchowieństwa, uciskaniu pod pokrywką religii, którą uważano za narzędzie słabszych. Wielki mistrz uderzony ognistą wymową improwizowanego mówcy, przejęty trafnością jego uwag i argumentacyi, słuchał go uważnie, a gdy skończył zbliżył się ku niemu, zapytując kimby był?

— Jestem doktorem świętej teologii, (to mówiąc wejrzał na oznakę tej godności, to jest pierścień błyszczący na palcu), profesorem uniwersytetu w Wittemberdze, nazywam się Marcin Luter.

Nazwisko to miało już zbyt wiele rozgłosu po całym katolickim świecie, aby miało być obce mistrzowi. Przypadek jedynie zdarzył, iż się jeszcze z nim nie spotkał. Nie zerwawszy jednak jeszcze z kościo-

łem, formalista jak wszyscy członkowie jego domu, spojrzął na ubranie kaznodziei, i jakby zdziwiony mimowolnie zapytał: — wszak zakonnik?

— Tak jest — odpowiedział nie mieszając się Marcin Luter, — reguły Augustyna biskupa Hippony, największego z uczonych i doktorów kościoła.

Albert, nic na to nie odpowiedziawszy, zaprosił głowę i przywódcę późniejszego reformy do namiotu swego; namawiając go aby zjadł z nim obiad. Marcin Luter, którego rozmowa była zachwycająca i porywająca, jak jego kazania i pisma, prawie oczarował wielkiego mistrza, tak gruntownością nauki wywodów, przeplatanych ostrym dowcipem i satyrą, jak popularnością wykładu. Zdawało mu się iż przed nim odkrywają się nowe światy myśli. Biegły teolog dotarł do głębin sumienia jego, wydobywał na wierzch takie rzeczy śmiało, które on sam przed sobą zwykł był taić.

Doktor Marcin zbyt znowu był zręcznym, aby dowiedziawszy się, iż ma do czynienia z jednym z najważniejszych potentatów rzeszy, nie skierował i nie naprowadził rozmowy na politykę. Z dziwną przenikliwością umysłu, chociaż tylko teolog, umiał on ocenić i odgadnąć położenie terażniejsze i przyszłe Europy.

Uderzony Albert zuchwałością i śmiałością pomysłów reformatora, odrzekł:

— Nie życzę wam jednak, doktorze, tak poczynać z Rzymem; wszakże to potęga, o którą się rozbito tyle innych, które się silniejszemi od niej sądziły.

— *Celsissime!* — odrzekł nie bez dumy Marcin Luter. — Ja nie tylko że z nim nie zaczynam, ale już skończyłem, zrywając z nim stosunki wszelkie.

— Jakto? — mówił Albert, cofając się z zadziwienia — więc odszczepieństwo, herezya!...

— Niech tam będzie i tak, niech jak chcą nazywają to purpura ci w Rzymie. Prawda jest przy mnie! — odrzekł Luter. — Ona wciąż po mojej stronie, czego dowodem, że do mnie się garną rzesze, co jój żądne.

— Rzesze — zauważył Albert — wabi wszelka nowość; cóż zrobiły i dla Jana Husa? Z tą samą ciekawością co słuchały kazań jego, szły patrzeć, gdy ginął na stosie: nie przy rzeszach, a przy wybrańcach Bożych jest przywilég prawdy!

— Widzieliście zapewne — mówił Marcin, podumawszy chwilę — *Celsissime*, kiedy, miecz odkopany w jakim zapomnianym grobie. Ten, który błyszczał, groził, karał, ścinał i był słuchany, teraz leży rdzą zgnilizny pożarty: takim właśnie jest Rzym.

— A cesarz? Z nim igrać niebezpieczno; wszakże to z jego rozkazu zapalone konstancyeńskie stosy — przerwał Albert.

— Jego potęgi i znaczenia dni policzone! — odrzekł z zapałem Luter. — *Celsissime!* darujcie śmiałości człowieka, który staje w obronie prawdy; cesarze są to wasi naddziadowie, terażniejszy Wam pokrewny podobno; ale kiedy jaka instytucja ludzka ma upaść z wyroku Bożego,

siła i moc jęj przechodzą w słabe lub nieudolne ręce, i nie pojawiają się Rudolfy z Habsburga, by wskrzesić dawne chwały Ottonów, Barbarosów.

Albert popatrzył chwilę bystro w oczy towarzyszewi swemu, a głęboko westchnąwszy, rzekł:

— Wszakże niedawno obrany Karol V, mój powinowaty, jest pełnym nadziei młodzieńcem.

— *Celsissime!* nie ubliżam nic jego osobie—poprawił się Luter—ale dostojnego pana naszej rzeszy mogą zgubić niezmiernie bogactwa, napływające wciąż do Hiszpanii z Nowego Świata oraz monachizm hiszpański, o skrytych wpływach i potęgach, którego my wyobrażenia nie mamy. Zła to podstawa i zbyt odległa od działań cesarza niemieckiego, zupełnie dla niego nienaturalna; jeśli Hiszpania fanatyczna i ciemna, to Niemcy zato oświecone i wyswobodzone; Hiszpania w ich duchu utonąć musi. Jakże ztamtąd panować Rzeszy, Niderlandom, Neapolowi; rozległość dzierżaw, ich rozrzucenie, gospodarce każdej, choćby chłopa szkodzi.

— Lecz cóż mówisz o Francyi? — pytał coraz bardziej zaciekaiony Albert.

— Sam król — mówił reformator — godzien podziwu monarcha: szczerzy, tkliwy, wspaniały, waleczny; nauki, sztuki, starożytne języki, uczonych filozofów miłujący. Gdyby nie jego płoche i rozwiązłe otoczenie, byłby niezawodnie jednym z gorliwych popieczników nowych pojęć, które wygłaszamy. Ale cóż? Włochy wzięty nad nim przewagę, Włochy i kobiety, a lubo szlachta i lud, szczególniej mieszczanie, nam sprzyjają, dwór pozostanie pod wpływem Rzymu.

— Jakiż działania wasze — pytał Albert — i waszych uczniów, biorą skutek w Polsce?

— Grunt to—odpowiedział reformator—do działania ślizki i wątpliwy. Trzy czwarte ziemi należy do króla i księży, lud ciemny, w praktykach i zabobonach rzymskich zakochany. Przeszkadzają nam i husyci, taboryci tylko pozornie z nami w zgodzie są, mamy jednak za sobą mieszczan, magnatów, chciwych nowości i lubiących psocić na złość królowi, z czasem trafimy i tam wszędzie, bo prawda jest przy nas, i oświeci te ludy.

— Żyjemy—rzekł zachmurzając czoło Albert—w przeddniu wielkich a ważnych wypadków. Walka starego układu z nowym jest nieuchronną. Łatwo burzyć, ale nie łatwo budować i stawiać; co dzieciak nieopatrzny zniweczyć potrafi, mężę czynu i rady czasami nie naprawią. Co tu ofiar, co krwi, nieszczęść przed nami! A kto pierwszy miecz z pochew dobędzie?

— *Celsissime!* — odrzekł zadumany Luter—czasami Bóg daje, że największe przewroty obchodzą się bez krwi i ofiar. Niech tylko wszyscy książęta panowie chrześcijańscy, na czele sobie poddanych ludów, staną w obronie pogwałconej w swych prawach sprawiedliwości

i prawdzie, a kto przeciw nam będzie? Garstka zniechęconych i nieczemnych? ta się skryje przed temi blaskami Boskiej chwały!

„Pytasz wielki mistrzu zakonu niemieckiego, dostojny panie, kto miecz dobędzie? A jużćie pewno my Niemcy, gdy nas do tego zmuszą; bo przy nas jest sprawiedliwość i prawda, i my z temi pomocami świat zwyciężymy, nie mieczem, nie armatą, bo te tylko do obrony od napaści służyć powinny, ale Biblią, Ewangelią w rękę, nietylko na ustach, ale w czynie, sercu. Przy nas jest siła nadto, którą pogardzać nie należy, bo „silny duch w silném ciele tylko gości“ mówili starożytni. Przy nas jest rozum, który kieruje; przezorność, która miarkuje zapasy; nauka, która podaje sposoby; przemysł, który bogaci; praca, która przeszkody usuwa. Kto nam, jak staniecie na czele, poradzi?”

„Zwycięstwo, jako nagroda, słusznie nam Niemcom się należy, bośmy płakali, kiedy tamci się śmiali, mozolili, gdy oni próżnowali, krzepili ducha, a uczyli, kiedy oni czas na turniejach, gonitwach, płochych rozmowach i śpiewach z rozwiozłemi kobietami, tracili, wraz z energią i mężkością ciała. Nasze kobiety nie trawia życia na strojach, tańcach i przysłuchiwaniu się trubadurów lub muzyce szalonej, ale, dzięki Bogu! mamy niewiasty, co żyją według Pisma Świętego, przędąc, pilnują cnoty u ogniska domowego, ztąd i mężowie ich dzielni, bo błogosławiony i znaczny jest mąż niewiasty roztropnej w radzie, gdy siądzie między starszyzną ziemi.

„Takim jest wielki naród niemiecki; ja go znam, bo z ludu wychodzę, i niema kąta téj ziemi, którójbym nie zmierzył mojami stopami. *Celsissime!* przy Was miecz i siła, przyrzeknijcie nie dobyć go z pochwę, jak tylko w obronie tego ludu, który na to poparcie zasłużył.

— Doktorze!—odrzekł Albert—zapominacie, że każdy członek rzeszy przysięga, i winien posłuszeństwo cesarzowi, a tych, co inaczej te rzeczy rozumieją, czekają grube mury więzień Frankfurtu, Ratzybony, Kufsztejnu.

Właśnie dokończył tych uwag, gdy komtur towarzyszący w podróży mistrzowi, zbliżył się do rozmawiających, dając znać, że księżę Fryderyk Lignicki, bawiący chwilowo w Meklemburgu Strzeleckim, dowiedziawszy się o przejeździe szwagra, ku nim płynie. Na rozkaz Alberta statek stanął, aby przyjąć gościa, a że Piastowicze szlączy odznaczali się i gorliwością katolicką i wiernością cesarzowi, Marcin Luter usunął się na bok, nie bez zaproszenia ze strony wielkiego mistrza Krzyżaków, aby jechał z nim do Królewca; od czego na ten raz musiał się wymówić, bo w Szczecinie mieli na niego czekać uczeni szwedzcy z Upsalu i Lundu, z którymi załatwiwszy się, miał natychmiast wracać prosto na Hamburg do Augsburga.

Za powrotem swoim do Królewca, w mistrz przez czas swojej krótkiej niebytności znalazł wiele rzeczy do niepoznania. Reforma jak pożar gwałtownie obejmowała wszystko, wybuchając nagle tam gdzie się najmniej jój spodziewać można było, z daleko większą gwał-

townością, niżeli sędzić należało. Rozpowiadaczy Słowa Bożego, apostołów poprawy, znalazł wszędzie, spotykał się z nimi wszędzie. Wszystko skutkiem ich wpływów popadło w nieład, rozprzężenie, i przybierało inną zupełnie postać. O dawniej karności zakonnej już mowy być nie mogło. Bracia zakonni zrzucali habit i przebierali się po świecku. Niektórzy ze starszych zakonu, zapominając o ślubach czystości, jawnie pokazywali swoje żony. Wiele z kościołów pozajmowali fanatyczni kaznodzieje nowości, elektryzując lud przemowami śwmi. Ruch ten zaczynał się udzielać miastom polskim, zaludnionym od czasu napadów tatarskich i uprowadzenia mieszkańców polskich, najwięcej ludnością niemiecką. Obywatele gdańscy najpierw się rzucili do nowości, wygnali urzędników postanowionych przez króla Zygmunta, i rzucili się na katolickie klasztory i kościoły. Nadbiegłe wojsko z Torunia ukarało buntowników, ale to szło z trudnością, bo wielu Krzyżaków dopomagało przeciw Polakom. Wszędzie już po drodze Albert napotykał gromady ludu, to z kancyonalem, to z bibliami w rękę, które nie mogąc się nacieszyć temi książkami, w przystępnym dla nich, bo ojczystym języku drukowanemi, zamykały się do stodoł, aby słuchać kazania i chórem śpiewać.

Do tych wszystkich kłopotów, nieprzyjaciele Alberta w łonie zakonu, umieli niezmiernie na czasie skorzystać. Zarzucano mu, dlaczego nie zaczyna wojny z Polską. Podszeptywano, że zdradza interes rzeszy, że nowemu duchowi całkiem nieprzychylny; rozchodziły się i głuche wieści o jego, skutkiem niepopularności, abdykacyi z dostojęstwa wielkiego mistrza. Prawdziwie było od czego głowę stracić, oraz decydować się, co począc, by nie dać się unieść na ślepo wypadkom.

Chcąc zasięgnąć języka od innych panów rzeszy, a mianowicie od brata Jerzego na Anspachu, i nie wierząc postom i agentom, cichaczem wyprawił się do Jerzego, wprzód powierzwszy namiestnictwo nad zakonem komandorowi w Memlu, księciu Erykowi brunszwickiemu.

Powracając z tych narad Albert, w towarzystwie zaledwo kilku dworskich, ukryty pod nazwiskiem barona Hartleben, stanął w Norymberdze. Nie zajechał jednak do żadnej z gospód, które były w tém mieście wcale pokaźne i porządne, ale stanął w domu mieszczanina Michała Rodena. Że zaś nie było jeszcze późno, okryty w płaszcz od marcowego chłodu i śniegu, który zalegał ulice, począł się po mieście przechadzać.

Norymberga, jedno z sześciu miast zwanych cesarskimi, prawie wtenczas wyrównywała Paryżowi. Lubo mniejsza od ciągle wzrastającego Londynu, o wiele ludnością, przemysłem, bogactwem, przechodziła sąsiednie: Berlin, Wiedeń, Pragę i Kraków.

Norymberga zarówno słynęła fabrykami różnego drobnego towaru, galanteryjnych wyrobów cierpliwości niemieckiej, jak była ogniskiem sztuki tego narodu. Prowadziła z Niderlandami rozległy handel ich wyrobami, które przez Wrocław, Kraków, Pragę, rozchodziły się na głęboki

Wschód. Na ulicach jęj, wzorowej czystości, nie ujrzałeś ani próżnującego, ani żebraka, a żydom wzbronionym był raz na zawsze tu po-  
być, dla urojonego przywidzenia, jakoby wody zatrawali w studniach. Jubilerów, złotników, drukarzy, tokarzy kości słoniowej, mieszkało bardzo wielu, a wszyscy niepospolicie bogaci: do nich zaliczyć trzeba zegarmistrzów i fabrykantów tych ciężkich a ozdobnych mebli, które dla zbieraczy dzisiejszych nie mają ceny.

To też kiedy Albert Hohenzollern przechadzając się wieczorem, uderzony wśród ciemności oświeceniem starożytnęj katedry, wszedł pod jęj sklepienia, nie mógł wyjść z podziwu na widok, który się oczom jego przedstawił.

Całe szeregi ławek hebanowych, inkrustowanych srebrem i perłową macią, zajmowały z córkami panie rajczynie, żony syndyków, ławników, i inne znakomite miasta obywatelki i kupcowe. Przepych ich strojów z lewanckich, weneckich lub genueńskich, ciężkich aksamitów lub bławatnych materyi, podnosiły bogate i kosztowne futra, któremi się odziawały, olbrzymie z soboli zarękawki, kunsztownęj roboty łańcuchy, drogocenne perły Wschodu i dyamenty Golkondy. Dodajmy do tego, że mieszczeni Norymbergi słyneły z wdzięków i urody, do białęj płci północy łącząc rumianość lica, ciemne włosy i wabne ciemne oko. Przed każdą z nich na pulpicie, wybijanym złocistym kordybanem, leżała dużyż rozmiarów książka, zamykana na ciężkie klamry. Same ich oprawy byłyby zajęły uwagę kolekcjonistów, bo jakichże tam nie było? Oprawy w aksamit, skórę lub drzewo z wy-ciskami, były pospolitsze, ale były także obleczone kością słoniową z malaturami, blachami ze srebra i złota rzeźbionęmi, perłową masą nabijaną ćwieczkami z drobnutkich brylantów; także można było zauważyć, iż kosztowne fazzolety z koronek brabanckich albo srebrnych i złotych, naszywane perełkami, leżały niemal obok każdęj książki: jak znowu na każde dwie osoby wychodziła z misternie kutego lichtarza z wonnego wosku świeca.

Wchodzący Albert trafił na środek kazania pasyjnego: uderzyła go wymowa, a raczęj akcent kaznodziei, poznał po pełności tonów w nim frankończyka z rodzinnych stron swoich, co jeszcze zwiększyło ciekawość. A właśnie wygłaszał ustępi taki:

„...I wy mienicie się dziećmi jednego Boga i braćmi w Chrystusie! a jakież wasze postępiki? Dlaczego dyszycie tylko mordami, wojną, pożogą? Dlaczego niemal codzień krew przelewacie waszych braci, w kłótniach, zwadach, pijatykach, bitwach, jakby z przyjemnością? Czyż tak żyć przykazał nam nasz Zbawiciel Chrystus? czyż w ten sposób zakończył zachodzące między uczniami spory? Czyż gwałt utworzył co kiedy trwałego? Czyż na to jesteście stworzeni, abyście sobie wzajem szkodzili? Czyż nie możecie wszystkiego dokonać co słuszne, na drodze pojednania i zgody? Powiadacie, że nie! że trzeba walki i wojny! Cóż więc wasz za rozum? alboż nie wiećcie komu wojna płuży? Nie tobie spokojny rolniku, co krajiesz ojczyste niwy pługiem! nie to-

bie cichy rzemieślniku, bo ci poniszczy warsztaty! nie tobie kupcze, bo zabierze twoje zapasy i dostatki! nie tobie bogaczu, bo cię przyprowadzi do nędzy! Spadek po was zaborą śmieli kupieczy, nikt więcej! Wy sami nie wiecie, co was do niespokojności i Bogu przeciwnych postępów prowadzi, ale ja wam powiem w krótkości. Oto marność, oto pycha, oto chciwość bezmierna przekłętęgo złota! Wy złoto cenicie nad wszystko. Przyjdzie czas, że ono nie będzie miało dla was samych tej wartości. Niem nie okupicie hańby i niedoli waszój! Złoto! albowtóż to dar Boga? wszak to wymysł ludzki! Czyżby Bóg wdawał się w jego szafunek i powierzał go w tak podłe i nikczemne, w jakich zostaje często ręku. Czyż zamiłowanie do niego nie szatan wam w serce wszczepił, iż niem oddychacie tylko? A dlaczego? oto abyście na wszystko co szlachetne zubożyli, aby potem przemienił nagle to wszystko w kupę zeschniętych liści, i naśmiał się z głupoty waszój; z zgubionych na wieki. Nie! złotem nie okupi wszystkich dobrodziejstw ręki Boga! Za złoto nie kupisz ani cnoty, ani czci, ani szczęścia. Za niego nie dostanie talentu, geniuszu, zręczności. Nie przedłużysz niem na minutę życia kresu, nie nabędziesz zdrowia. Złotem nie zyskasz pocziwój żony, dobrych dzieci, przyjaciół, ani dobrego imienia. Dlaczegoż więc tyle się ubiegacie o niego? Ha! bo złoto dogadza pysze, zazdrości, próżności, lenistwu, chciwości; za złoto łatwo możesz zostać pijakiem, cudzołożcą. Ciśnij go więc o ziemię jeśliś chrześcianin, bo ono cię gubi. Żyj wraz z mędrcom z pracy rąk własnych, skromnie pożywając dary Boże, zdrów, wesół, swobodny...

„Nie! tego z was żaden nie uczynił! zanadto już jesteście zgnili i zepsuci. Jak nie chcecie porzucić wojen i niezgód bratnich, tak wiecznie dźwigać będziecie jarzmo niewoli, którą na was szatan włożył i ciągnąć rydwan grzechu dla jego uciechy.

„Ostrzegam was, bom jest na to do was posłany, że godzina sądu Bożego dla was się zbliża, a gdy już nadejdzie, za nic będą wasze modlitwy, błagania, ofiary.

„Dla ukarania niezgód waszych, srogi pogania, oddawna nad brzegiem Bosforu rozwielmożniony, czyha na dalsze zdobycze. Kto wie, czy za grzechy wasze, i poza nasz piękny modry Dunaj, sięgnąć nie będzie mu dozwolone przez Tego, co wszystkiem rządził!

„Wy się śmiejecie z moich przepowiedni, i macie słusność, bom nie jest Jeremiaszem, ani Izajaszem, mającym od Boga przejrzenia przyszłości. Ale i Grecy bizanccy śmieli się gdy im kto mówił, że półksiężyc w miejsce krzyża na wieży kościoła S-těj Zofii zabłyśnie, a stało się tak za grzechy ich według woli Bożej.

„Ostrzegam was, bom może po to do was posłany, że nikt godziny ani dnia sądu niepewny, ale nieszczęście jest jak owe na niebie chmury, albowtóż kto wie z której strony i kiedy wyjdą zalać nasze łąny. Albo jak ów lew pustyni, co wciąż w około swój zdobyczy krąży. A kto mieczem wojuje, i od miecza ginie, jak powiedział Chrystus Pan, nasz Zbawiciel. Amen.“

Przyzwyczajony do oficjalnych kazań nadwornego kaznodziei w zakonie, gdzie o polityce, wielkości rzeszy i mistrza i zręcznych pochwałach dla niego więcej, jak o czém inném bywało zwykle, z niezwykłym zajęciem wysłuchał Albert mówcy w katedrze norymberskiej, a po skończeniu nabożeństwa zbliżył się, by się z nim zapoznać.

Był nim młody jeszcze, zaledwie lat dwadzieścia pięć liczący człowiek, nazwiskiem Osyander, jeden z pierwszych, który przystał do Lutra, poróżnił się z nim wkrótce w kilku punktach, i na swoje ręce nawracał umysły do *nowych*, jak naiwnie nazywano, doktryn. Poznawszy go Albert, dowiedział się nadto, iż był synem leśniczego jego brata. Z téj racyi przy sobie go zatrzymał, do Królewca wysłał, gdzie tenże w r. 1552 po mnogich pracach życia dokonał.

Powracający pod wpływem wrażeń z kazania Albert, na wschodach mieszkania zastał żebraczkę, która do nóg mu się skłoniwszy, nieznacznie wcisnęła w rękę kartkę z pismem téj treści, raczej zapytaniem:

„Czy osoba zaufana waszemu bratu Krzysztofowi, może się z Waszą Wielkością rozmówić? dziś, zaraz po północy, zupełnie ustronnie?“ — Herb dobrze znany Albertowi, Odrowąż, służył za podpis.

Po tym wycisku Albert poznał, że kartka podana pochodzi od człowieka, którego szczególniej miłował szlachetność i cnoty: odpowiedziawszy więc żebraczce:

— Czekam od północy i furtką od ogrodu wpuścić każę — sunął dalej po wschodach w górę do swojej komnaty.

Kartka w istocie pochodziła od Krzysztofa Szydłowieckiego, pana na Chmielowie, Końskich, Opatowie, Szydłowcu, kanclerza wielkiego koronnego.

Był to jeden z najpierwszych magnatów polskich, prawie że wychowany z matką Alberta Zofią, bo się chował razem z jej braćmi, królami Czech, Węgier i Polski. Był to ideał doskonałości, jak wtedy nazywano prawdziwego kawalera. Odważny, nieustraszony w walce, hojny, rozrzutny, w stroju przepyszny, niezrównany, na wszystkich turniejach ulubieniec dam i zwycięzca. Całe życie spędził na ambasadach po różnych dworach europejskich i w towarzystwach najwyższych. Uczeń, jak mówiliśmy, Erazma, do poważnej nauki łączył wielką ogładę i zręczność w rokowaniach dyplomatycznej natury. Raz się poznawszy z Albertem, nie mogli się prawie rozstać z sobą, tak dalece rozwiązanie bieżących politycznych kwestyi pojmwali jednakowo. Chwilowe zatargi z wujem, królem Zygmuntem, Alberta, rozdzieliły ich, ale nie zmieniły uczuć przyjaźni i szacunku, tak że ich za braci uważano powszechnie, takimi mianowano; co mieli uroczystą przysięgą, później dokonaną na braterstwo ślubne, obadwa stwierdzić.

Dodajmy do tego, iż Szydłowiecki był marszałkiem nadwornym u króla Zygmunta, przyjacielem cesarza Maksymiliana; bo on to doprowadził zgodę między monarchami na kongresie wiedeńskim; podróżnikiem rzadkim na owe czasy, bo zwiedzał Jerozolimę i Egipt,



a będziemy mieli wyobrażenie o dostojności osoby, która mogła śmiało wyznawać się bratem tak wielkiego znaczenia pana, jakim był Albert Hohenzollern.

Nic więc dziwnego, iż wielki mistrz był rad i ciekaw wysłańca tego, którego tak wysoce cenił i szanował, i z pewnym rodzajem niecierpliwości spoglądał na wskazówki przepysznego norymberskiej roboty zegara, zawieszzonego nad kominem.

Wysłańcem tym tajemnym od Polski, był młody dyplomata, od kanclerzy duchownego i świeckiego, to jest biskupa Tomickiego i Szydłowieckiego z Krakowa, tu wprost wyprawiony, Achacy Czema starosta starogrodzki, pochodzący z dawniej pomorskiej rodziny.

Polacy oddawna, a od rozerwania pokoju toruńskiego szczególnie, uważali i śledzili każdy ruch siostrzeńca królewskiego Alberta. Gdy się dowiedzieli, iż chce abdykować ze swęj godności, przelewając ją na Eryka księcia brunszwickiego, znanego z osobistej przeciw Polakom nienawiści, zatrwożyli się chmurną przyszłością, brzemiennej wojnami uporczywemi. Jakiekolwiek bądź w Albercie wrzały chęci, wstrzymywały go od wybuchu (jak sądzili), uczucia familijne, i inne przychylniejsze dla ich kraju względy. Brunszwicki myślał tylko o wojnie, i o odzyskaniu Prus królewskich dla zakonu. W tém położeniu rzeczy, wiedząc o przejeździe Alberta przez Norymbergę, wysłano tam tajnego posłańca dla wyrozumienia położenia sprawy.

Achacy Czema przedewszystkiém, zażądał rycerskiego słowa, od Alberta, jako nigdy tego co mu powie, nikomu nie powtórzy ani powie.

Wtedy dopiero Czema przedstawił Albertowi, iż kanclerze dobrze są powiadomieni, za czém jeździł po dworach niemieckich, i co gdzie zyskał; że wiedzą jako chce zrezygnować mistrzowstwo na rzecz księcia brunszwickiego, co ich nadzwyczajnie zdziwiło, iż może krok tyle stanowczy przedsięwziąć bez narady z wujem rodzonym królem Zygmuntem, który pomimo zatargów politycznych, zawsze go kocha, jest mu przychylny i czule wspomina. „Dlatego, mówił, przysłałi mnie tu do Was ci panowie, z wielkięj przyjaźni ku Wam, abym oświadczył Wam, iż zawsze lepiej na wszystkiém wyjdziecie, działając z nami wspólnie, aniżeli nie mając nas przychylnych sobie.“

Czy znuzenie drogą, czy spóźniona pora, czy ważność sprawy spowodowała, iż Albert odrazu nie stanowczego nie chciał odpowiedzieć; oświadczył tylko, że wszelki stosunek z osobą tak dostojną i zaczą jak wuj Zygmunt, którego uważają w całej Europie za najmędrszego z monarchów, zawsze mu miłym będzie; że wielce zasłużonych Tomickiego i Szydłowieckiego, uważał i uważa za najlepszych przyjaciół swoich, i dlatego niezawodnie znajdują go oni sobie zawsze powolnym; jednak w tęg chwili nic nie odpowię, czasu do namysłu żąda, i na jutro w tém samym miejscu i czasie z starostą stargardzkim widzięć się pragnie. Poczém Czema rad zapewne pomyślnemu rokowań zawiązaniu, szedł do siebie co słyszał spisać, i wyprawil z depeszą gońca do Krakowa.

Wtedy to zapewne, sądząc z ustępu w rękopiśmie Wenantego Targowskiego, zakonnika Cystersów w Wąchocku, pod tytułem: *Mirabilia somnia*, spowinowaconego ile można się domyślić z domem Szydłowieckich, który różne objawy senne poczynawszy od czasów biblijnych aż po rok 1698, datę rękopismu, spisywał <sup>1)</sup>, wielki mistrz miał mieć osobiwy sen.

„Śniło się rzeczonemu (słowa Targowskiego) Albrychtowi wielkiemu mistrzowi Krzyżaków, bawiącemu podróżnie w Norymbergii, jakoby matka jego Zofia Jagiellonka i św. Kazimierz królewicz, ujmując się za boki, oboje nie żyjący ku niemu szli, a ręce wyciągając, do zgody z wujem Zygmuntem nakłaniali, która i nastąpiła, co tu dla negujących prawdziwość snów objawienia się notuje.“

Nie możemy wiedzieć o ile zdarzenie to jest prawdziwe, czy do przywidzeń zamiłowanego Cystersa w cudownych i nadziemskich objawieniach zaliczyć go wypada; to wiadomo tylko że za drugą swą bytnością, Czema znalazł wielkiego mistrza, jeszcze lepiej usposobionym, który nawet poufale go pytał aby mu powiedział, zkąd w Krakowie mogą o każdym jego kroku wiedzieć.

„Jest teraz w tój stolicy, odpowiedział starosta stargardzki, bawiąc u Najjaśniejszego Pana, posłannik Króla Jegomości francuzkiego; z niego wyrozumieli panowie kanclerze, iż Wy oświadczyliście Wasze powolne służby jego monarsze, a kto wie, może i zupełnie do tego dworu zechcecie się przenieść, odstąpiwszy ludy i kraje, Waszój pieczy powierzone, Erykowi brunszwickiemu, o czém nam także jest wiadome. O czém nasi kanclerze, co mnie do was przysłali, dowiedziawszy się, zmartwieni byli Waszém małym zaufaniem do nas; a wszakżeby zawsze lepiej było, abyście mając to czynić, co do tego z królem Zygmuntem wujem się porozumieli, który Was krajami, ludem i płacą sowitą za wasze przyjacielskie służby opatrzy i hojnie obdaruje: wszak Wam zawsze lepiej między swymi panować, aniżeli obcemu monarsze służyć?“

Albert po tój propozycji postął na chwilę zadumany, ale w końcu wzięwszy nawzajem od Czemy zapewnienie iż nic nikomu o tém o czém mówić będzie nie powie, w te odezwał się słowa:

— Miły panie Czemo? Wyznam ci otwarcie, iż kiedy się stałem przyczyną tak wielkiego krwi rozlewu, obałamucony, prawdziwego wyobrażenia o Bogu i obowiązkach moich nie miałem. Od tego czasu ważne zaszczytne zmiany i wypadki, jednak zakon, Rzesza, nie przestają nacierać na mnie, abym na Polskę uderzył, podczas kiedy Elbląg, Gdańsk przeciw królowi w powstaniu, szedł im na pomoc. Nie mogąc poradzić z zakonem, ani z sumieniem godząc się na tamtych żądanie, bo się rozlewem krwi brzydzę, wyznaję iż wolałem odstąpić méj władzy Ery-

<sup>1)</sup> Przypadkiem przezemnie dla jednéj pani, amatorki sonnyoh zjawisk 1840 r. odnotowałem ten sen; co się dalej z tym rękopismem stało, czy był kiedy drukowany nie wiemy, był w bibliotece po Cysterskiej w Wąchocku.

kowi brunszwickiemu, i zamierzałem w istocie udać się do króla Franciszka I, pana, który mi dziwnie do serca przypadł postępkami swemi, ale i tam zanosi się na wielką burzę, i niewiedzieć po czyjéjby mi wypadło stanąć stronie. Wiernymi radami obu tych panów (kanclerzy) nie chcę pogardzać, owszem ich sobie za przyjaciół uważając, chcę rozważyć to coście mi od nich powiedzieli. Wszakże, proszę bardzo, wszystko to niechaj będzie tajemnicą. Przybędą do was do Krakowa, mój brat Jerzy margrabia Anszpachu, i mój szwagier książę na Lignicy Fryderyk, którzy jako obustronnie pokrewni z królem Jegomością polskim, dawniej już o tém rokowania wszczynali. Niechże takowe kończą a ja się z moimi zamiarami wstrzymać przyrzekam, dopókiy czego nie postanowili, mając nadzieję, że król mój wuj, całe moje położenie wyrozumiawszy, przyzwolicie uwzględni.“

W jaki sposób odbywały się rokowania następne, mogliby wiedzieć tylko ci, co mają przystęp do archiwów tajnych w Berlinie, gdzie są pewno złożone. Z historii wiemy tylko ich następstwa, to jest tak zwaną sekularyzacją Prus, rozwiązanie zakonu, przerobienie Alberta z wielkiego mistrza na księcia lennego Polsce: pod bardzo małemi warunkami i wymaganiami. Widocznie tylko dla zadowolenia stanów, stypulowano sto jeźdźców pomocy w czasie wojny, za co książę po królu zajmował pierwsze miejsce w senacie, co się równało zupełnej udzielnosci, przyćmionéj pozorami zawistosci.

Nie obeszło się i tu bez nieukontentowań i opozycyi. Z jednéj strony szczytki przemożnego zakonu, wierne pozostając regule swéj, zaprotestowały i osiadły w Merghentheimie i Marpurgu, dwu rezydentach niemieckich mistrzów, gdzie tytułarnie prawie do naszych czasów przetrwały pod opieką cesarzy niemieckich.

Lud znowu im podległy, jak mówiliśmy, zlepek z plemion: lechicko-mazurskich i litewskich złożony, więc przeważnie słowiański, i z tego już tytułu nie lubiący Niemców, szemrał iż go na wieki Polacy familii Braniborczyków zaprzędali, jakby przewidywał kroku tego następstwa.

Są jeszcze tacy, co zarzucają zbytnią powolność dla swego siostrzeńca Zygmunutowi. Czyż mógł jednak postąpić inaczej? Albert miał za sobą wszystkie domy spokrewnione: cesarza, całą Rzeszę; mógłże przeciw nim obrażając ich wystąpić? Byłby to krok arcyniepraktyczny; przez sekularyzacją zakonu, potęga krzyżacka upadła.

Może jednym z najprzykrzejszych warunków ugody do wykonania było oddanie publicznego hołdu przez dawnego mistrza królowi i stanom pośród Krakowa. W rzeczy była to formalność dosyć czeza, małego znaczenia, mało już zaczynająca być zgodną z duchem czasu, ale Albert jako biegły polityk zrozumiawszy iż król Zygmunt nie może od niéj go uwolnić dla zadowolenia miłości własnéj narodu, dumy panów lubujących się w przepychach wystawy, bez wahania się téj ceremonii poddał. Dopełniono jéj z wszelkiemi względami, aby nie podrażnić czém, wzajemnych dobrych stosunków wuja i siostrzeńca.

Dnia 10 kwietnia 1525 roku, zatém w półczwarta roku po podpisaniu wieczystego pokoju, mocą którego, Albertowi, braciom jego i potomstwu ich, Prusy książęce oddane w lenność, czyniono na rynku krakowskim przygotowania do ceremonii odebrania hołdu.

Od samego rana stawiano wzniesienie, gdzie się miał sam obrząd odbyć; obijano sukmem karmazynowém z galonami srebrnymi sąsiednie dla panów i pań dworskich estrady oraz okna otaczających kamienic, pałacy. Ich balkony strojono w kwiaty, aksamitne opony, albo kosztowne perskie dywdyki, które tu nie były żadną wówczas osobliwością. Po wysłuchaniu nabożeństwa *in pontificatibus* w kościele Panny Maryi, ruszył orszak królewski ku przygotowanemu miejscu. Hrabia z Górki Jędrzej syn Łukasza, kasztelana poznańskiego, w zastępstwie ojca niósł miecz królewski, Mikołaj Firlej berto, wojewoda Kościelecki jabłko państwa. Król w monarszym ubiorze przy postępujących obok i za nim: Łaskim arcybiskupie gnieźnieńskim i Tomickim poznańskim biskupie, mnogości innych magnatów i panów, zajął przygotowane dla siebie krzesło nakształt tronu, umieszczone na wzniesieniu; po prawej jego ręce stanął wojewoda Jan Kościelecki, piastując na swym ręku, zaledwo lat trzy wówczas mającego syna Zygmunta i Bony, następcę ich Zygmunta Augusta.

Wtedy siedmiu posłów od Alberta, stanęło u stóp tronu, upraszając, ażeby go król do łaski przyjął i książęciem pruskim uczynić raczył, za co on mu wiernym być lennikiem upewnia.

Po otrzymaniu przychylnéj odpowiedzi, ukazał się jadący na dzielnym koniu, ostatni raz w ubiorze w. mistrza teutońskiego zakonu, Albert Hohenzollern-Anspach. Odezwały się na wszystkich wieżach świątyń prastarego grodu dzwony, uderzono w bębny; trąby, działa ustawione na zamku zaczęły dawać salwy: od hucznych wiwatów zgromadzonego ludu zatrzęsły się mury. Albert zsiadł z konia i przysiął kolana, doszedłszy tronu Suzerena swego, przed królem. Głośne wiwaty nie ustawały, sądzono powszechnie, iż akt ten zamknie na zawsze całą erę srogich wojen. Zygmunt natychmiast kazał podnieść hołd oddającego wazala, Tarło podał mu chorągiew, na której był orzeł z jednéj strony biały, z drugieój czarny z literą S na piersiach, jako cyfrą króla a trzymając ją rzekł:

„My, Zygmunt I, prośbom twoim i poddanych twych przyzwalając, nadajemy ci lenniczém prawem, wsie, miasta, grody i zamki w Prusiech. Wręczeniem téj chorągwi, udzielamy ci do nich prawa, a to z łaski i szcudroblowości naszej, którą ciebie, jako siostrzeńca naszego uczcić chcemy, w téj nadziei, że tego dobrodziejstwa pamiętnym i wdzięcznym być nie przestaniecie.”

Książę pruski, trzymając się chorągwi, czytana przez arcybiskupa przysięgę wierności i lenności wykonał, a następnie schylił się przed królem, po uderzenie mieczem, co inwestyturę oznaczało; nareszcie, jako godło znakomitój łaski, z rąk podskarbiego wzięty kosztowny łańcuch, król ucałowawszy na szyję włożył.

Znowu zagrzmiały działa i dzwony, powtórzyły się okrzyki, a ceremonia zakończyła się wspaniałą biesiadą na zamku.

Na pamiątkę tego aktu, między ludem rozrzucono medale z napisem: „JO. książę Albrecht Bożą miłością, Margrabia Brandeburski, Książę Pruski: Szczecina, Pomorza, Kaszubow, Sklawonii, Szlązka, Rugii, burgrabia Norymberski. Pamiątka pokoju, zawartego z Polską, 9 kwietnia 1525 r.”

Nie obeszło się i tu bez gonitw na zamku, z których kilka było na groty ostre, był i turniej konny, w którym par 24 z tarczami i z pierścieniami brało udział, a król z królową i ze wszystkimi gośćmi z ganku wysokiego, który na to był uczyniony, patrzył.

### III.

W czterdzieści trzy lat potem, mając ośmdziesiąt trzy lat wieku, dogorywał na zamku Topiau, położonym nad Preglem niedaleko Królewca, już sędziwy, strudzony panowaniem, Albert książę pruski.

Alberta rządy, za świadectwem historyków, były pełne łagodności i prawdziwie ojcowskie dla jego poddanych. Ożeniwszy się z Anną Dorotą, królowną duńską, mało kiedy opuszczał Królewiec, oddając się urzędzeniu swojego kraju, z całym talentem, umiejętnością i troskliwością do tego potrzebną. Nie było ani jednej gałęzi przemysłu nauk, handlu, krajowi pożytecznej, którąby się on nie zajmował, nie opiekował, ani jednej rzeczywistej potrzeby, którejby nie odgadł znakomity ten administrator swego wieku i czasu.

Przedewszystkiem siłę morską i lądową Prus tak umiał urządzić, iż małego tego kraiku władca, zaczął być w rachubę brany przez przemożnych sąsiadów i szanować swoje prawa kazał. Porty i nadbrzeża umocniwszy, o budowie lub poprawie twierdz wewnętrznych nie przepomniał, a pod temi osłonami marynarka kupiecka pruska niepomierne wzrosła.

Następnie wziął się do podnoszenia przemysłu i handlu. Za jego to czasów wiele fabryk i rękodzieł powstało, on pierwszy warzelnie soli na rozległą stopę zaprowadził.

Nauki szczerze miłował, jemu to początek swój winno wiele szkół ludowych, szczególnież Akademia królewiecka, ztąd po dziś dzień *Aula Albertina* zwana... Przy założeniu jęj i uzyskaniu upoważnienia króla i stanów sejmujących, zgodzono się na to, iżby wykłady w niej w połowie po polsku, w drugiej po niemiecku następowały. W założonej jednak przez Alberta drukarni, drukowano wiele książek polskich; sam książę dbał o oświatę swych poddanych, niezbędne książki w narzeczu mazurskiem własnym kosztem wydawał: tu także wyszedł pierwszy kancyonał Seklucyana w języku polskim.

Ks. Albert był téż autorem, a swe dzieło znamienite, jak na owe czasy, o taktyce i sztuce wojennęj przypisał bratu ciotecznemu Zygmuntowi Augustowi, z którym całe życie w ścisłych przyjaźni stosun-

kach zostawał. Umierający Albert zapisał cały swój księgozbiór, w którym wiele ksiąg kosztownych, poobciążanych w srebrne siatki było, Akademii królewieckiej.

Na łożu śmierci zalecił, aby jedyne go syna jego po nim pozostającego, zarówno uczono tak w łacińskim, jak niemieckim i polskim języku.

Ostatnie poszukiwania uczonego Theinera, dowodzą na mocy autentycznych listów i relacji, że Albert Hohenzollern pilnie śledząc cały przebieg interesów państwowo-religijnych za czasów koncylium, zwołanego w Trydencie, a ośmnaście lat trwającego, umarł co do przekonania wewnętrznych zupełnym prawie katolikiem. Otoczenie jego przeważnie z protestanckich nadbiegłych z Królewca i Niemiec pastorów złożone, nie dopuściło jawnego powrotu na łono katolicyzmu.

Rzecz szczególna, iż w tej chwili, gdy kończył w zamku Tapiau, pierwszy książę pruski, Albert Hohenzollern, o kilka mil ztąd w Królewcu, o tej samej godzinie umierała druga żona jego Anna Marya, córka Eryka księcia brunszwicko-lunebergskiego. Pochowani też oboje przy sobie w katedrze w Królewcu.

Ze śmiercią Alberta znikło bezpieczeństwo od ściany północnej dla Polski; inni książęta pomorscy jak bytomscy lauenburscy pomału wsiąkają w całość Prus, w których coraz więcej panowanie swoje rozpościła jeszcze za życia jedyne go syna Alberta, popadłego w szaleństwo, linia Hohenzollernów, brandeburgsko-berlińska. W ośmdziesiąt lat później już mowy o lenności i hołdzie niema, wiele powiatów i ziem polskich, jak i włości Elbląskie, przechodzi prawem zastawu od korony wiecznie łaknącej pieniędzy, do książąt elektorów, którzy zawsze je na zawołanie mieli. Piąty następca po Albercie, z którego życia ustępy niektóre skreśliliśmy, już nosi koronę królewską, przyjąwszy ją na skronie swoje w tym samym Królewcu r. 1701. Szosty zostawiając przy swym zgonie pół miliarda w skarbie i 100,000 bitnego wojska, do zwycięstw, które zadziwiły Europę za syna jego Fryderyka W. toruje mu drogę.

# ZAKŁAD ŚMIERTELNY OTTONA.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Henryka Spicera.

PRZEŁOŻYŁ Z ANGIELSKIEGO

*Feliks Jezierski* \*).

## AKT III.

### SCENA I.

Scena przedstawia apartament cesarzowej Maryi.

MARYA, IRMENGARDA.

IRMENGARDA (*wchodząc*).

Cesarska Mości! jak zdrowie? jak siły?

MARYA.

Jéj Mość Cesarską, tę siostrę przyrodnią  
Jéj Mość kobiety, całą noc dręczyły  
Sny najstraszliwsze; spełniono tu zbrodnią,  
I to w pośrodku świętego dziedzińca,  
Wprost drzwi kościelnych.

IRMENGARDA.

Jakiż tam złoczyńca?...

MARYA.

Gość nieproszony. Śmierć wpadła na łowy;  
Zbiegiem był goniec mój; miał on królowej  
Szatę zwycięstwa nad grzechem, łyskliwą  
Pereł krociami z najświętszej skarbony  
Smutku. Maluczko—a zbieg, jako żywo,  
Pogoń zmyliwszy, byłby ocalony.  
Wtém, jakaś jasność wzrok jego potrąca,  
Dziwna, jaskrawa, aż odurzająca...

---

\*) Dalszy ciąg---patrz zeszyt za luty z r. b.

I zgasła.—Odejdź, niech się pomozolę  
Nad moją rolą.—Ol ciężką mam rolę!

*(Irmengarda odchodzi).*

Niebo odpycha targi, — nie frymarczy  
Z duszami; świat ten niesłowny, potwarczy,  
Nauczył niebo, co warte są one  
Słowa, a śluby...

Ten człowiek ma żonę.

To nic,—to tylko śmierć—w chwilę rozstajną  
Z resztą nadziei, dziś już mi nie tajno,  
Że ta jedwabna nić, której w dni świetne  
Strzegłam (a dumnie spoglądałam na nią),  
To łańcuch, który ześlubił z otchłanią  
Jestestwo moje... Otóż nić ja przetnę;  
Niech jad odpływa przeciągłym strumieniem,  
Aż wszystko, wszystko stanie się kamieniem  
Lub niewinnością.

IRMENGARDA *(wracając)*.

Dostojności Wasza!

Rycerz szambelan pokornie uprasza  
O posłuchanie; czy pani rozkaże?...

MARYA.

Rycerz szambelan?

IRMENGARDA.

A, co też ja gwarzę!

Przebaczcie—chciałam powiedzieć: dostojny  
Hrabia Amala.

MARYA.

—Oto idzie zbrojny

Do mnie bezbronnej żałośnicy, biednej  
Ofiary; spójrzcie na grzech samowiedny,  
Czaty niebieskie...

Proś go.

*(Irmengarda oddala się; wchodzi Amala).*

Z czém nas wita

Hrabia?

AMALA *(ukłękłszy, podaje zwitek)*.

Od władzcy.

MARYA.

Kto pismo przeczyta,



Winien jest odpis. Mój, jako od żony,  
Będzie pośpieszny, będzie uniżony.

AMALA.

O! błagam Waszej Wielkości Książęcej,  
Ku znacznej sprawie niech skłonić się raczy:  
Błagam!

MARYA.

Amalo! nie powiesz-że więcej?

AMALA.

Powiem—winienem powiedzieć; inaczej  
Zdradzałbym pana. Na majestat boski  
Zaklinam! przejrzyj raz jeszcze te głoski,  
Które—jękami nie słowami—głoszą  
Miłość; może też one rozproszą  
Letarg zabójczy! Najjaśniejsza pani!  
Że serce twoje wciąż chłodem go rani,  
Że wzajemności upornie się wzbrania,  
O! to dla niego są bóle konania...  
Tak się daleko myśl moja wazyła.  
A jego dusza, gorzką trwogą zdjęta,  
Czeka na wyrok.

MARYA.

I *ciebie* posyła?

AMALA.

Mnie, pani.

MARYA.

Niech mu Pan Bóg nie pamięta.  
Grzeczny to książę. Gdyby mnie sen zmorzył,  
Bębna grzechotem onby go nie trwożył;  
Jadu nie pośle chorągwie żonie swojej,  
Ale sam gorzką trucizną ją poi,  
Najjadowitszą.—Jakżeś mię ocenił?  
Widzisz zmienioną. A tyś się nie zmienił?  
Hrabio Amala, powiedz prawdę szczerą,  
Gdzie paż ów świetny, co w młodzieńczym szale  
Mile hiszpańskie skracał mi na cale?

AMALA.

Pani, w dni owe jam był caballero  
Mitój księżniczki, dziś sługa dozgonny  
Księżnej cesarskiej; wdzięki mojej donny

Jak gwiazdy, lśnią nademną, w firmamencie,  
Z góry.

MARYA.

Rozumiem; przynajmniej spadnięcie  
Uczy pokory—o! i to wygrana.

AMALA.

Niemy więc wracam do mojego pana?

MARYA.

Owszem, niech z laurem zwiastuna spotyka:  
Wiernie spełniłeś rolę niewolnika.  
Powiedz, żeś gotów był, hrabio Amala,  
Dziecię Cheruba wbić na ostrze pała,  
Byle pozyskać, przy dziękczynnym gościu,  
Uśmiech *takiego* pana; powiedz wreszcie,  
Żeś wierny hasłu, schylił się u krańca  
Przepaści serca mojego, i na dnie  
Dojrzał...

AMALA.

Cóż przebóg!

MARYA.

Dojrzałeś, przesadnie  
Lśniący dom Boga, bez Boga—mieszkańca.

AMALA.

W ten obraz nie śmiem ja zapuszczać oka.  
Spójrz, pani, jaka okala cię sfera:  
Sława, majestat, ludu cześć głęboka,  
Ludu wolnego,—miłość bohatera,  
Władzcy a sługi; o, pani, zważ, czyja  
I kto ty jesteś.

MARYA.

Kto jestem i czyja?

Wielki mój Boże! oto chwast niezdarny;  
Liść jego młody, sokiem barw ciężarny,  
Lata miał czekać, wiosna go rozwija.  
Kiedy świat cały nawałnicą miota:  
Uwiądnął, a z niego zrodził się sierota,  
Kwiat pogrobowiec. Jakaż dola kwiatu?  
Cierpki, bezwonny, niepotrzebny światu,  
Ku bladym słońcom mdłe oczy wyszczerza,  
Nie posilone rosą odwieczerza.  
Hrabio, miecz utop we mnie, a jałową  
Radą nie bluźnij cierpieniom.

AMALA.

Królowo!

MARYA.

Pan... jesteś... mężem; tętnień mego łona,  
Marzeń mych siostra, jest ci poślubiona.

AMALA.

Tak; lecz o całość jój serca, nie walczę  
Z królową: moją jest, w imię miłości;  
W imię przyjaźni: Waszój wysokości,  
Więcej, niż przedtém.

MARYA.

O! krnąbrny słuźalczel!  
Dosyć tych szyderstw, gdzież są twe niezłomne  
Śluby?

AMALA.

O ślubach nie wiem, więc nie pomnę.

MARYA.

To kogóż słała, dłoń niby przyjazna,  
Mnie, za przewodzącą do tój dzikiej ziemi?  
Słałaż rycerza, czy dworskiego błazna?  
Cóż miały znaczyć te słowa, któremi  
Od zgrozy tronu serceś mi odgradzał,  
Mrok jego tań, kajdany osładzał;  
Poza mgłą siną wskazując z ukosa  
Zorzę miłości? Ziemio i niebios!  
Toż wstyd, sumienia krew pod cery mlékciem,  
Twarz świadczy twoja, wszak jesteś człowiekiem!  
Czyliż ukląkłszy, zamieniając dary,  
Nie przysięgałeś mi rycerskiej wiary  
Świętej, niezmiennej, chyba tam, za progiem  
Zgonu? Amalo!

AMALA.

O! jak Bóg jest Bogiem,  
Przysięgłem pani; wszak byłem rzecznikiem  
Ślubów książęcia, symbolem, językiem,  
Wcielonym jego uczuć ideałem  
I obecności; poselstwo spełniałem:  
Przysięgłem.

Pani zdumiewać się zdaje;  
Otóż odwieczne rycerskie zwyczaje  
Na ślub podobny z zasady się godzą;  
Ba, zalecają, praw jego dochodzą.  
Lecz uświęconych w obliczu ołtarzy  
Węzłów rodziny on tknąć się nie waży.

MARYA.

Więc cóż on znaczy? co znaczył? o sidło  
Szalbierskie, śmiałżeś mnie, twoją władczynię,

Wziąć za kęs głazu, za czcze malowidło,  
 Do przysięgania przed niém? czy za skrzynię  
 Datków od dziewcząt? za kanał oddechu  
 Dla udawanych westchnień? Ach! miłości,  
 Boska nad boskie, dziś, pastwo pośmiechu,  
 Ty i twa mowa! Niechże już nie gości  
 Ta sfer muzyka, wśród zbrodniów, od chwili,  
 Jak jój bezbożni ludzie nadużyli;  
 Mów do umarłych, których nikt po drodze  
 Mijając, ani pojął ani szczenił,  
 Chyba ten, który z raju nas wypędził,  
 Oddając tobie.

Odejdź pan!

AMALA.

Odchodzę.

A wszystkie bóle, jakim nieporadną  
 Zadał ci ręką, pani, niechaj spadną  
 Na moję duszę niewinną.

MARYA.

Bądź zemną,

Choć chwilkę... Widzę, że otchłań podziemną  
 Jam przeoczyła, że miłości mowa,  
 Na waszym świecie, jak listek topoli  
 Pod każdym słowem po dwa godła chowa:  
 Życia i śmierci; a mnie, w smutnej doli,  
 Mnie ta znęciła, która śmiercią pała.  
 Tój mowy, jabym nauczyć się chciała.  
 Zostań—nie pilnieź zebrałowi chleba,  
 Jak nieszczęśliwój, litości potrzeba.  
 Skała, im dumnieź wybiega w obłoki,  
 Tém smuklój w dole węzą się jój boki;  
 Wokoło tronu, między tłumną rzeszą  
 Mało przyjaciół nawinie się pieszo,  
 Izby, o poziom oparłszy się sami,  
 Ustrzedz nas mogli sercami, modłami,  
 Od pośliźnięcia. Wszak wiedziałeś, hrabio,  
 Że tego króla, społem z jego chwałą  
 Biédne me serce nigdy nie kochało.  
 Przecz mię ku niemu wabiły i wabią  
 Twoje podszepty?

AMALA.

Oto raz w obłoku,

Ukazał wielką gwiazdę memu oku;  
 Spojrzał na ziemię, lecz ziemia dokoła  
 Mroczną się zdała. „O! gdyby, zawoła,

Jeden jój promień! to światy zapłoną  
I w mojej sferze rozwidni się czerstwo;  
Swataj ją dla mnie."

MARYA.

Schwyć ją, i schwyconą  
Wypuść w przestwory.

AMALA.

Księżno, niech bluźnierstwo  
Zażegnać raczą aniołowie święci;  
Czym to ja w mowie, w pomysle, czy chęci  
Wrogiem był pani? Sama, własnym cieniem,  
Widmo to snujesz za sobą w pogoni.  
Ach, księżno, ocknij się, grzmiącym spojrzeniem  
Spędź czarny rokosz. Powołaj do broni  
Wszystkie natchnienia, gdyby nawet miały  
Z posad powalić na mnie świat ten cały,  
Najśmiertelniejsze katusze i gwałty:  
Ja w nich powitam odkupienia kształty,  
Byle zgnieść czary. Wspomnij o, Ottonie,  
O królewskości, sławie i koronie.

MARYA (*namiętnie*).

Bierz je (*zrywa obrączkę i rzuca ją na ziemię*).  
Jak zgmiotłam czary, tak rozbroje  
Pamięć; zdeptana korona i berło.  
Ale mam ciebie; tyś królewską perłą;  
Czyn mi twój sławą; tronem serce twoje;  
Miłość ojczyzną. Na tój gockiej glebie  
Mrozów stali, ty wiesz, że krom ciebie  
Nikogo nie mam, Amalo, nikogo!  
Duszę, jak namiot, strawiony pożogą,  
Czuć zgliszczem, serce stanęło pustkami:  
Mieczem je przeszyj, a miecz się nie splami.

AMALA.

Gdybym śmiał, niegdyś, (ach królewskie kwiecie  
Wczesnie rozkwita, nie jesteś już przecie  
Ową bezwiedną księżniczką, lub dzieckiem).  
Gdybym śmiał wtedy—przed ciosem zbójckim  
Mniejbyś truchlała, niż po latach wielu  
Struchlejesz kiedyś na wspomnienie słowa  
Obecnej chwili.

MARYA.

Fałsz! fałsz, zwodzicielu!  
Dumny słuźalcze!—korna białogłowa  
Nie z buntu przeciw Bogu się spowiada,

Tylko z miłości.—Tak... jestem królowa,  
 Żona Ottona; i twój mózg nie zbada,  
 Rozum nie sięgnie gruntu w tym odmęcie,  
 Co nas granicą dzieli nieprzebytą,  
 A każde mojej piersi odetchnięcie  
 Strąca cię coraz głębiej,—precz, banito!...

O! wróć, wróć! nie myśl w obłędzie pozoru,  
 Ze złotogłowa atmosfera dworu  
 Jest śmiercią głosu natury; że mrozą  
 Serce kobiety purpury i trony,  
 Albo jej tarczą są zbrojne legiony.  
 Nie; bo niczyją jest ona,—jest bożą.  
 Potrąć jej serce słówkiem, tak subtelném,  
 Jak eter bogów, to ci niepokojem,  
 To ci wykrzykiem odpowie śmiertelnym.

#### AMALA.

O! moje serce, pierw, nim w sferach dworu  
 Poznałem panią, nie było już mojem.  
 Cesarz to wiedział, choć nie znał wyboru.  
 Pozwól więc, abym, jak dotąd, z zapalem,  
 Abym zdwojonym wysiłkiem ramienia,  
 Od promienności twojego imienia  
 Groty odpierał. Ach, bo nie wiedziałem...

#### MARYA.

Bo nie wiedziałeś! hypokryto w cnocie!  
 Czym ja przed tobą snuła pierwsze kréski  
 Liter natury? jak dziecku łakocie  
 Kładła do ustek, na otarcie łezki,  
 Zapłakanego nad książką pieścioszka?  
 Gdyby tak było, dziś rola świętoszka  
 Uszłaby,—ależ mój dar był królewski,  
 Dany królewsko, jawny, nie w ustroni;  
 Godny Amali, godny dawczój dłoni.  
 Wtedy, gdy jeszcze, jak ptaszątka polne  
 (Wszak to wiesz) moje serce było wolne,  
 To jedném słowem cały czar obalić,  
 Jedném spojrzeniem mogłeś mnie ocalić.  
 Mogłeś,—a jakże ocaliłeś Maryą?  
 Ślub zaprzysięgłeś... dziś w zimnej odmowie,  
 Ślub ten u ciebie igraszką się zowie,  
 Rycerstwa dymem pochwalnym, czczą aryą.  
 Ani pomyślisz, jak boląco, czule  
 Jam go do piersi tuliła i tulę,  
 Depcząc dla ciebie tron, wielkość, dziedzictwo,

Ród mój, królewskość, omal nie dziewictwo;  
 Życia, nadziei mych kwiaty i żniwa  
 Szczędząc dla twojej duszy—nieszczęśliwa!

AMALA.

Pani, wysłuchaj mnie: niewinnym szałem...

MARYA.

Wiem, wiem, co masz na ustach: „Nie wiedziałem.“  
 Że pod dotknięciem twój ręki, acz zimném,  
 Drgają najskrytsze włókna méj istoty,  
 Że stapań twoich pancerne łaskoty  
 W uchu mi dzwonią koczującym hymnem  
 Chóru aniołów; że w twojem spojrzeniu  
 Patrzałam, w twojem oddychała tchnieniu,  
 Ze duch do mego ducha tak przemawia,  
 Jak po uściskach mroźnego zamgławia  
 Do skrzydeł ptaszka świeży liść na łanie,  
 Wróżący rychłe życia zmartwychwstanie.

Toś wiedział, aleś nie ujął kropelki  
 Jadu z rozkosznej czary—trucicielki;  
 Nie zawołałeś: „baczość, tam, jak sępy  
 W chmurach, czatują stu królów zastępy“,  
 Nie powściągnąłeś u piekielnej bramy  
 Zawrotu głowy,—i oto... spadamy...

AMALA.

Księżno, to jabym spadł w otchłań złowrogą,  
 Gdybym się ważył na tę pierś ubogą  
 Położyć klejnot pana, najbezwstydniej  
 Zdradzając wiarę,—chyba dla ochrony,  
 Jako podskarbi.

MARYA.

Ohydnie! ohydnie!  
 Począłeś sobie. Pod wiary pokrywą,  
 Tyś skradł ten klejnot i rzucasz skradziony.  
 Któżby to wmówił we mnie, nieszczęśliwą  
 Że *ty ja* kochasz? Gdybyś to wynurzył,  
 Wir-by się zerwał, poszalał, poburzył,  
 I uciekł, serce na śmierć się zgodziło,  
 Ciebie nie dręcząc, innych nie zwodziło.  
 A ty, okrutny mężu, wciąż szeptałeś  
 Gusta do kwiatka, i tam w barw przezroczu  
 Dojrzawszy miłość, ty kwiatek zdeptałeś,  
 Gniew siejąc po nim, zemstę...

AMALA.

Ja?

MARYA.

Precz z oczu!  
 Nie wchodź mi w drogę,—bo z twojej źrenicy  
 Wyziera fatum. Bądź niemy.—Znasz mity?

AMALA.

Pani!

MARYA.

Ten obraz na ścianie wryty

(*pokazuje na ścienny kobierzec*).

Niech cię ostrzeże.

Łucznicz u krynicy

Białą Dyanę ujrzał bez opaski—

Znaj, co to piorun książęcej niełaski!—

On umarł za to, że wzrokiem miał śmiałość

Spojrzyć na samę *viala* doskonałość.

Cóż czeka ciebie? który, bez osłony

Widziałeś nagość *duszy*—oszpeconej?

Strzeż się, powtarzam: oto—miecz jaskrawy

Wyziera z pochwy.

(*upada na wezglowie*).

KONIEC AKTU III-GO.

(*Dokończenie nastąpi*).



# SYN MARNOTRAWNY.

OPOWIADANIE Z KOŃCA XVIII-go WIEKU.

PRZEZ

*J. I. Kraszewskiego.*

TOM I.

K. WŁ. WÓJCICKIEMU

NA PAMIĄTKĘ JEGO JUBILEUSZU

PRZESYŁA

Autor.

Drezno, 1877.

I.

Było to dnia 24 lipca 1788 r. Doktor Joachim Mellini, stary człek, stał spokojnie przed swoim dworkiem na Winiarach, używając, a raczej szukając świeżego powietrza, którego w swoich izdebkach znaleźć nie mógł. Wieczór był dosyć późny, powietrze duszące i ciężkie, jak przed burzą, choć na niebie się ona nie zwiastowała; na północy tylko, gdzie wiele chmur nie widać było, kiedy niekiedy pobłyskiwało słabo.

W mieście i na przedmieściu panowała cisza letniego wieczoru, z rzadka przerywana głuchym, dalekim wozu turkotem. Powietrzem nieporuszoném żadnym powiewem, gorącém, gęstém, trudno było oddychać. Po dworkach gdzieniegdzie rzadkie zapalały się światełka, okna wszędzie stały otworem, bo każdy pragnął pochwycić trochę świeżości, której nigdzie nie było.

Doktor mało co ubrany, ze swą łysą jak kolano głową, okrągłym brzuszkiem, przymrużonemi oczyma, cały w bieli jak widmo malował się na ciemném tle drzwi otwartych domku swojego.

Z niedalekiego dworku zamieszkałego przez pobożnego izraelitę dochodził go płaczliwy głos modlitwy wieczorniej, tak jakoś rzewny, tak zbolały, że stary Mellini, który wiele sentymentalnym nie był, uczuł się nim poruszonym.

Nigdy może te niezrozumiałe dźwięki wygnańczej modlitwy, takiego na nim nie uczyniły wrażenia! Był to jęk tysięcoletniej boleści, z pokolenia w pokolenie podawanój, spotęgowanój wiekami.

Doktor zadumał się głęboko... wtém inny krzyk i wołanie, niezbyt daleko się rozległo. Drgnął. Zdało mu się że słyszy głos swój siostrzenicy Pepity, na której powrót od sąsiadki pani Strańskiej oczekiwał właśnie. Modlitwa na chwilę ucichła, jakby w tkaniu łzawém połknięta, i doktor nastawiwszy ucha, chwycił niém wyraźne nawoływanie siebie.

Zdziwiło go to i przstraszyło razem. Był to głos Pepity: nie mógł się omylić. Cóż się jój stało? Była więc w niebezpieczeństwie? wzywała ratunku!

Nie troszcząc się o dworek stojący otworem, ani o ubranie swe do wyjścia niezbyt właściwe, doktor jak stał rzucił się biedz o ile mógł w stronę, z której go wciąż wołanie dochodziło.

Biedz właściwie nie mógł, bo i wiek i otyłość dawno mu wszelką myśl biegu z głowy wybiły; szedł jak mógł najśpieszniej, potykając się w mroku, co chwila zagrożony upadkiem, wywijając rękami rozpaczliwie, które mu do utrzymywania równowagi posiłkowały.

Zdyszany, coraz prędzej krocząc po kamieniach i dziurach, które ostatnia ulewa powybijała, doktor ujrzał nareszcie postać w bieli stojącą u węgła domu z załamaniem rękami. Dom ten był znaną dobrze winiarnią Seliga Pesztaner'a, i, co rzecz była naówczas prawie nie praktykowana, paliła się przed nim latarnia. Niedaleko od niej stała Pepita, dzięki Bogu na oko cała, zdrowa... i sama jedna.

Doktor odetchnął, zbliżywszy się dopiero dostrzegł że przed nią leżało coś na ziemi, ku czemu piękna Pepita zwracała coraz oczy, a ile razy spojrziała, jęk się z jój piersi dobywał.

Doktor już miał połajac swoje ukochaną że mu takiego strachu narobiła, gdy Pepita, zobaczywszy go, wołać zaczęła:

— Chodź prędzej! na miłość Boga! Jakież nieszczęście się tu stało! Prędzej! prędzej!

Mellini już śpieszniej iść nie mógł, tchu mu brakło, zbliżył się do latarni: pod słupem jój ujrzał leżącego człowieka. Cały blask nie zbyt rześisty zapalonych dwu świeczek u góry, padał na piersi i twarz tego nad którym stała Pepita.

Sądził z razu doktor że miał do czynienia z pijanym tylko; ale w téj chwili ośmielone dziewczę krzyknęło i pochyliło się nad leżącym.

Mellini dostrzegł dopiero że głowa i piersi omdlałego czy dogorywającego człowieka całe krwią były zbroczone. Był to obraz, który nietylko słabe, litościwe dziewczę mógł przejąć zgrozą i natchnąć miłosierdziem.

Padające na twarz światło dawało rozpoznać śliczną głowę młodzieńca, jakoby z marmuru wykutą, rysów tak szlachetnych, tak artystycznie pięknych, że doktor mający we krwi swój włoskiej poczucie wielkie kunsztu, zapatrzał się z razu na to oblicze jakby na dzieło sztuki. Usta napół otwarte, które boleść zdrętwiła, miały wyraz męztwa i pogardy; ręką skostniałą trzymał się za piersi poranione, na których suknia zbroczona była i potargana. Złamana szabla leżała przy nim.

Był to widocznie jakiś ostatni akt krwawego dramatu, którego sprawcy umknęli.

Doktor śpiesznie schylił się nad ciałem, przyłożył ucho. Piers dyszała jeszcze, ciało drgało, a z ust wyrwał się jakiś straszny głos chrypliwy, jakby ranny dogorywał. Mellini natychmiast, o ile ciemność dozwalała, począł badać i oglądać pokaleczonego.

Pepita, z oczyma wlepionemi, stała nad nim, badając i twarz młodzieńca i zaszępane oblicze wuja, który podnosił głowę zlekka, przyglądał się ranom a milczał.

W końcu zawołał wstając:

— Ależ go tu tak pod tém gołém niebem, na ziemi, nawet ratować nie można! Cóż to się stało....

— Ja nie wiem—poczęła Pepita—nadeszłam na ten widok straszny i zaczęłam wołać na was.

Doktor wstał niespokojny.

— Przecież ktoś w tym domu być musi. Czy nie słyszeli?

I rezolutnie skierował się ku drzwiom winiarni. Drzwi stały zaparte: Mellini gniewać się począł.

— Co u licha!—krzyknął, bijąc w okiennicę—otwierać!...

Zapewne głos jego poznać musiano, gdyż z wewnątrz poczęło się okno otwierać, uchylono i okiennicę; głowa na wychudłej szyi pokazała się, ostróżnie rozglądając.

— Ranny człek leży pod waszemi drzwiami—zawołał doktor.

— My nic nie wiemy! my nic nie wiemy!—odezwało się naraz aż dwa głosy przestraszone—u nas nikogo nie było!

— Nie można tak go tu porzucić jak psa!—odezwał się Mellini—potrzeba go do izby wziąć ażebym mógł opatrzyć.

— A! gwałt!—zawołał jeden z głosów w oknie.—Panie konsyliarzu! to nie może być! W naszym domu krwawo i takie historie! żeby, chowaj Boże, umierać, to nie może być!

— To nie może być!—powtórzyło z wnętrza naraz aż trzy głosy.—Aj! gwałt!...

Mellini, choć zwykle spokojny i szyderski, tym razem się pogniewał.

— Niech was tam!...—krzyknął.—Boicie się wszystkiego, gdy człowiekowi życie ratować potrzeba.... A lepiej będzie, gdy tu wam pod bramą zembrze.... Ja poświadczę, żeście mi pomocy nie dali.

Wewnątrz szemrać i naradzać się poczęto. Słychać było spór i łajanie, męzkie i kobiece głosy; doktor stał, coraz się bardziej niecierpliwiąc.

— U nas miejsca niema!—zawołała głowa na cienkiej szyi.—I kilka głosów za nią powtórzyło:—Niema miejsca!

Mellini, człek wielkiego serca, oburzył się.

— Selig, słyszysz dwóch mi daj natychmiast ludzi, żeby go do mnie zanieśli. Do mnie! Pal was dyabli z waszém miejscem, ja go nie potrzebuję, ale ręk mi potrzeba i te muszę mieć. Zaraz mi tu dać

koc czy derę, czy co chcecie i waszych myszuresów, żeby go do mnie zanieśli! Albo no.... *per Dio!* poznacie mnie!

Pogroził pięścią ściśniętą.

Zdaje się, że téj demonstracyi już nawet nie było potrzeba. Ruszyło się wszystko we wnętrzu winiarni, zawieruszyło i po chwili drzwi odryglowano. Chłopców aż trzech szło, niosąc dywanik stary.

Przez cały czas tego parlamentowania u okna Seliga, Pepita stała wpatrzona w leżącego na ziemi młodzieńca. Oczów od niego oderwać nie mogła. Twarz ta już napół całunem śmierci okryta, pociągała ją jakimś urokiem, z którego dziewczę sobie sprawy zdać nie umiało. Było w niej coś dla niej nieznanego, jakaś męzka buta, coś heroicznego, wyraz jakiś odwagi i wzgardy śmierci, a zarazem bolu straszliwego; był wdzięk młodości bujnej, pańskiej, królewskiej, był wdzięk królewski, także królowej życia, młodości. Ten pół trupa, na rozrzuconych ciemnych włosach, spoczywająca głowa krwawa, zbladła, ciągnęła ją za sobą w śmierci otchłanie. Litość ścisnęła młode jéj serce!

Trzebaż było téj istocie, tak zbrojno do pięknego życia stworzonej, w progę jego umierać?

I lży toczyły się po ślicznej twarzyczce Pepity. A gdyby omłdłały, ów młodzieniec zobaczył ją téż był, tak nad sobą z rękami załamaneimi stojącą, załamioną i onby może dla niej uciekającego pożalował życia. Bo i ona śliczną była.

Kwiatek ten dziwnéj urody miał w sobie dwoistą piękność: kroplę krwi Południa i krew dzieci Północy. Matka jéj była włoską, ojciec polak, z obojga wzięło dziewczę co mieli najpiękniejszego: włoski włos i oczy czarne ogniste, płeć świeżą i wdzięk niewystawiony naszéj ziemi. Dziecię tych dwojga plemion było cudem piękności w pączku jeszcze, z tym wdziękiem naiwnym dziecięcia, który mu daje aureolę aniołów. Wychowanie ani życie nie starło z jéj oblicza tego puszkę kwiatowego i dusza jéj jeszcze się tak uśmiechniono otwierała do światła, jak kielich lilii do słońca.

Lekko ubrana, a raczéj przyodziana tylko sukienką prostą, z chusteczką na ramionach, z włosami niedbale związanémi, które się z więzów wymykały nieposłuszne, spadając na białe popiersie dziewczęcia, Pepita, choć ją za ubogą sługę wziąć było można z niedbalego stroju, miała postawę i ruchy królowej.

Gdy ludzie nadeszli i doktor z niemi, nieco zawstydzona, usunęła się Pepita na bok, ale oczy jéj nie zeszyły z leżącego i trwoga malowała się na pięknej twarzyczce.

Doktor sam schyliwszy się, choć mu to z ciężkością przychodziło, począł pomagać niezgrabnym i trwożliwym żydkom, którzy wielki wstręt okazywali do zetknięcia się z ranionym. Połajał ich nawet. Pepita ruszyła się, jakby chciała sama przyjść w pomoc i na ratunek, ale się zawstydzila, zawahała i stała spoglądając na wuja, gdy Mellini, podniósłszy ku niéj oczy, przebaknął:

— Nie masz co tu stać! idź przodem, przygotuj moje łóżko, a nie to sofę w pokoju, żeby go gdzie było złożyć...

— U mnie!—odezwało się półgłosem dziewczę.

Doktor już nic nie odpowiedział, bo był zajęty umieszczeniem wygodnym głowy chorego na dywaniku i sam ją z ziemi podnosił. Pepita, zawaławszy się nieco, pobiegła ku dworkowi...

Odchodząc usłyszała jęk, który się dobył z piersi rannego i zarumieniona, z bijącym sercem, pośpieszyła przodem.

Obok dworku doktora mieszkał felczer, którego on używał. Pepita, z troskliwością i przytomnością prawdziwie niewieścią, po drodze podbiegła do okna i wywołała starego Kerna, który, choć nie mógł zrozumieć po co go wołano, odział się i wyszedł za nią.

Mellini prowadził żydków, niosących rannego, podtrzymując mu głowę i kierując ich pochodem. Zobaczywszy Kerna, chudego, małego starowinę, dał mu znak.

— Bandaże!—zawołał...

Zbliżali się do drzwi dworku, w którym już biegające światło widać było. Pepita ze starą swą ochmistrzynią Gawłowską krzątała się na przyjęcie chorego... Kern z bandażami szedł za nim, a w dali, narzuciwszy na ramiona opończę, w pantoflach, bez czapki, w jarmułce tylko, kroczył powoli gospodarz winiarni, stary Selig, pragnący widać wytkomaczyć się przed doktorem, który nań wcale nie zważał.

W progu ze świecą czekała Pepita, jedną ręką unosząc ją, drugą poprawiając chusteczkę. Gawłowska, stojąca nieco opodal, która to dziecię wychowała, choć niewiasta ciekawa, nie mogła się jednak powstrzymać od wpatrzenia w twarzyczkę Pepity, bo nigdy jej jeszcze tak strasznie poruszoną nie widziała. Dziewczę drżało całe i lichtarz ze świecą kołysał się w jej ręku.

Rozkazującym niemal głosem odezwała się Pepita do niosących:

— Do mojego pokoju!

Doktor podniósł głowę.

— Co znowu!

— Tam będzie najlepij, spokojnie. Ja się przeniosę do Gawłowskięj—dodała i powtórzyła stanowczo:— do mojego pokoju!

Mellini coś zamruczał, ale się nie sprzeciwiał; poniesiono chorego na prawo, do pokoiku, w którym łóżko już ułane nań czekało. Pepita została w progu, Kern z doktorem i posługaczami weszli sami. Drzwi się zamknęły za nimi.

Nieco opodal, z głową zwieszoną, zadumany, stał Selig, widocznie z jakimś objaśnieniem, czekając na doktora.

Przez zapuszczone firanki izdebki panięskiej widać było tylko migające światło.

Dziewczę z Gawłowską zostało w sieni.

— El! niech bo panienka ztąd idzie!—odezwała się ochmistrzyni.  
— Coż my tu wystojemy! Co bo znowu przepadać za jakimś pijaczną, co go porąbalil

Spojrzała na wychowankę, która jęj potrząśnięciem głowy odpowiedziała tylko, ale się nie ruszyła krokiem.

Z izdebki, do której wniesiono rannego, dał się słyszeć jęk, potem westchnienie, głos mrukliwy Melliniego, i znowu potem ucichło. Gawłowska już nie próbowała odciągać Pepity, która z uchem prawie do drzwi przyłożoném, pilno śledziła najmniejszy szelest ze wnętrza dochodzący.

Trwało to dosyć długo. Odezwał się krzykiem rozbudzony z omdlenia ranny, i widać mu wysilanie się to zakazano, bo zamilkł zaraz.

— Żyje!—zawołało dziewczę do Gawłowskiej—żyje!

Ochmistrzyni ruszyła ramionami. W tej chwili dały się słyszeć kroki doktora, idącego ku drzwiom, i Pepita odsunęła się od nich nieco.

Mellini wyszedł ręce wyciągając zakrwawione i wołając:

— Wody!

— Będzie żyć?—pośpiesznie zapytała Pepita.

Wuj popatrzał na nią i uśmiechnął się.

— Zdaje się, że się wyliże! — odparł ze zwykłą sobie pozorną obojętnością.

Siostrzenica pośpieszyła za nim kilka kroków, chcąc się coś więcej dowiedzieć.

Szydersko popatrzał na nią stary, i myjąc ręce, począł:

— A! wy! wy synogarlice! Żeby tak jaki stary dziad z siwą brodą, kulawy, łysy, znalazł się jejmościance na gościńcu, dalipan! że takbyś się jego życiem i zdrowiem nie zajmowała bardzo. Ale chłopak ładny!...

Doktor się rozśmiał, Pepita zarumieniła, i ruszywszy ramionami, odwróciła. Tuż stał Selig, czekający na to, aby Melliniego pochwycić. Zobaczył go stary.

— A ty czego chcesz?—spytał.

— Dwa słówka do pana konsyliarza...

Pepita wyszła trochę nadąsana. Selig wszedł, poprawiając jar-mułkę i płaszcz na ramionach przewieszony.

— Ja tyle panu konsyliarzowi chciałem powiedzieć — odezwał się, przystępując ku niemu, zniżonym głosem winiarz — ja tyle panu konsyliarzowi powiem, co mnie się należy. Pan jest człowiek rozumny, panu wiele gadać nie trzeba.

Mellini patrzył z wyrazem dobrodusznój ironii.

— Ja tu nic nie winien—kończył Selig—na moje dzieci i wnuki! bodaj zdrowe były! ja tu nie winien i — na tyle. Przyszli, może ich było sześć, a może siedem, wszystko takie byki wesole, co strach! — Wina! — Czemu ja im nie miałem wina dać? Na co u mnie wino ma stać? Ja jego tam nie wypiję! Co ma skwaśnieć? Ja im postawiłem wina. I nie żadne osobliwe: dęszczówkę. Wzięli pić! A gdzie tam! Zaraz: ty mordiaczu! tak i owak. Dawaj lepsze! Czy to my nie mamy czem płacić!? — Kazałem im dać gąsiorek wytrawnego. A co im gą-

siorek! Jak wzięli chlać a chlać! i gąsiorek stłukli! Wołają znowu wina. Co ja im nie miał dać? Przynieśli drugi.

— Ale któż oni są? Kto to taki?—przerwał doktor.

Selig poruszył ramionami.

— Ten, co jego porąbali, choć on może trzy albo cztery razy u mnie pił, ja jego nie wiem, kto on taki. A ci co z nim pili, to nie żadne osobliwości, to od palestry tego tałałajstwa, co ono w dzień papier smaruje, a po nocach ludziom łby rozbija... To łajdaki, z przeproszeniem pana konsyliarza; i żeby on co lepszego był, onby się też z takim szujem nie wdawał... Dobrze jemu tak.

— Jakże go zwali?

— Co ja słyszał, to tylko Wicek... a co ja mogę wiedzieć, jaki Wicek?

— Cóż było dalej? — zapytał Mellini, który już niecierpliwie ku drzwiom poglądał.

— Niechże pan konsyliarz posłucha do końca—westchnął Selig. — Koło drugiego gąsiorka, już zaczął ten (tu żyd palcem pokazał w stronę izby, w której leżał ranny), ten... kto jego wie? Wicek! z tamtych, co ich było sześć albo więcej, drwić i kpić co wlaźło. Z początku się śmieli pić gdy on z szóstego drwił, ale jak ich po kolei oporzadzać zaczął, w końcu, ja widzę, rwą się. A temu w to graj! im oni więcej się burzą, tém ten bardziej się śmieje, aż za boki trzyma, a wymyśla... Gryziپیوری! a! i gorzej daleko, co nie mogę powtórzyć. Naraz jak się oni wszyscy zerwą na niego... Zobaczyłem, że to nie żart, krew się będzie lać, tak ja wybiegł tam... U mnie tu nie żaden szlachtuż, idźcie sobie asanowie gdzie chcecie. U mnie dom uczciwy, w którym, broń Boże, żadnej zabijatyki ja nie ścierpię... A oni już szabel podobywali i cisną na tego Wicka, a on śmiejąc się im odcina, i co chłaśnie, to plejzyruje... Aj! gwałt!... Szczyściem, łaska Pana Boga, że nie u mnie, tylko się wytoczyli precz za bramę, a ja Mordkowi kazał zaraz zamykać. Patrzę przez okno, a oni go na wszystkie strony wzięli, obstąpili, i rąbią już na kapustę. Tak ja sobie oczy zasłonił...

To mówiąc Selig, zakrył oczy znowu i zamilkł.

Mellini pogardliwie ramionami zżymnął.

— Na coś to lepszego wygląda, niż na takiego palestranta—dodał—ale lichy go wie!

— Pewnie że jemu wygląda tak, jakby on się na wielkiego pana urodził, ale cą to ma do tego?—dodał Selig—kiedy on Wicek!

Niechąc już słuchać reszty, doktor do pacyenta dążył; Selig go zatrzymał.

— Niechże, uchowaj Boże, jakiej mitręgi, pan konsyliarz mnie będzie świadkiem, że ja tu nie winienem nic. U mnie się to nie zrobiło. Dom uczciwy, w którym nigdy żadnego kryminału nie było.

Mellini popatrzał nań i z politowaniem się uśmiechnął. Żyd podniósł jarmułkę, potrząsł nią nad głową, pokłonił się nisko, i wyszedł,

klapiąc pantoflami. Doktor na palcach wszedł do chorego, przy którym Kern siedział. Cisza panowała w domu. Pepita, którą Gawłowska gwałtownie do snu pędziła, łóżko jej przygotowawszy u siebie, nieposłuszna biegła ciągle pode drzwi rannego, przysłuchiwała się niespokojnie i o położeniu się wcale nie myślała.

Zastał ją tak po północy w sieni stojącą Mellini i surowo napędził.

— A idźże mi ty spać!—zawołał—co cię tam korci ten błazen, którego posiekali! Nic mu nie będzie, a i nie wart, żebyś tak się o niego troszczyła, bo to jakiś szatawiła, palestrant, pijak i burda, — i do brze mu!

Mellini nie odszedł już, póki siostrzenicy w ręce Gawłowskię nie oddał i nie polecił jej, ażeby ją gwałtem spać położyła.

Słówek teraz o starym konsyliarzu, panu Joachimie, inaczej Giacomo Mellini, który przed laty kilkadziesiąt dostał się do Polski z Saksonii. Był on synem jednego z tych licznych Włochów, których cała kolonia nad Elbą za Augusta Mocnego się osiedliła. W pobliżu królewskiego zamku, ubożsi z nich, wszelkiego powołania artyści, rzemieślnicy, aktorowie, zajmowali tak zwaną wieś włoską nad Elbą. Większa część tak się tu rozgościła, że już do kraju powracać nie chciała. Wielu z nich dzieci podochodziły w różnych gałęziach służby publicznej wysokich stopni i przerodziły się w Sasów. Rodzice Melliniego, oboje Włosi, wychowali go jeszcze na Włocha, a choć i po niemiecku się chłopak nauczyć musiał, nigdy o swém pochodzeniu nie zapomniał, i był nim dumny. Nadzwyczaj zdolny, choć przy ojcu sztukatorze trochę smaku i techniki się nauczył, okazywał tak wielką ochotę do nauk przyrodzonych, do medycyny, że go do Lipska oddano. Tu zaledwie skończywszy studia, gdy mu się w Saksonii zajęcie nie trafiło, dał się polskiemu panu Sapieżu wywieźć zagranicę. Został nadwornym jego doktorem, praktykował długo, naostatek uciulawszy trochę grosza, przeniósł się do Lublina. Młodszą siostrę sprowadził do siebie i wydał ją tu za męża, a gdy owdowiała, z córką ją wziął do siebie, naostatek po jej śmierci opiekował się Pepitą.

Człowiek był niezwykajny, umysłu przenikliwego, spokojnego ducha, usposobienia szyderskiego, pod spodem Włoch, na wierzchu trochę Niemiec, wreszcie długim pobytem w Rzeczypospolitej spolaczyły. Język włoski, który nadzwyczaj kochał, pomógł mu swym dźwiękiem do dobrego wyuczenia się po polsku. Mówił bardzo dobrze i poszewki niemieckiej wcale w nim czuć nie było. W dodatku Niemców nie lubił i prześmiewał ich, ale i Polakom z nim nie lepiej się działo.

Żartował sobie z nich, choć sympaty dla nich miał więcej.

Mellini nie żenił się nigdy. Znano go z różnych dziwactw a na dewszystko z wielkiej serca dobroci, która zdawała się być w ciągłej sprzeczności z językiem.



Na ludzi wygadywał co mógł najgorszego, posługując się wielkim zapasem włoskich przysłówiów, które wtrącał do każdej prawie rozmowy; mimo to każdego nieszczęśliwego ratował i był dla téj biédnej natury ludzkiej tak pobożającym jak nikt.

Dla niego wszystko było wytlumaczeniem. W żywe oczy prześmiewał każdego, za oczyma uniewinniał. Niekiedy był tak nieopatrzenie prawdomówny, że sobie robił nieprzyjaciół. Mówiono że i ze dworu Sapieżyńskiego, po długich latach służby i przyjaźni, wynosić się musiał w końcu coś językiem nagrzeszywszy.

Mellini jeśli kogo kochał w świecie więcej niż w ogóle wszystkich, to może swoją wychowankę Pepitę. Najprzód przypominała mu ona matkę, potem siostrę, nareszcie jedną ją miał na świecie. Co porzucił niegdyś w Dreźnie powinowatych, powymierało wszystko: był sam. We Włoszech z familii co się zostało, w tak biédnym było stanie i ciała i ducha, iż z nią obcować nie mógł. Posyłał im zapomogi, raz nawet podróż przedsięwziął do Medyolanu dla widzenia jakichś krewnych, ale wróciwszy nie mówił o nich ani słowa nikomu, nawet Pepicie.

Pod okiem wuja, trochę dziwaka, dziewczę wychowało się jakoś także nie zwyczajnie. Najprzód długo dosyć dawał jój dziczéć prawie, chcąc, jak mówił, nieprzeszkadzać naturze w rozwinięciu się jój z całą potęgą. Gdy, mimo to, dziecko okazywać zaczęło zdolności wielkie, uczył ją sam i dawał nauczycieli, nie żałując na to. Ale uczył szczególniej tego, do czego dziecko samo miało popęd i ochotę. Cieszył się dla swoich oczu pięknoscią nadzwyczajną Pepity, ale zarazem nie był jój rad.

Rozmaite włoskie przysłowia przychodziły mu w pomoc przeciw piękności:

— *Belle donne, guerra in casa.* (Piękna kobiéta, wojnę do domu przynosi)...

*La donna è come la castagna, bella di fuori e dentro ha la magagna.* (Piękna kobiéta jest jak kasztan, po wierzchu gładka, a w środku chropawa), i t. d.

Wzdychał patrząc na Pepitę, i chował jak mógł od ludzkich oczów. Pepita nie wychodziła prawie na krok z domu sama, a wczorajsza wycieczka do sąsiadki, tylko dlatego była dózwoloną, że dworek jój z okna widać było: we wszystkich dalszych wycieczkach towarzyszyła jój Gawłowska. Być bardzo może iż dlatego nawet, osiadając w Lublinie, doktor się postarał o dworek na przedmieściu, aby samego miasta i gawiedzi trybunalskiej uniknąć.

Pepita skazana prawie wyłącznie na towarzystwo wuja, którego kochała bardzo, poczciwéj lecz niezmiernie prostodusznej Gawłowskiej i kilku starszych a niewielu młodszych jejmości, wyrosła na istotę oryginalną. Miała jakąś nie kobiecą prawie swobodę i męztwo ducha. Było w tém coś nieopatrności dziecięcój, śmiałości w mowie doktora i żywości własnej. Zarazem dziecinna i umysłem wykształ-

cona, zastanawiała naiwnością przeplataną rozumem, tak że jedno z drugim się nie mieszało. Umiała być i dzieckiem, które bawiło wszystko, i bardzo poważną niewiastą, patrzącą na świat z wysoka. Tego co się zwało wyższém i lepszém towarzystwem, Pepita wcale nie znała. Gdy do doktora przychodzili goście mężczyźni, nie lubił żeby się przed nimi pokazywała.

Nie mówił o tém nigdy, lecz w duszy bardzo mu było pilno zdać trudną opiekę i czuwanie nad tą niebezpieczną pięknoscią, w ręce jakiego uczciwego człowieka. Za pana wydać jęj nie chciał, ażeby nie wyrzucano jęj potem plebejuszowskiego pochodzenia, a znał też życie i sprawy ówczesnych magnatów, których się napatrzył w Saksonii, ba i w Polsce. Za bardzo prostego człowieka dać jęj też nie mógł, bo jęj nie starczył rozumem a tego średniego któryby dla nięj przysłał, znaleźć bardzo było trudno.

Czas jeszcze miał doktor, bo Pepita nie dochodziła lat dwudziestu i wcale się za mąż nie wrywała. Mellini tylko w duchu dla swęj otyłości i uderzeń krwi do głowy, obawiał się na siebie jakiego tragicznego, nagłego końca. To go niepokoiło. Prowadził życie czynne, był dosyć z zasady wstrzemięźliwy, ale w praktyce jeść dobrze lubił, a gdy się zapomniął, dużo. Wróciwszy do swego pokoju, gdy Pepitę spać wyprawił, a Kerna posadził przy chorym, zadumał się Mellini.

— Po co mi go było brać do domu?—zapytał się w duchu siebie.—Mogłem go umieścić u Seliga. Będzie z tym kłopot, dziewczyna ciekawa, a to wisus jakiś, z oczu mu źle patrzy.

Ma wprawdzie twarz piękną i arystokratyczną, ma coś w sobie pańskiego, i w mowie zdradza lepsze wychowanie; ale jawna rzecz że to w niwecz popsute: łotra kawał!

Trzeba go dokądkolwiek wytransportować. Pepita niezmiernie mu się przypatrywała i była nim zajęta. Litość jest głupią rzeczą w dziewczynie, bo komórka w której się ona mieści, graniczy z inną...

Namarszczył się Mellini, lecz wprędce rozchmurzył.

— A! ba!—rzekł robiąc sobie lemoniadę—ze strachu mi się widma roją!

## II.

Rany tego nieszczęśliwego wisusa, wedle wyrażenia doktora, nie były tak straszne, jak się w początku wydawały. Krwi mu zbiegło dużo, cięcie w głowę było silne i mogło być niebezpieczne, gdyby się do kości dostało; szczęściem skórę tylko rozplatało i wstrząśnięcie na mózg nie podziałało. Inne rany, których było kilkanaście na ramionach, plecach i piersiach, po dobrém opatrzeniu mogły się pogoić prędko. Pierwszego dnia leżał jak odurzony chłopak, dostał potem silnej gorączki, w której śpiewał, krzyczał, wrywał się, miotał, łajał, ale po śnie głębokim i orzeźwiającym trzeciego dnia był już przytomny.

Gdy doktor przyszedł do niego, zastał go z obwiązaną głową, ale siedzącego na łóżku, jak gdyby się wybięrał w drogę.

Teraz dopiéro, gdy był już panem siebie i twarz do naturalnego swego wyrazu wróciła, doktor mógł się mu lepij przypatrzeć. Nadzwyczaj pięknych i regularnych rysów fizyognomii, miała wyraz osobliwy lekceważenia, goryczy razem i szyderstwa, pańskości jakiejś i pogardy samego siebie.

Popatrzał na Melliniego uśmiechając się.

— A to pan byłeś łaskaw?—przebąknął.

Doktor, milcząc, głową poruszył.

— Jakie bo to ja mam szalone szczęście—dodał z ironią ranny;—ta szuja mnie pokiereszowała wszetecznie, a los chciał aby się to stało o trzy kroki od domu doktora. *Saperlo He!*

Wykrzyknik francuzki trochę zdumiał Melliniego.

— Z kimże mam honor?—spytał cicho—wpatrując się w niego.

— Daj-że pokój doktorze—rozśmiał się zagadnięty—ja nie jestem już z tych, z któremi się ma honor, ale których dyabli hoduują.

Bądź jednak spokojny, byłem się trochę wylizał, ruszę w świat.

— No, ale któż pan jesteś?—zapytał Mellini—boć przecie słuszna rzecz....

A! słuszna! bardzo słuszna!—śmiejąc się ciągle mówił ranny. Ale się rozczarujesz, mój łaskawco; nazywam się Wicek Szarzak, jestem synem leśniczego z Końskiej Woli. I po wszystkiém!

Dokończywszy, śmiać się zaczął mocno, ale go rany zabolaty i syknął. Spojrzał na doktora, który ruszył ramionami.

— Słowo ci daję, mój dobroczyńco i salwatorze, jak mnie widzisz, tak mnie pisz. *Golissimus*, biédota, tylko tyle, że humor doskonały.

A kiedy myślicie wypuścić mnie znowu na zieloną paszę?—dodał.

Doktor poruszył głową, nie dając odpowiedzi.

— Bo, widzicie—ciągnął dalej ranny—muszę rachunek mój dokończyć z tą plugawą gawiedzią... Te plebejusze bestye, to ani pić ani bić nie umieją.... Wystaw sobie doktorze, sześciu takich drabów! żeby to było co poczciwego, byłbym dziś na nosiłkach. Teraz ja im muszę po osobno każdemu dać *pro memoria*.

— Bądź-no pan spokojnym i nie wiele mów!—rzekł doktor.

— Ale, nie obawiaj się o mnie—odparł ranny—mnie licho nie weźmie, właśnie dlatego, żeby to może komu było na rękę. Gdybym był na świecie potrzebny, a! to co innego; wtedy, bym się śpilką uktuł i byłoby po mnie: a tak, ani patką nie dobije!

Mellini wpatrywał się w niego bacznie, a badawczy wzrok nie podobał się rannemu. Poprawił bandaż na głowie niecierpliwie.

— Co się to asan dobrodziej tak wpatrujesz we mnie, he! Może znajdujesz, że na syna leśniczego z Końskiej Woli zanadto przyzwyczaję wyglądam. Ale kto to może wiedzieć, czy tam nie zaszła jaka falsyfikacya?

Podparł się na stoliku i gorzko śmiać począł.

— Dosyć żem Wicek Szarzak i basta!—dodał po chwili.

Mellini, słuchając go, z każdego słowa czytał, że miał z kim innym do czynienia.

— Możesz waćpan być i synem leśniczego i kim chcesz—odezwał się—a zawsze nie ciekawie się spisałeś wdając w burdę karczemną.

— A! za pozwoleniem—ironicznie przerwał ranny.—Co winiarnia, to nie szynk!

Palestranci prawda! szuja, ale rodowita szlachta! Ba! ba...

— I waćpan téż szlachcic jesteś?—zapytał doktor—Ja coś o szlachcie tego nazwiska nie słyszałem.

Wicek znowu mocno się śmiać począł i syknął.

— Nie jestem szlachcic—odparł—jako żywo, wypieram się téj ekstrakcyi, nienawidzę szlachty i panów; chłop jestem, cham, prosty człek, od siekiery wyciosany, z gliny najpowszedniejszej ulepiony... *plebeius plebeissimus!*

— Żartujesz sobie ze mnie!—szepnął doktor zimno.

— Nie, kochany konsyliarzu—odezwał się zawsze ironicznie ten, który się Wickiem Szarzakiem nazwał—nie, nie żartuję z pana, ale z siebie! Tak! to wielka różnica! Co bo pan chcesz, człek bywa w takim usposobieniu, gdy nareszcie z siebie samego żarty stroi.

— Trafia się to—odpowiedział Mellini—ale nie w wieku pana.

— A! wiek! wiek!—począł młody—to rzecz stosunkowa. Wpan mnie zrozumiesz; są, co w sześćdziesięciu kilku leciech mają ich rzeczywście ledwie ośmnaście i gołowasami umiérają, a są tacy, jak ja, co w dwudziestu kilku już zgrzybieli.

— I sami sobie winni!—zawołał Mellini.

Skrzywił się p. Wicek.

— Czasem oni, a niekiedy ludzie! O! ci ludzie! to bydło!—krzyknął—bijąc w stół młody.

Doktor nań popatrzał.

— A waćpan—że co innego jesteś?—spytał. Łajesz ludzi, masz—że być wyjątkiem?

Trochę zdziwiony popatrzał nań Wicek.

— Licha tam!—rzekł, śmiejąc się znowu—taka bestya ze mnie paskudna, jak i oni. Kubek w kubek. Jużem ci się dobrze zarekomendował tém, żeś mnie po j burdzie, pokiereszowanego znalazł w rynsztoku: to dosyć!

Ja się téż za anioła nie sprzedaję, ale i reszta nie wiele warta. Ta między nami różnica, szanowny konsyliarzu, że oni sobie archańielskie skrzydła przypinają do zasmolonego grzbietu, a ja się okazuję jakimś Panu Bogu stworzyć się podobało, na utrapienie ludzkie!

Mellini uśmiechał się mimowoli, a poczekawszy nieco odezwał:

— Wszystko to bardzo ciekawe i interesujące, a najosobliwsze to że waćpan syn leśniczego z Końskiej Woli, tak się jakoś wyrażasz, jakbyś za piecem u tatka się nie wychował.

Zaczął prychać słuchając młodzieniec i próbował pokaleczoną ręką wasa kręcić.

— Mój konsyliarzu — rzekł — bo to widzisz, leśniczy leśniczemu nie równy. Mój czcigodny papa zamożny człek, dawał mnie na nauki po świecie! Miałem metrów, posyłał mnie do Paryża, gdzie bruki zbijał z paniczami co się zowie.

Spojrzeli sobie w oczy.

— Nie dowiem się więc z kim mam honor? — rzekł Mellini.

— Ale jaki u kaduka honor? — przerwał niecierpliwie chory — honoru około mnie ani za grosz. Był kiedyś, teraz go niema. Co było a nie jest, nie pisze się w registr; jestem plebejusz Wicek Szarak i kwita.

— I czémże się pan zajmujesz! powołanie jego? — spytał doktor ironicznie także.

— A no, to trudno się da zdefiniować — począł chory z wolna spuściwszy oczy — robi się co się zdarzy. Piję tego co się zowie, biję doskonale, łgę gdy trzeba aż strach, kłąć umiem i z francuzka politycznie i z polska od ostatnich... Piosnek moc śpiewać umiem, gram na klawicybale i na gitarze, w karty od chapanki i družbarta począwszy do faraona, *gerfectissime*; koperczaki stroić do panien i do mężatek potrafię niezgorzdej, i żwawo prowadzę romanse, choćby dwa i trzy naraz. Cóż waćpan chcesz, albo to mało talentów! trzebaż czego wiecój jeszcze? Z tém się w Warszawie żyje tak jakby się klucz miało i wsi kilka. Nieszczęściem skład okoliczności zmusił mnie, wystaw asiędziój sobie, opuścić stolicę w chwili gdy się oto sejm zbiera, pole do żniwa... i tu wpadłem między takich co w sześciu na jednego idą!!

Mellini słuchając żartującego sobie młodzieńca nie wiedział już co myśleć. Im więcój się w niego wpatrywał i przysłuchiwał mu, tém mocniejszego nabierał przekonania że miał do czynienia z jakimś paniczem, *incognito* chcącym zachować, rozwydrzonym, rozpuszczonym jak dziadowski bicz, ale bystrym i niepospolicie obdarzonym.

Milczał jeszcze doktor, gdy p. Wicek zerknąwszy nań, ciągnął dalej.

— Pojmuję to, szanowny konsyliarzu, że, koniec końców chciałyś może wiedzieć z kim masz do czynienia, boć winien ci będę za trudy i gościnę. W tém sek... Jużciżeś kazał zrewidować moje kieszenie, gdyście mnie tu na to łóżeczko komportowali i przekonałeś się że w nich *vacuum*. Był bestya jednak, kulfon... ale i o tém nieumiem powiedzieć, czym go w winiarni nie rzucił na stół. W obecnej mojej sytuacji, w istocie, *nemo dat qui non habet*, nie uiszczę się, mój zaś tatko w Końskiej Woli, gotów się mnie zaprzec a nic za mnie nie zapłaci... Radzę więc ci konsyliarzu, obandażowawszy mnie, wyrzuć na ulicę! Co wiele ceremonii robić. Lipiec, nie zmarzę... Cha! cha!

Doktor się zasępił i obraził.

Wstał z krzesła.

— Juści to prawda—odparł z dumą pewną—że ksiądz z ołtarza, pisarz z kałamarnicy, a doktor żyje z tego co mu się nadarza, z *purgansu* i mikstury; ale widzisz asindziej, są doktorowie i doktorowie. Ja lubię czasem trutniów z ulicy zbierać i robić na nich doświadczenia, *in anima vili*.

Usłyszawszy to młodzieniec, drgnął cały, na policzkach błysnął rumieniec, lecz się wnet pohamował.

— Oddałeś mi asindziej z nawiązką! Nie gniewam się.

— Ja też!—rozśmiał się doktor—widzę tylko że my z sobą ładu nie dojdziemy.

— Właśnie że my, jak ja teraz widzę—rzekł młody—my możemy z sobą dojść do kompromisu. Kiedy ja mogę wyjść ztąd bezpiecznie, żeby na ulicy się nie wyrzucić?

— Cóż pilno waćpanu?—spytał doktor. Dziś się to oznaczyć nie da. Wylizesz się wprędce, ja zatrzymywać nie będę, ale wyprawić nie chcę, bo na to mnie jeszcze stało żebym gościnę mógł dać.

— Waćpan widzę jesteś filantrop? he?—spytał młody.

— Czasami—rzekł Mellini.

— Ale dalipan, jeżeli się spodziewasz że w mojej skórze znajdzie się zaklęty królewicz, to się omylisz—dodał Wicek. To prawda, żem się z paniczami chował, że paniczkowato wyglądam; ale jestem bez grosza, dachu, domu i łomu a co gorzej bez familii. Swoi się mnie a ja ich wyparłem... jestem Wicek Szarzak! Cha! cha!

I pokładając się na łóżku począł się śmiać dziwnie, powtarzając ciągle—Wicek Szarzak!! Doktor stał przypatrując mu się, gdy z łóżka porwał się nagle ranny i siadł.

— Konsyliarzu złoty!—rzekł głos zmieniając na żebrzący—gdybyś był istotnie gościnnym w domu, wiesz cobyś uczynił? Otobyś mi dał lampeczkę wytrawnego wina!

— A! tak! zapewne! aby ci na noc dała gorączkę i rany pojał-trzyła! tęgi z waści doktor...

— Medycyny się nie nauczyłem, oprócz w Paryżu gdym był na jednej sztuce, gdzie kilkunastu doktorów występuje z bronią w rękę! Sztuka piękna i budująca, ale, szanowny konsyliarzu, mam moją naturalną medycynę i rezonuję tak: natura do zagojenia ran potrzebuje siłę, co siłę daje? wino; *ergo*... rozumiesz...

Rośmiał się Mellini.

— Ja—rzekł—rezonuję całkiem inaczej. Opatrzna natura gdy kto ma krew zbyt gorącą i obfitą, nasyła na niego szczęściu palestrantów aby mu jęj upuścili, i każe go osłabić, aby rozum miał czas wziąć górę nad szaleństwem... Wina asindziej u mnie nie dostaniesz, ale kleiku, rosołu, bułki, ile trzeba...

Kłaniam uniżenie!

I wyszedł śmiejąc się.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

*O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii*, dwa odczyty publiczne Juliana Ochorowicza. Lwów, 1877 r.

Opisem stanu poety, jako twórcy, zajmowali i zajmują się zwykle estetycy; i rzeczywiście, to ich udział i obowiązek, dla wytłómaczenia, z jakich przyczyn dzieło poety lub wszelkiego artysty, tak wielce różni się od dzieł innych śmiertelników, nawet inteligencji wyższej. Poeta jest wprawdzie człowiekiem, tak jak każdy inny, ale ma oprócz tego swoje specjalności, skoro nazywamy go specjalnym mianem poety; i nic podobno trudniejszego dla nauczyciela poetyki, który nie chce na powierzchownym wykładzie swego przedmiotu poprzestać, jak wytłómaczyć uczniom, dlaczego nie każdy człowiek ukształcony i nawet pięknie piszący, potrafi utworzyć wiersze, któreby miały istotną wartość poetyczną; czyli: nic trudniejszego, jak wykazać kto jest właściwie poeta. Skoro ma swoją specjalność, wyróżniającą go między ludźmi, to musi być coś specjalnego w jego naturze, w jego organizmie, myślach i usposobieniach. Zwykle w dawnych poetykach ograniczało się do powiedzenia, że to dar boży, natchnienie z nieba, i do tym podobnych ogólników; jak gdyby twórczość w matematyce, dyplomacyi lub strategice, nie była także darem bożym i natchnieniem z nieba lub prosto usposobieniem przyrodzonym. Ależ chodzi właśnie o bliższe i stanowcze określenie podobnych usposobień, o wyróżnienie jednych od drugich, o wytłómaczenie, dlaczego człowiek, który pod żadnym innym względem od innego się nie różni, w tym razie tak jest od wszystkich innych odmienny.

Nauka podejmuje różne śmiałe zadania: podobne określenie, zdaniem naszym, należy do najśmielszych. Człowiek ogólny już sam przez się jest dla niej twierdzą nieprzystępną, otoczoną szaniami tajemnic, najeżoną mnóstwem samolówek, o które rozbijają się umysły najzbrojniejsze; cóż dopiero człowiek specjalny i wyjątkowy! Estetyka, do zakresu rozpatrywania samych dzieł poezyi i sztuki, a więc tylko do systematyzowania uzewnętrznień duchowych ograniczona, z zadaniem takim sobie nie poradzi: musi ona wyjść koniecznie z psychologii zarówno społecznej jak pojedynczej; musi starać się poznać mistrza, ażeby dać dzieło jego zrozumieć. Ale czy to już nastąpiło? Czy psychologia jest choćby na drodze do takiego rozwiązania, do takiej dla estetyki pomocy? Wątpimy. Ona dotąd zaledwie zaczęła znosić cegły do budowy, której plan nader obszerny zakreśliła: gdy ją skończy kiedy według tego planu, będzie to budowa wspanialsza od nie-

skończonego tumu kolońskiego, od skończonego Watykanu, jeżeli przedtem nie ulegnie losowi sławnej wieży Babel. Zaczyna ona zaledwie składać pierwsze głoski o nerwach, a już pomieszały się języki co do znaczenia duszy. I znajdziesz niejedną taką psychologią, w której, Boże odpuść, poeta mało co więcej znaczy od waryata, a geniusz to chorobliwy przerost, hipertrofia imaginacji, i wszelki artysta natchnienia swe oryginalne, swoje własne *ja*, tak cenione w estetyce, czerpie z nieprawidłowości fizyologicznych, łamiąc przepis istniejący dla człowieka przeciętnie zdrowego na ciele i umyśle. Takie to duby odważają się pleść niektórzy empirycy, zaprawieni na mniemanych prawdach i mniemanych tryumfach materyalizmu.

Ale nie tak tę rzecz rozumie p. Ochorowicz. On sobie, pod pretekstem stanowiska psychologicznego, kreśli poprostu historią naturalną poety, czyli, bez żadnych pretensji do odkryć na tajemniczym morzu spekulacji psychofizycznej, opisuje jego właściwości, których z wierzchu domacać się może. Notuje więc najsamprzód wrażliwość, która głębszą jest i zmienniejszą u poetów niż u zwyczajnych ludzi nerwowych, a łączy się z poczuciem estetycznym, sprawiającem, że poeci wrażenia dostarczone przez świat, oddają mu czystsze i wspanialsze; wymiana zaś ta i to pośrednictwo jest pasmem przeobrażeń wewnętrznych, wzbogacających ogół, a wyczerpujących poetę. Cały zatem świat, tak natura jako i towarzystwo ludzkie, stanowi dla poety materyał wrażeń, które skombinowane z jego wewnętrznymi przymiotami, jako człowieka, przekształcają się w jego specjalnym laboratorium umysłowem na świat inny, podnioslejszy, a jednak w gruncie ten sam, prawdziwy.

Oprócz takiej wrażliwości, która nie jest poprostu bierną, jak u innych ludzi, ale stanowi się przetwórczą, autor przyznaje poecie pewną siłę, zwaną przezeń *współczuciem psychologicznem*. Mniejsza o nazwę, ale rzecz jest nader ważną, i dobrze byłoby oznamionować ją tak, iżby nie budziła wątpliwości co do swego znaczenia. I nam się też wydaje, że jestto raczej współczucie *artystyczne*, wspólne poecie ze wszystkimi mistrzami sztuki, i im tylko właściwe, a zgoła od wszelkiego współczucia, że go tak nazwę, moralnego, odmienne. Jakoż kto słyszy jakąś melodyą, w której aż do rozrzewnienia brzmi nuta miłości, to nadzieją, i to obawą, niepokojem, rozpaczą lub nagłym uszczęśliwieniem tęskniącego serca, nie zastanawiając się bliżej nad strojem takiego poety, śpiewaka, gotówby zawołać: „ach! jak ten człowiek kocha!” Tymczasem, niechaj porówna *Ständchen* albo *Lob der Thränen*, z zimnym egoizmem i wyrachowanem użyciem ich autora, a zdziwi się tej różnicy. Otóż przestroga, ażeby uczucia w znaczeniu powszechnem, uczucia, które zaleca matkę, kochanka, rycerza, apostoła, nie brać za jedno z uczuciem artystycznym, czyli jak je nazywa p. Ochorowicz mniej szczęśliwie, ze współczuciem psychologicznem. Jestto prosta zdolność przedstawiania się w położenie cudze, nie dlatego, ażeby przyjmować udział ludzki w szczęściu lub niedoli bliźniego,



w jego pojęciach i dążnościach, ale prosta zdolność odczuwania rozmaitych stanów duchowych na podstawie doświadczenia własnego, które choćby w najdrobniejszej cząsteczce podobnym było do położenia innych. Poeta, niby naturalista genialny, z jednego ułamka kości odwarza cało-kształty. Studyując, ma siłę do wywołania w sobie takich uczuć, jakie władną drugimi, ale tylko na chwilę, podczas pracy twórczej; razem z jój ukończeniem uczucie jego ostyga, widma znikają i poeta pozostaje znowu człowiekiem zwyczajnym, całkiem odmiennym od tego, którym był w chwili tworzenia. Tylko ubyło go w sobie i kawał swój istoty rzucił na pastwę ogłowi przez czas téj pracy wewnętrznej, która uczucie, obudzone sztucznie, doprowadziła do stanu równającego się naturze, ale w piękniejszą jeszcze przyrodzianą formę, wydobyła z niego te właśnie momenta, które prawdziwą jego piękność i siłę stanowią, sprawiając wrażenie na wszystkich, lubo nie umiejących zdać sobie sprawy gdzie mianowicie, w którym punkcie i w jakiej kombinacji punktów leży tego wrażenia źródło i bodziec.

Ta siła intuicyjna umysłu, z jaką poeta odgaduje położenia, uczucia i charaktery innych ludzi, musi wszakże opierać się na materialnej podstawie, grunt mającej w jego istocie własnej, oraz na obserwacji charakterów najpodobniejszych z temi, które obiera za temat do swój twórczości. Niedziw, że Szekspir z kilku wskazówek historycznych odgadywał takie postacie olbrzymie jak Koryolan, Cezar, Antoniusz, bo i sam stał umysłem na wyniosłościach i dość mu było punkt tylko zmienić, aby inną stronę wyniosłości ludzkich zobaczyć. Ale to dziwniejsza, że sam będąc człowiekiem uczciwym, tak wybornie odgadywał zbrodniarzy. Mielizbyśmy przez to mniemać, że i tu tworzył na obraz i podobieństwo swoje? Bynajmniej. Autor rozprawy z tego powodu powiada między innymi, że powieściopisarz lub dramaturg „nie był złodziejem, ale czuł jak mu serce silniej uderzało, gdy chciał komuś figla wypłatać.” Zapewne, ale ta obserwacja osobista nie byłaby dostateczną i obrazy jego nie przedstawiłyby tego przenoszenia się w położenie innych, gdyby autor na niéj tylko i na wspomnieniach własnych poprzestawał; przeciwnie, obrazy jego zanadto byłyby jednostajne, zawiele przypominałyby jedną osobę, fałszowałyby lub niedomierzały w wielu punktach, gdyby nie zdolność obserwacji obiektywnej i wyciągania z niéj wniosków indukcyjnych na rzecz psychologii. Poccie nie możemy odmówić zdolności praktycznej psychologa, która bezwiednie stawia szeregi logiczne rozwoju, jak zdolność malarska tworzy bezwiednie plany perspektywiczne, bez poprzedniej nauki, opartéj na geometrii wykreślnéj. Malarz ma w oku własnym rozwiązanie praktyczne tych zadań, które geometrze wynikają z prawidłowo nakreślonego epiuru; w każdym razie jednak potrzebuje on widzieć przedewszystkiém, jak zadanie w rozmaitych okolicznościach rozwiązuje natura co do światła i cienia, co do linii i barw. Jeden okrzyk matki przy dziecku zagrożoném niebezpieczeństwem ważném, odkrywa poccie całą gamę tonów, składających się na ten potężny

akord uczucia miłości macierzyńskiej; po tonaah dochodzi on do strun ukrytych w duszy i sam nie będąc matką, nie potrzebuje uczuwać paralelnie „gdy najmilsze jego dziecko zniestawił nieczuły krytyk,” ażeby być tłumaczem uczucia macierzyńskiego. Zamało autor w rozprawie swęj położył nacisku na tę obserwacyą obiektywną, która z usposobień poetycznych wytwarza poetów życiowych, a bez której poeta nawet najzdolniejszy, zawarłszy się w martwym subiektywizmie tworzy piękne widziadła, a często dźwięczne mrzonki bez wartości, jak to widzimy na wielu, jeśli nie na wszystkich poetach początkujących, którzy wprawdzie „mają serce,” ale nie „patrzają” w życie.

Na tle dopięro takiej obserwacyi obiektywnej, wzbogaconej temi różnostronnemi wrażeniami, o jakich mówiliśmy wyżej, powstają te skojarzenia wyobrażeń, które jak słusznie powiada autor „odgrywają olbrzymią rolę w twórczości poetyckiej, zarówno w wyrażeniach, jak w obrazach, jak w całej wreszcie osnowie sztuki.” Ale, kiedy mówimy o skojarzeniach (które nie wiem dlaczego autor upatruje tylko na zasadzie kontrastu, gdy one istnieją i na zasadzie podobieństwa), kiedy, powtarzam, mówimy o skojarzeniach, to już odstepujemy niejako od poety, od osoby, od jego wewnętrznego ustroju, a przychodzimy do dzieła poetyckiego, które ze swęj strony może nam jedną i najważniejszą, zdaniem mojem, okoliczność w twórczości jego objaśnić. Tęm się właśnie autor zajmuje przez kilkanaście stronnic i to w jaki sposób? Oto rozbiera on ustępy poetyckie, ściągając zawarte w nich myśli do prozy, do znaczenia psychologicznego. Tym sposobem czytelnik widzi treść i formę, myśliciela i poetę; tylko nie zapominajmy, że to jest w jednę osobie, że nie szata sama stanowi poezyą, że dwa te żywioły nie przychodzą po sobie w taki sposób, ażeby naprzód formowała się treść zimna, a potem ubierano ją w gorące barwy poezyi; lecz że one w żywym umyśle poetycznego myśliciela powstają razem, jak jedność, jak twór jednolity, doksztaltowujący się wprawdzie i rosnący, ale całą swą istotą razem wewnętrzną i zewnętrzną. Wszelka fabrykacya poezyi jest niemożliwą; komu myśl nie przyjdzie jednocześnie z jęj wyrazem, ten poetą nie jest, i wyrazami najpoetyczniejszymi nie okryje próżni poetyckiej w myśli; bo nie dlatego jest gdzieś poetyczność, że znajduje się wyraz poetyczny, ale dlatego istnieje wyraz, że już poetyczność była gdzieś przed nim, a niezdarne częstokroć wystowienie, jak np. w produkcyach ludowych, zawiera grunt poetyczny.

Poetyczność polega na sposobie reprezentacyi, ku czemu służą te właśnie skojarzenia, odrywając myśl od sfer abstrakcyi czystej, by ją skłonić ku obrazom zmysłowym. I tak, jeśli powiadamy: jaki ojciec, taki syn, wyrzekamy tylko zdanie moralno-filozoficzne; lecz jeżeli przechodząc przez myśl poety, który fakta obserwując po swojemu, zauważył pomiędzy drzewem i owocem stosunek podobny stosunkowi pomiędzy ojcem a synem, zdanie to oblecze się w wyrażenie: niedaleko jabłko od jabłoni pada, w tęg chwili nasuwa się nam obraz zmysłowy, którego malowniczość bynajmniej nie zaciera myśli zawartęj w wyrażeniu

prozaicznym. Słusznie też powiada autor, „że filozofia składa się przeważnie z *pojęć* a poezya przeważnie z *wyobrażeń* i to *zmysłowych*.” W zdaniu tém jego zaprowadzilibyśmy tylko małą poprawkę. Zkąd ta modyfikacya, wyrażająca się przysłówkiem *przeważnie*? Nam się zdaje, że właśnie należałoby powiedzieć: *bezw warunkowo*. Filozof bezwarunkowo nie powinien poetyzować, lubo wolno i chwalebnie jest być mu krasomówczym. Poeta nawzajem strzedz się musi i krasomówstwa i filozofowania; jego rzeczą tylko obrazować. Eurypides przez to uważanym jest za niższego dramaturga od Eschyla i Sofokla, że był zanadto filozofem i retorem. Druga poprawka nasza stosuje się do wyrazu *wyobrażeń*, którebyśmy radzi zastąpili wręcz *obrazami*. I jeżeli czém można krótko a treściwie scharakteryzować różnicę poety od każdego innego myśliciela, to tém wyrażeniem, iż on tworząc, myśli nie zdaniami, ale wręcz obrazami. Powierzchnowni tłumacze poetyki dają poezyi za formę słowo, w przeciwstawieniu do kamienia, farby lub dźwięku, materiałów, któremi posiłkują się sztuki inne. Prawdą jest to o tyle, że istotnie *słowo* czyli język w poezyi, jest tym materiałem brutalnym, potrzebnym tylko do zapełnienia przestrzeni, nie zaś forną. W gruncie, formy poetycznej nie stanowi słowo, ale ten obraz imaginacyjny, który stanął nasamprzód w wyobraźni poety i niczém inném nie dał się przezeń uzmysłowić, uzewnętrznic, tylko słowem, które na ten raz stało się zwierciadłem jego wyobraźni. Nie ono układało więc obraz, tylko obraz gotowy wcisnął się w nie, jako w jedyny materiał, którym mógł się posiłkować poeta. Gdybyśmy byli duchami czystymi, możeby daném nam było pojąć, pochwycić ten obraz w umyśle twórcy bezpośrednio; ale zawarowani zmysłami używać musimy pośrednika zmysłowego, słów, które „w ustach wietrzeją, na powietrzu stygną.” I w tym razie poeta stoi zupełnie w tych samych warunkach, co każdy inny twórca. Ani malarz, ani rzeźbiarz, ani budowniczy, ani muzyk, nie potrzebują kamieni, barw i dźwięków dla siebie; ich obrazy stają gotowe w umyśle, tylko niedostępne zmysłom innym, potrzebują zapełnić dzielącą je przestrzeń od umysłów innych i zapełniają środkami, które zmysłowości ich wydają się najpodatniejsze. Przez takie tylko uzmysłowienie, poeta zdaje się prawdziwym artystą; wszystko co u niego nie jest zmysłowo przeprowadzoném, staje się prozą, wychodzi z granic sztuki. Nie *przeważnie* więc tylko, ale bezwarunkowo panować winny w poezyi wyobrażenia (obrazy) zmysłowe. I dlatego wolimy zdanie autora, kiedy po bardzo dobrym rozbiorze ustępów poetycznych, ze wskazaniem na czém polega ich poetyczność względnie do tych samych myśli wyrażonych w prozie, powiada w końcu: „I rzeczywiście możnaby powiedzieć, że o ile filozofia byłaby niemożliwą bez zdolności uogólniania czyli abstrakcyi, o tyle poezya nie mogłaby istnieć bez możności uplastyczniania pojęć ogólnych, przez podstawianie zamiast nich obrazów zmysłowych.”

Ale nie każdy znowu, oczywiście, obraz zmysłowy będzie dziełem poezyi. Wszak fotogram jest obrazem zmysłowym, a czy przez to

jest dziełem sztuki? Wszystko możnaby podciągnąć pod pewne recepty, tak jak rysunek pod pewne patrony; nie przeto co wyjdzie ztamtąd będzie artystycznym. Możnaby np. ułożyć słownik wyobrażeń zmysłowych, poetyckich, i kleić z nich obrazy, którym nie będzie brakowało ciała poetycznego, tylko że będzie to ciało trupów. Poezya żywa nie nie bierze ze słownika ani ze słów, ale wszystko z ducha, który sam przez się twórczym być musi, ażeby stworzył ciało żyjące. Taki więc duch zwykliśmy nazywać fantazyą, a wyraz ten dopiero wprowadza nas we właściwą zasadę wszelkiej twórczości poetycznej i artystycznej; on ma nam wytłómaczyć *przez co* poeta jest poetą, artysta artystą, tylko że sam jest niewytłómaczony.

Dotąd widzieliśmy jak postępuje poeta w utworzeniu dzieła sztuki, opisywaliśmy środki, których używa, wynajdywaliśmy cechy poezyi. Ale teraz przedstawia się inne pytanie, głębiej sięgające w naturę samego umysłu twórczego.

*Dlaczego* poeta myśli samemi obrazami, kiedy tak inni nie mogą? Nic łatwiejszego jak właśnie na temat ten *fantazyować...* Ale w każdym razie niepodobna nie przypuścić, że musi on w naturze swój posiadać pewną zdolność osobną, którą możemy nazwać fantazyą. Nie mając ani sposobu ani wzroku odpowiedniego, by zajrzeć we wnętrze żywego człowieka i poznać, jak zdolności jego duszy wyglądają fizjologicznie, to jest, jak one wytwarzają się przez pewne związki, możemy i fantazyą poznawać tylko po jej zewnętrznych objawach, które ujmując w pewne związki a prawa ich wyszukując, wszystkiemu temu nadajemy miano fantazyi. Bo wreszcie poeta nie różni się od człowieka zwyczajnego jakimiś organami szczególnymi: różnica polega na ilości, na kierunkach prądów umysłowych i wrażeniowych, zmieniających harmonią ruchów myśli, zależnych od stałych podrażnień tkanki mózgowej. Zmiany te, w pewnych razach wyradzają matematyków twórczych, filozofów, strategików; w innych razach idiotów, a znajdują się i takie kombinacye, które wytworzą stan zwany poetycznym. Zupełnie tak samo, jak w naturze nieorganicznej, przy pewnej temperaturze determinującej ruch cząstek, jedne i też same pierwiastki tworzą parę, wodę i lód. Nie ma więc powodu do uważania poety za istotę obdarzoną jakimś osobnym organem, niebywałym u innych ludzi, który zwię się fantazyą, bo niema człowieka w normalnym stanie, któryby nie posiadał jakiejś fantazyi; ale przymiot ten raczej uważać trzeba za wynik skombinowanych ruchów jego myśli, idących w pewnym kierunku, takim a nie innym, skutkiem przyczyn determinowanych całym i ogólnym mechanizmem jego ustroju.

Nie naturę więc fantazyi badać możemy, która ani jest czemś pojedynczym, ani dla zmysłów naszych dostępnym, stanowiąc tylko wypadkową sił ukrytych, ale wolno nam po objawach domyślić się tej wypadkowej i cechy jej oznaczać.

Ilością tylko, powiedzieliśmy, nie jakością odznaczają się poeci od ludzi zwyczajnych i co większa, dodajemy, niema i nie było na

świecie geniusza w jakiémbądź powołaniu, któregobyśmy przymiotów i właściwości nie mogli odnaleść w drobnouchnéj, rozumié się, częścce u innych ludzi. Któż bo nie jest do pewnego stopnia matematykiem, artystą, filozofem i t. d.? Geniusz nie zależy więc na jakości lecz na ilości, czyli na stopniu. Uspodobienia, zdolności, talenta, są wszędzie; wyróżnienie dopiéro z pomiędzy tłumu osiąga się przez stopień, taki przynajmniej, któryby zakres usposobień powszechnych przechodził, wywyższał się nad poziom, stwarzał pomysły nowe, niebywałe, oryginalne, potężne. Rezultat ten zależy od stopnia, a więc od napiętości sił umysłowych, działających w pewnym kierunku, wyrabiającym sobie tor stały; czyli, w zwrocie do saméj poezyi, fantazyja owa wtedy tylko uważa się za poetycką, za wyższą od fantazyji powszechnéj, jeśli będzie miała te przymioty potęgi wyższej, jeśli będzie *twórczą*, a więc zdolną produkować to, czego nie było.

Fantazyją taką, w zastosowaniu do poezyi, autor obecnej książki scharakteryzował w jéj właściwościach w sposób elementarny, mogący się przydać do wykładu poetyki, jako zapełniający brak podobnej treści w naszej literaturze pedagogicznej. Nie sądzimy jednak, ażeby jego wykład fantazyji mógł rościć pretensyą do miana rozbioru psychologicznego, zwłaszcza po rozprawie innego młodego autora poświęconéj wyłącznie *Genezie Fantazyji*, w znaczeniu powszechném. Jedynym ustępem, na zasadach filozofii nowéj objaśniającym psychologicznie działanie fantazyji, jest wykład tworzenia się i funkcji skojarzeń bezwiednych w zastosowaniu do poezyi; pod każdym innym względem jego opis fantazyji jest czysto empirycznym, a nawet co do *natchnienia* banalnym. Nikt nigdy jeszcze nie mógł powiedzieć, zkąd poecie lub artyście przyszło natchnienie do tego lub owego obrazu i sam nawet twórca, jeśli może o czém zaświadczyć, to tylko o podbudzeniu bezpośredniém; ale cóż to znaczy? Ażeby podbudzenie to mogło mieć miejsce, potrzeba długiego szeregu faktów poprzednich; który zaś właściwie był z nich ojcem natchnienia, o tém nikt, nawet sam twórca wiedzieć nie może, a domysły nie stanowią zasady. Prędzój zgodzilibyśmy się na to, że natchnienie dojrzewa w poezyi zarówno powoli, jak i w innych powołaniach, a moment wybuchu jest tą chwilą dojrzałości, zarówno u twórcy *Fausta*, jak u Kopernika i Newtona.

Z zastrzeżeniem więc przyjmując uwagi autora o natchnieniu, co nie ubliża bynajmniej trafności, z jaką usiłował wykazać ogół żywiołów wchodzących w skład twórczości poetyckiej, z rozgatunkowaniem ich na główne i pomocnicze, godzimy się zupełnie na zdanie jego, nowe rzec można, a przynajmniej całkiem przeciwne Wiszniewskiemu (charaktery) o improwizacyi, i zgodne z opinią Kremera. Sprowadza on ten rodzaj poetyzowania z wysokiego piętła, na którym go dotychczas stawiano, oświadczając, że improwizacye „zależą tylko od wielkiej erudycyi, od wielkiej wprawy i od daru szybkiej rozwagi.” I rzeczywiście; ponieważ, jak widzieliśmy, poeta myśli obrazami, poeta potrzebuje być natchnionym w chwili tworzenia, a nie mogąc jednemu i drugiemu stanowi

ulegać w każdej chwili życia, jest tym samym poetą w pewnych tylko chwilach. Jeżeli improwizacya trafią na taką chwilę, będzie poetyczną, jak ta, która ozdabia *Dziady*; ale improwizacye odbywane na zawołanie, o każdej porze dnia, bez względu na specjalny nastrój duszy, niczem innem być istotnie nie mogą, tylko owocem wprawy wierszowej i szybkiej kombinacyi myśli; są to, jak dobrze autor powiada „syllogizmy okute w rymy i odziane wzorzystym płaszczem poezyi.”

*Kazimierz Kaszewski.*

*Literatura w Galicyi*, przez Władysława Zawadzkiego. Lwów. Nakładem Władysława Webera. Z drukarni Wł. Łozińskiego, 1878 r. (w 8-ce, str. 158).

Autor kreśli nam w tej monografii obraz literatury w Galicyi z lat 76, to jest od pierwszego zaboru tych ziem Rzeczypospolitej przez Austryą w r. 1772, a doprowadza do r. 1848.

Praca to z wielu względów szacowna i ważna, albowiem nietylko nas zaznajamia z ruchem umysłowym Galicyi, ale zarazem tłumaczy powody małego rozwoju piśmiennictwa, i rozbudzenia się ducha, w tej atmosferze ciasnej, dusznej, którą sprowadziły wypadki ówczesne, rzucające 6,000,000 ludności Rzeczypospolitej pod niemieckie panowanie. System germanizacyi do razu nacisnął, za pomocą organizacyi szkół, wprowadzeniem jako urzędowego języka niemieckiego i środkami administracyjnymi, które najdzielniej posługują do zamierzonych celów. Smutny to i bolesny obraz. Kraina ta przez pół wieku, bo do 1820 r. nie miała swojej literatury, pod naciskiem niemieckiej: pojedyncze usiłowania i prace jednostek, przebłyskują tylko kiedy niekiedy jak błędne ogniki, ale panującego w ogóle letargu poruszyć do zbudzenia się nie mogą.

Nie było drukarni ani księgarni, tych podpór głównych umysłowego życia. Uniwersytet w którym wykłady odbywały się przeważnie w języku niemieckim i łacińskim, zachęcać kształcącej się młodzieży, do pracy nad literaturą ojczystą nie mógł. Kiedy poczęto wreszcie myśleć nad ratowaniem mowy krajowej i rozbudzenia umysłowego, przedewszystkiem przedsięwzięto wydawnictwo pism czasowych, jakkolwiek wiedziano o przeszkodach, które zwalczać należało. Po gazecie francuzkiej *Gazette de Leopol*, po niemieckich pismach, pojawia się wreszcie polski organ *Gazeta Lwowska*, z dodatkiem literackim *Rozmaitości*, których redakcyą prowadził J. N. Kamiński.

Wpółród tego uspienia umysłowego, teatr lwowski był z drugiej strony jedynem miejscem, gdzie dla wszystkich, brzmiał swobodnie język polski, gdzie młode pokolenie przysłuchiwało się ojczystej mowie, i patrzyło rzewnie na żywe postacie, które nieraz odtwarzały typowe

wizerunki ich przodków, i przynosiły wspomnienia z zagasłej przeszłości.

Dwaj znakomici mężowie stanęli na straży tej świątyni: Aleksander hr. Fredro i Jan Nepomucen Kamiński. Pierwszy zasilał tę scenę wyborowemi utworami swego pióra, gdy drugi jako dyrektor podtrzymywał byt jego i istnienie, staraniem, pracą, ofiarą i piórem. Okres ten zaczął się w r. 1810. Kamiński przez ćwierć prawie wieku był nieprzerwanie dyrektorem teatru lwowskiego. Wyuczył on i wychował sobie, cały zastęp zdolnych artystów tworzących trupę dramatyczną, z którą mógł występować zarówno w komediach wyższych jak w najpoważniejszych dramatach.

Autor monografii cały drugi rozdział słusznie poświęca teatrowi lwowskiemu, Fredrze i Kamińskiemu, oceniając wpływ przeważny, jaki wywierali na społeczność galicyjską. Tu tylko i na kazalnicy, mieszkańcy Galicyi mogli słyszeć rodzinną mowę.

Pomijamy bibliograficzne wspominki, wydawanych czasopismów; były to objawy mniej może stanowcze, jak następne, ale kto wie czy nie gotujące im drogę.

Bo oto naraz pojawia się grono liczne współpracowników utalentowanych w piśmie zbiorowem *Haliczanin* pod redakcją Walentego Chłędowskiego w 1830 r. W nim starsi literaci jak Jan Nepomucen Kamiński i Aleksander hr. Fredro, występują obok szeregu młodych pisarzy, jak A. Bielowski, dwaj bracia Józef i Leszek Borkowsy i wielu innych.

Autor niniejszej monografii, dzieli na trzy okresy objawy literatury w Galicyi: pierwszy, świetnie zamyka *Haliczanin*, i zwiastuje nową erę rozbudzenia umysłowego. Okres ten najuboższy tak w piśmie jak w uzyskaniu plon literacki.

„Literatura (pisze autor) dźwiga się z niemocy, szuka sobie torów właściwych. Życie budzi się dopiero, stąpa nieśmiało jak dziecko na paskach. Ubóstwo widzimy jeszcze wielkie w tych usiłowaniach stworzenia literatury. Karmi się ona po większej części jałmużną u obcych zaczerpniętą, przedrukami, tłumaczeniami i naśladownictwem. Teatr, poezya, powieść usiłująca przywdziać barwy historyczne; historia ograniczająca się po większej części na podaniu niesprawdzonem krytycznie, lub szczegółach archeologicznych; tendencye naukowe w niemowlęcym zarodzie, objawiające się zwłaszcza pod koniec tego okresu dążnością ku badaniom metafizycznym, wślad za przeważającym wówczas kierunkiem filozofii spekulacyjnej niemieckiej: oto są główne cechy pierwszego tego okresu, którego ostatniem słowem był *Haliczanin*.”

Ale dodajmy, że to ostatnie słowo było objawem dojrzałości literackiej w tych utworach, które wypełniają dwa tomy tego pisma zbiorowego. Tu znajdujemy z rozkoszą duchową, najpiękniejszy kwiat poezyi Aleksandra hr. Fredry, scenę dramatyczną *Obrony Olsztyna*; tu Bielowskiego pierwsze próby poetyczne, jak rozprawy filozoficzne

samego redaktora, jasno i zrozumiale skreślone. Jest i obszerna rozprawa J. N. Kamińskiego *O filozoficzności języka polskiego*, w obronie której, gorącym słowem przemawia p. Wł. Zawadzki.

Okres pierwszy, który słusznie autor nazywa okresem przygotowawczym, trwał od zeszłego stulecia, to jest pierwszego zaboru kraju przez Austryę po rok 1830. Nie rozumiemy dlaczego p. Wł. Zawadzki przeciąga go do r. 1848, kiedy już ruch żywszy w Galicyi się obudził, kiedy objawy życia umysłowego wybijały wymownie w takich publikacjach jak *Haliczanin*, *Ziewonia* A. Bielowskiego, *Prace literackie* Józefa Borkowskiego i w. i. W tym właśnie osmnastu lat przeciągu, występują już znakomici pisarze galicyjscy, jak pomieniony Bielowski, Lucyan Siemieński, dwaj Borkowscy, powieściopisarz Józef Dzierzkowski, i z pierwszymi historycznymi pracami Karol Szajnocha. Przeciąg czasu tych lat osmnastu, powinien zdaniem naszym, oddzielny okres stanowić w obrazie ogólnym rozwoju literatury w Galicyi.

Zajmujący znajdujemy tu ustęp o zebraniach literackich u Augusta Wysockiego, które przeważnie wpływały na ruch umysłowy i zajęcie piśmiennictwem ojczystym.

Gdy tak się budzi życie we Lwowie i zachodniej Galicyi, Kraków od chwili przyłączenia go do Galicyi w r. 1846, zachował pewne odrębne cechy, odróżniające go od Lwowa i na osobnym stawiające go stanowisku.

„Kraków (mówi autor) w literaturze galicyjskiej, jest wyrazem kierunku poważnego naukowego. Niema tu tyle wrzawy i swarów dziennikarskich co we Lwowie. Praca literacka krzewi się na gruncie naukowym, koncentruje się jak dawniej w Towarzystwie Naukowym, tak dzisiaj w Akademii Umiejętności i Akademii Jagiellońskiej: szczyt się imionami pisarzy i badaczy, jak prezes Akademii Majer, Szujski, Tarnowski, Estrejcher, lub zmarli niedawno Kremer, Skobel i inni. Wyrazem dziennikarstwa tutejszego jest jedyny dziennik polityczny *Czas*, który przetrwał rozmaite koleje w trzydziestoletnim już blisko ciągu swego istnienia, niedawszy się nigdy sprowadzić z wytkniętego kierunku, zachowując zawsze poważny i konsekwentny pogląd, a zarazem przyzwoitość tonu, w najdrażliwszej nawet polemice, które to przedmioty zjednały uczucie i poważanie ze strony najzacieńszych nieraz przeciwników. Wychodzący w Krakowie od lat dziesięciu *Przegląd Polski* jest wprawdzie wyrazem pewnej koteryi, której zdań politycznych a czasem i literackich poglądów, można nie podzielać; niepodobna wszakże odmówić temu pismu wielkiej wartości literackiej: posiada ono artykuły wychodzące z pod pióra najlepszych pisarzy współczesnych treści literacko-krytycznej i historycznej. Głównym wszakże wyrazem prac naukowych, badań na polu umiejętności i poważnego ruchu umysłowego, są wydawnictwa Akademii Umiejętności i podobnie jak przedtem były: *Roczniki Towarzystwa Naukowego*.”



Ciekawe i zajmujące szczegóły podaje nam autor o pracownikach mniej znanych, mniej rozgłosu mających, jak Wacław Zaleski, wydawca najbogatszego (do czasów Oskara Kolberga) zbioru pieśni ludowych z melodyjami zebranymi przez Karola Lipińskiego, Żegoty Pauli, Stanisława Jaszowskiego, Adama Górczyńskiego pod pseudonimem Jadama z Zatora. Rozdział VI poświęca pan Władysław Zawadzki prawie wyłącznie, wystąpieniu na pole literackie Augusta Bielowskiego i jego działalności, przejściu jego z poezji na stanowisko badacza dziejów krajowych, gdy rozpoczął mozolne studia, nad przygotowaniem pomnikowego dzieła *Monumentów*. Bielowski wziął sobie za zadanie rozwinięcie krytyki historycznej „sprowadzić naukę historii na grunt umiejętny, porównawczo krytyczny, i podniósł głos w obronie metody, będącej jedyną właściwą drogą, badania naukowego. W tym duchu napisał kilka rozpraw, wykazujących konieczność uciekania się wprost do źródeł współczesnych, i dobierania się prawdy, przez porównawczo-krytyczne sprawdzenie zawartych tam podań i wiadomości. A chcąc słowem i czynem wdroyć zamierzoną reformę, zabrał się do opracowania sposobem krytycznym początkowych dziejów polskich. Postanowił przyłożyć najprzód rękę do dziejów bajecznych, usiłując dociec, ażali przez porównanie krytyczne podań naszych kronikarzy z podaniami i wzmiankami, zachowanymi w starych obcych pisarzach, nie da się wysledzić pewien logiczny dziejowy wątek, w tej baśni tradycyjnej, nie mającej napozór ani związku, ani historycznej podstawy? Wytknąwszy sobie cel taki, rozpoczął Bielowski niezmiernie rozległe studia porównawcze, chcąc aby dzieło jego było, pod względem krytyki historycznej, ile tylko można dokładne, wyczerpujące. Z tego powodu praca szła nader pomалу i zajęła przeszło dziesięć lat czasu. Dla jednej wzmianki, dla jednego ustępu potrzeba się było udawać o odpis i podobiznę rzeczonoego ustępu, lub całego rękopismu do bibliotek, i czekać miesiące całe na ich przybycie z Petersburga, Sztokolmu, Rzymu. Owocem tych badań było wydane w r. 1850 we Lwowie obszerne dzieło: *Wstęp krytyczny do dziejów Polski*.“

W *Monumenta Poloniae historica* położył kamień węgielny dziejopisarstwu naszemu. Historyk dzisiejszy, przystępujący do kreślenia całości dziejów narodu, nie będzie już potrzebował tracić czasu i pracy na odszukiwanie rozrzuconych materyałów, skoro ma je tutaj razem zgromadzone, a przytém krytycznie już rozpatrzone i objaśnione. W *Monumentach* Bielowskiego są pomieszczone nietylko najdawniejsze *Roczniki* i inne materyały historyczne, ale nawet urywkowe ustępy i wzmianki, odnoszące się do dziejów polskich, znachodzące się w najdawniejszych pisarzach starożytnych. Jestto najbogatszy skarbiec dziejowy, jaki posiada literatura nasza, na wzór Pertza *Pomników dziejowych Germanii*. Dwa tomy tego szacownego, a w rozmiarach olbrzymich, dzieła, wydał za życia swego Bielowski; do trzeciego zgromadził materyały, rozpoczął druk nawet pierwszych arkuszy, gdy śmierć niespodziana położyła kres jego dalszej działalności.

Obok Bielowskiego, jako wielce wpływowego na rozwój i postęp literatury w Galicyi, autor stawia słusznie Wincentego Pola. Cały rozdział VII w swym Pamiętniku poświęca autorowi *Mohorta*. Nie zdarzyło nam się nigdzie czytać tak trafnego i charakterystycznego wizerunku tego poety i etnografa, jak go tu mamy. Szczegóły biograficzne łączą się tu umiejętnie z jego działalnością literacką, utworami pióra, i przeważnym wpływem na społeczność galicyjską. W tym zarysie, jak w z wierszadzie, staje przed nami postać Pola, z całą zasługą którą uwieńcza wspomnienie swoje.

Nie możemy pominąć milczeniem bardzo trafnej uwagi przy życiorysie Pola, jaką czytamy na str. 79:

„Szkoda, że zazwyczaj piszący dzieje literatury, nie starają się zaznajomić czytelnika z bliższymi stosunkami i wypadkami, pod których wpływem wyrabiał się kierunek umysłowy znakomitych ludzi, zajmujących naczelne w literaturze stanowisko; że pomijając to właśnie, coby nam pozwoliło przejrzeć psychiczną genezę ich dzieł, poprzestają na zanotowaniu miejsca i roku ich urodzenia i śmierci lub ożenienia, tudzież daty dzieł wydanych i t. p., urzędowych niejako szczegółów, mniej w istocie rzeczy ciekawych, niżeli treściwe np. skreślenie codziennego otoczenia, w których wzrastali wielcy ludzie, i tych przeszćód i pomysłnych pobudek, pod których wpływem wyrabiał się ich geniusz w tym lub owym kierunku. Mojem zdaniem, monografie podobnego rodzaju byłyby cennym dziejów literatury skarbem, a na wszelki sposób ciekawym dla niej materiałem.“

Tą uwagą powodowany, w tym właśnie kierunku kreśli biografią Pola, i wykazuje, że nie tylko jako poeta stanął wysoko w naszej literaturze, ale także jako prozaik i uczoney.

Wielka szkoda, że autor, jako dobrze obeznany z życiem i otoczeniem znakomitych pisarzy, nie zastosował powyżej przytoczonej uwagi własnej do ustępów, w których mówi o Aleks. Fredrze, J. N. Kamińskim i innych.

Następnie, dając nam wizerunek obozu literackiego, który zaczął się tworzyć od chwili pojawienia się noworocznika *Ziewonii* Bielowskiego, przedstawia Józefa Borkowskiego jako redaktora dwu znanych publikacji: *Prac literackich* i *Albumu na korzyść pogorzalców Rzeszowa*. Obok Józefa wymienia brata jego Leszka Borkowskiego, autora *Niepowieści* i *Nierozprawy*, a obok tego *Parafianščczyzny*, dzieła, które wstrząsnęło całą społecznością galicyjską i rozchwyttane chęciwie zostało w krótkim przeciągu czasu. Nie przepomina i o Dominiku Magnuszewskim, który przybywszy z nad brzegów Wisty do *Starego Pokucia*, między Dniestrem a Prutem, złączony przyjaźnią z Bielowskim i braćmi Borkowskimi, był jednym z najdzielniejszych współpracowników w dokonanych publikacjach.

Pod tytułem *Obóz minorum gentium* mieści Stanisława Jaszowskiego i jego dwa pisma zbiorowe: *Słowianin* i *Dniestrzanke*; poświęca też wspomnienie badaczowi dziejów Lwowa i Rusi Czerwonój, Dyonizemu

Zubrzyckiemu, a przytém obszerny ustęp Zakładowi narodowemu Imienia Ossolińskich we Lwowie. Zajmujący to wielce ustęp, w którym widzimy, że pomimo zatwierdzonej ustawy przez najwyższą władzę, stawiano przeszkody na każdym kroku, dążące do zatraty téj instytucji naukowej. Dyrektorowie jego byli ubezwładnieni od czasu Stotwińskiego, za którego zamknięto ten zakład. Działalność jego na oświatę i literaturę słabo musiała się objawiać. Siedm lat bez przerwy zamknięty, nosił tylko nazwę swoją. Ale gdy złe czasy przeminęły, powołany na dyrektora Adam Kłodziński, rozumiał dobrze swe obowiązki i zadanie téj instytucji, że miała stanąć na czele naukowego ruchu i postępu, stać się jego ogniskiem i kierownikiem. Znalazł tóż niemałą pomoc w Gwalbercie Pawlikowskim, zastępcy kuratora, mężu wysoce ukształconym i znawcy literatury. Kłodziński rozpoczął wydawać nowe czasopismo: *Bibliotekę Zakładu imienia Ossolińskich*, wezwawszy wszystkie poważniejsze w kraju pióra, wszystkich oddanych pracy naukowej. Szczegóły rozwoju tego pisma i jego dalsze prowadzenie, pomijamy. Ostatnią publikacją pod tymże tytułem, pod wyłączną redakcją Augusta Bielowskiego, wspomnieć należy, gdyż wtedy organ ten należał do najlepszych pism polskich. Całość jego zamyka się w XII sporych tomach.

Ze wspomnieniem Zakładu imienia Ossolińskich wiążą się imiona zasłużonych pracowników i badaczy na polu historii, bibliografii i filologii: jak Batowskiego, Stanisława Przyłęckiego, Jana Nepomucena Deszkiewicza, Maurycego hr. Dzieduszyckiego, Aleksandra i Kazimierza hr. Stadnickich, Karola Szajnochy i Wagilewicz.

Ostatni rozdział Pamiętnika p. Wład. Zawadzkiego poświęconym jest *Dziennikowi mąd paryżkich* majstra krawieckiego Tomasza Kulczyckiego, który pod redakcją A. Bielowskiego i Jana Dobrzyńskiego, stał się wpływowym organem na społeczność galicyjską; poparty przez dzielnego powieściopisarza i krytyka, jakim się okazał Józef Dzierzkowski, i nowo występującym poetą w całym znaczeniu tego wyrazu, Kornel Ujejskim. Rozwój i wzrost, oraz wpływ tego *Dziennika mąd*, który w rękach umiejętnych stał się jednym z najcelniejszych i najżywotniejszych organów prasy galicyjskiej, wzrost przytém czasopisma Zakładu Imienia Ossolińskich pod redakcją W. Pola, wspomnienia *wieczorów literackich* we Lwowie, i przybycie Liszta do tego miasta, wraz z *wystawą obrazów*, stanowią ostatni rozdział Pamiętnika p. Wład. Zawadzkiego.

Cenny to wielce materyał dla historyka literatury krajowej, skupiający w sobie obraz literatury w Galicyi, jakeimi szła drogami, budząc się z letargu długoletniego, przechodząc lata dziecięce, aż do dzisiejszego rozkwitu męskiego i dojrzałości.

Na podstawie tego Pamiętnika, przybywa do dziejów literatury polskiej ustęp obszerny a zajmujący, obudzenia się życia na tém polu, które leżało odłogiem lub zarastało chwastami, gdy obecnie nie brakuje i plonu z pożywnym ziarnem, i kwiatów pełnych barwy i woni.

Zwracamy uwagę sz. autora, że mówiąc o Janie Nepomucenie Kamińskim, nienależało pominąć *Przypadku na odpuszcie*, który do najwyborniejszych humorystycznych utworów w literaturze naszej należy, i pozostanie zawsze w swój wartości.

Streszczając sprawozdanie nasze o tej nowej pracy p. Wład. Zawadzkiego, polecamy ją pilnej uwadze miłośników literatury krajowej. Charakterystyka kilku pisarzy, jak Al. Fredry, J. N. Kamińskiego, a głównie też W. Pola, D. Magnuszewskiego i Józefa Dzierzkowskiego, odznaczają się nowością poglądu i trafnym ocenieniem stanowiska każdego w zawodzie ich działalności. Tu poznajemy w jednym obrazie: zacne usiłowania, troskliwość o język ojczysty, o przebudzenie ze snu ciężkiego, w jaki popadła społeczność galicyjska, przyciśniona gromem, który niespodziewanie z pogodnego napozór nieba spadł, i wszystko w ruinę obrócił. Apatya długi czas trwała, zanim z ciężkiego letargu przetarła oczy i zaczęła się rozpoznawać w swoim nieszczęśliwym położeniu. Nawiązanie strun zerwanych lekko nieprzyszło; to też obecnie mamy obowiązek ze współczuciem i uznaniem spoglądać na działalność rozwijającą się szczęśliwie w tej społeczności, dźwigającej się z upadku duchowego. Pamiętnik p. Wład. Zawadzkiego, o którym mówimy, zaznajamia nas bliżej z usiłowaniami zacnymi w tym kierunku, i z tego powodu praca jego ma wielkie dla nas znaczenie.

Pod względem wykonania jej odbija jednakże brak jednolitości: gdy jedne rozdziały noszą na sobie charakter pamiętnikowy, inne są wykończonemi studjami estetycznemi. Żałować przychodzi, że autor jednej lub drugiej strony stale się nie trzymał: w formie pamiętnikowej pozyskalibyśmy więcej zajmujących szczegółów, rzucających nie małe światło na czas właściwy i atmosferę gniołącą, coby nie przeszkadzało i pogładowi estetycznemu na pisma i utwory pisarzy galicyjskich. Monografia ta, spodziewamy się, że doczeka się niedługo drugiego wydania, szczegóły brakujące będą mogły ją uzupełnić, niedostatki wyrównać, ażeby całość pozostała bez zarzutu i w całej pełni wyszła jak należy.

K. Wł. W.

---

*Skorowidz Królestwa Polskiego czyli spis alfabetyczny miast, wsi, folwarków, kolonii i wszystkich nomenklatur w guberniach Królestwa Polskiego, ułożony i wydany przez I. Zimberga. Dwa tomy w 4-ce, Warszawa, 1877 r. Tom I str. 93 i 426, tom II str. 355.*

Dzieła tego rodzaju co powyższy *Skorowidz* są ważne pod względem geograficznym, i statystycznym a nawet historycznym i etnograficznym. Względnie do ziem byłej Rzeczplitej mamy dosyć szczegó-

łowych inwentarzów i spisów. Mamy: 1) w *Büschings Magazin* (XXII Theil): *Verzeichniss aller adelichen, geistlichen und königlichen Doerfer in Polennach den Woïwodschaften und Districten etc.* 2) *Verzeichniss aller Ortschaften des Bromberger Regierungs-bezirks*, Bydgoszcz, 1818 r.; 3) podobne spisy departamentu poznańskiego z r. 1841 i wielu lat następnych aż do bardzo szczegółowych prac statystycznych najnowszych; 4) *Opisanie Księstwa Poznańskiego* wydane w Lipsku 1846 r. ze spisem i szczegółową statystyką wiosek; 5) *Tabela miast, wsi, osad Królestwa Polskiego z wyrażeniem ich położenia i ludności*, wydana w Warszawie 1827 r. przez komisją rządową spraw wewnętrznych i policyi; 6) *Skorowidze Galicyi*, wydawane we Lwowie, Krakowie i Przemysłu; 7) *Sumaryuze królewsczyzn*, np. wydany przez Eligiego Piotrowskiego r. 1862 w Żytomierzu, Wejnerta w Warszawie r. 1877 i dawniejsze; 8) *Regestra poborów podatkowych*, np. ogłoszony przez Wojciecha Kętrzyńskiego w *Rocznikach Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk*; 9) *Opisy powiatów*, np. Borysowskiego przez Tyszkiewicza, Wasylkowskiego przez Rulikowskiego, Radomskiego przez Siarczyńskiego, Rossieńskiego przez I. B. i innych, tudzież dawnych ziem np. Bielskiej i Łomżyńskiej przez Z. Glogera; 10) *Skorowidz miejscowości byłego województwa bractawskiego*; 11) *Atlas Zanonięgo* wydany roku 1772, który jednak nie posiada żadnej naukowej wartości. Wreszcie w języku rosyjskim wydane przez komisye włościańskie statystyczne spisy i podręczniki w dziewięciu zachodnich guberniach, tudzież przez komitet urządzający w Królestwie spis gmin z liczbą ich wiosek, dymów, pogłowa i t. d.

Ostatnią a najobszerniejszą pracą w tym zakresie jest wydany świeżo przez p. I. Zinberga *Skorowidz Królestwa Polskiego*, o którym napiszemy tu słów kilka, do czego poczujemy się w obowiązku tembardziej, że sami pracujemy od lat dziesiątka nad historyczno-statystycznym inwentarzem wszystkich miejscowości dawniej Rzeczypospolitej.

Na początku *Skorowidza* znajdujemy „Wykaz alfabetyczny gmin w Królestwie Polskiem z wymienieniem właściwego powiatu, gubernii, sądu gminnego i stacyi pocztowej oraz z wiadomościami o odległości od miasta powiatowego, o zakładach fabrycznych, szkołkach gminnych i liczbie ludności.“ Wykaz ten tysiąc trzystu kilkudziesięciu gmin, obejmuje ściśle zadrukowanych 70 stron, a względnie do niedokładności i trudności w dostaniu źródeł statystycznych w naszym kraju, opracowany jest sumiennie. W oznaczeniu ludności, gmin p. Zinberg widocznie posiłkował się najnowszymi wiadomościami, gdyż znajdujemy znaczne różnice przybytku w porównaniu ze spisem Komitetu urządzającego, wydanym przed dziesięciu laty. Różnice te atoli są niekiedy uderzające, jak np. w gminie Żarki widzimy w r. 1867 pogłowa 3571, a w lat dziesięć 7564; w gminie Żarnowiec z 3443 podskoczyła ludność na 8031. Różnice takie wszelakoż pozwalają mniemać, że albo po dwie gminy połączono w jedną, albo powższe cyfry są niedokładne.

Po wykazie statystycznym gmin następuje spis juryzdykcyjny sądów pokoju miejskich i sądów gminnych w guberniach Królestwa Polskiego z wykazem wszystkich miast i gmin składających okręgi sądowe. Dalej idzie wykaz powiatów pod względem sądownictwa, do jakiego okręgu zjazdu sędziów pokoju należą. A wreszcie rozpoczyna się dwutomowy alfabetyczny spis nomenklatur, miast, osad, wsi, folwarków, awulsów, kolonii, młynów i karczem z oznaczeniem położenia w odpowiednich rubrykach. Pod względem formatu i rubryk *Skorowidz* p. Zinberga podobny jest do *Tabeli* wydanej w r. 1827. *Tabela* ma rubryk *dziewięć* na oznaczenie: województwa, obwodu, powiatu, parafii, własności (prywatnej, duchownej lub rządowej), ilości dymów, ludności, odległości od miasta obwodowego i uwag niezapełnionych drukiem. *Skorowidz* ma rubryk *siedem* na oznaczenie: gubernii, powiatu, gminy, parafii, sądu, poczty i uwag w których tu i owdzie podana jest w wiorstach odległość od miasta powiatowego. Nie znajdujemy zatem ilości dymów i ludności, których to cyfr widocznie p. Zinberg osiąść nie zdołał oddzielnie dla każdej wsi i osady.

Już w prospekcie na *Skorowidz* rozesłanym w r. 1875, podał autor wiadomość, iż gdy *Tabela* zawierała 24,000 nomenklatur, to jego *Skorowidz* obejmować będzie o 9,000 więcej, bo 33,000. Na pochwałę autora możemy dziś zaświadczyć, iż cyfry obiecane nie były czczą reklamą ale sprawdziły się istotnie. Nie idzie wszakże zatem, żeby *Tabela* opuściła była 9,000 wiosek, lub podobna ilość siół przybyła w Królestwie w ciągu ostatnich lat 50. Tak wcale nie jest, *Tabela* z r. 1827 jest dziełem dokładnym i opuściła zaledwie *kilka* wiosek, a nowych siół, po jej wydaniu nie przybyło w Królestwie więcej nad setkę. Tylko p. Zinberg pomnożył swe dzieło spisaniem karczem, nowych małych osad, awulsów i folwarków, a tych rzeczywiście *Tabela* nie spisała dokładnie a nowsze czasy namnożyły ich w Królestwie bardzo dużo, do czego przyczyniła się nie mało reforma uwłaszczenia włościan, wynikłe z niej zmiany granic, separacye, podział dziedzictwa, rozdanie i rozprzedaż gruntów duchownych i t. p.

W prospekcie powyżej cytowanym wydawca składa podziękowanie wszystkim osobom które mu przyszły z pomocą. Zwraca się tu głównie do duchowieństwa i wymienia prałata Dorobisa w Sejnach, księdza G. Rzewuskiego w Płocku „którzy obszernymi i pełnymi różnymi zalet wypracowaniami swemi, dzielnie do osiągnięcia zamierzonej doskonałości dzieła dopomogli.“ Wydawca w tymże prospekcie nazwał *Skorowidz* „owocem zespolonych usiłowań ludzi sumiennych i dobrej woli.“ Co do nas, to sami pracując w podobnym lubo szerszym zakresie, mamy w ręku próberz do ocenienia wartości dzieła w tym rodzaju, a lubo nie sprawdzaliśmy każdej z 33,000 nomenklatur *Skorowidza*, to jednak mając np. spisane drobne pomyłki w *Tabeli* z r. 1827, nie objęte erratą do niej dołączoną, przekonaliśmy się że w *Skorowidzu* są one prawie wszystkie poprawione. Szczegół to dla recenzenta bardzo ważny. I tak, w *Tabeli* Mikułowice leżą w parafii Wojciechowi-

ce zamiast Wojcin; Rożenek w parafii Dąbrówka zamiast Dąbrowa; Owadów w parafii Wola zamiast Wsola; Lubienie w parafii Krymki zamiast Krynki; Żuków w parafii Skrwilno zamiast Skrzynno; Ciepła w parafii Wysokie zamiast Wysoka; Boiska w parafii Solca zamiast Solec; Szarbków w parafii Jędrzejowice zamiast Sędziejowice, Żurawki w parafii Surchów zamiast Jurków. *Skorowidz* te pomyłki sprostował. Szkoda jednak, że o wszystkich pomyłkach tego samego powieździeć nie można, i tak: wieś Szadurki (gniazdo Szadurskich) w *Tabeli* brzmi Sadzorki, w *Skorowidzu* wprawdzie nieco lepiej: Sadurki. Podleszycze dobrze są poprawione w *Skorowidzu* na Podlesice, ale za to parafia tej wsi Szreniawa błędnie pisana Szeniawą. Co do kilkunastu wiosek noszących ogólną nazwę Mierzejewo (gniazdo Mierzejewskich, herbu Szeliga w Ostrołęckiem), *Skorowidz* powtórzył pomyłkę *Tabeli* opuszczając nazwę główną a podając tylko szczegółową każdej z tych wsi. Przy wioskach zatem: Zamość, Janki stare i młode, Drwęcz, Przeczki, Borowce, Janczyki, Jaruuty, Wielgouchy, Repki, Wojsze, Tomasze, Czamrowizna i Bobin, powinno stać na początku Mierzejewo, jak to ma miejsce na mapach: kwatermistrzostwa i Chrzanowskiego. A Mierzejewo stara to siedziba, mamy ją w naszych notatkach już pod r. 1473 zapisaną. Uderza także w *Skorowidzu* brak erraty tomu drugiego. A jednak pomimo tych drobnych usterek, których moglibyśmy więcej wyliczyć, których zresztą niepodobna było autorowi uniknąć, wydawnictwo p. Zinberga należy do nader pożądaných i bardzo cenných nabytków. Przy dziele dodawana jest karta z nowym podziałem Królestwa.

Jeżewo, 28 stycznia, 1878 r.

Zygmunt Gloger.

*Sprawozdanie z czynności Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1877* (Lwów, z drukarni tegoż Zakładu, w 8-ce, str. 100). *Katalog broni w Muzeum Imienia Lubomirskich* (Lwów, 1876, w 8-ce, str. 78). *Katalog Muzeum Imienia Lubomirskich* (Lwów, 1877, w 8-ce, str. 158). *Dyaryusz legacji Jerzego Ossolińskiego, posła polskiego na sejm Rzeszy niemieckiej w Ratuszynie 1636 r.*, z polecenia Zakładu narod. Im. Ossolińskich wydał Aleksander Hirschberg, kustosz Biblioteki Ossolińskich (Lwów, 1877, w 8-ce, str. 92).

Za przykładem Akademii Umiejętności w Krakowie, która chlubi się już tylu ważnemi wydawnictwami na polu historii i literatury polskiej, i w starszym od niej Zakładzie narodowym Imienia Ossolińskich we

Lwowie, obudza się ruch żywszy. Sprawozdanie doroczne, w roku zeszłym z powodu nagłego zgonu dyrektora pomienionego Zakładu, ś. p. Augusta Bielowskiego, wstrzymane, obecnie wyszło właśnie za r. 1877, w którym ten mąż prawdziwej zasługi zakończył życie. Jako uzupełnienia do powyższego sprawozdania, mamy dwa katalogi, obejmujące opis muzeum i zbrojowni Imienia Lubomirskich, a nadto *Dyaryusz legacyi Jerzego Ossolińskiego*. Przy nim zaś znajdujemy zapowiedź ciągłej publikacji p. n.: *Biblioteka Ossolińskich. Zbiór materiałów do historii polskiej*, którą Zakład nar. Im. Ossolińskich zamierza corocznie ze swoich zbiorów ogłaszać, co najciekawsze i najważniejsze zabytki: jak pamiątki, dyaryusze, pewną zaokrągloną całość stanowiące korespondencye i t. p.

Czytamy dalej: „Pragnąc rzeczony wydawnictwo połączyć z dawniejszemi (staraniem ś. p. A. Bielowskiego wydrukowanemi), zaliczyliśmy do tej nowj seryi dziejowych źródeł trzy w ostatnich latach w obieg puszczone dziełka, z tego głównie powodu, że drukowane razem w *Sprawozdaniu*, nie doczekały się szerszego rozpowszechnienia, i ztąd publiczności mało są znane. Dlatego téż o ile liczba pozostałych egzemplarzy odbitek pozwalała, sporządziliśmy nową tytułową edycją takowych, w skutek czego obejmuje już *Biblioteka Ossolińskich* cztery zeszyty, a mianowicie: 1) *Pamiętniki Jakóba Pszonki i Inwentarz Skarbu Koronnego z roku 1607*. Lwów, 1874 (w 8-ce, str. 99); 2) *Pamiętnik księcia Antoniego Barnaby Jabłonowskiego, kasztelana krakowskiego*. Lwów, 1875 (w 8-ce, str. 107); 3) *Jerzego Ossolińskiego kanclerza w. kor. autobiografia*, obejmująca pierwsze 26 lat życia jego. Lwów, 1876 (w 8-ce, str. 153); 4) *Dyaryusz legacyi Jerzego Ossolińskiego*, o którym już wspomnieliśmy.

Na publiczném posiedzeniu dnia 12 października 1877 roku, po zagajeniu takowego przez Kazimierza hr. Krasieckiego, pan Klemens Kantecki odczytał szczegółowe sprawozdanie, tak o pracach przedsięwziętych i dokonanych, jako o darach otrzymanych dla biblioteki i zbiorów muzealnych; przedstawił stan obecny w cyfrach zbioru książek, rękopismów, jak inwentarz rzeczy muzealnych: liczbę osób z miasta pracujących w Zakładzie, korzystając z otwarcia czytelnj; wreszcie podał obraz stanu majątkowego Zakładu.

Następnie przemawiał dr. Wojciech Kętrzyński dyrektor Zakładu, poświęcając wspomnienie pamięci swego poprzednika ś. p. A. Bielowskiego, i jego działalności, tak dla dobra samego Zakładu, jak i na polu prac literackich.

Niebędziemy tu powtarzali słów dr. Kętrzyńskiego, gdyż w znám z Bibl. Warsz. studjum Ernesta Świeżawskiego znaleźli czytelnicy dostateczną wiadomość o życiu i pracach A. Bielowskiego; a o jego zasługach jako wydawcy *Pamiętników historycznych*, w jednym z następnych zeszytów naszj Biblioteki podamy tegoż pióra obszernie sprawozdanie.



Większą połowę broszury, o której mówimy, zajmuje „*Spis darów uczynionych dla Zakładu narodowego imienia Ossolińskich.*”

Z niego nabieramy przekonania, jak żywo społeczność galicyjską obchodzi byt, wzrost i rozwój pomienionego Zakładu, kiedy tak hojnie ofiarami rok rocznie wspierać go nie zaniedbywa.

Ścisłą łączność z wyżej wzmiankowanem sprawozdaniem, mają dwa *katalogi* Muzeum Imienia Lubomirskich.

Zgasty Henryk hrabia na Wiśniczu i Jarosławiu ksiązę Lubomirski, obejmując, w skutek umowy z Józefem hr. Ossolińskim, kuratorją Zakładu jego imienia, kierowany miłością dobra publicznego, przedsięwziął podnieść znaczenie téj instytucyi, włączając doń muzeum poświęcone zbiorom rzeczy historycznych i pamiątkowych, oraz dzieł sztuki. W tym celu przeznaczył wszystkie swe zbiory w księgach, obrazach, medalach, starożytnościach, bądź familijne, bądź przez się zgromadzone na użytek publiczny. Syn jego ś. p. ks. Jerzy Lubomirski, idąc śladami ojca, myśl tę rozwinął i w pewnym stopniu uzupełnił włączeniem do zbiorów muzealnych znakomitej kolekcji broni, przyjęciem i zatwierdzeniem planu muzeum co do układu w jakim się obecnie znajduje, jak niemniej poleceniem go opiece obranego przez się zastępcy hr. Kazimierza Krasickiego, pod którego zarządem uporządkowanem zostało. Tym sposobem, dzięki szlachetnej ofiarności dwu ludzi, którzy w danym czasie, wśród ogólnej niedoli i zwątpienia, nie zawahali się ukazać ziomkom drogę obowiązku, a z nim drogę ku lepszej przyszłości, dwie te instytucye Ossolińskich i Lubomirskich, z których jedna obejmuje bibliotekę i rękopisy, druga przedmioty muzealne, połączone obecnie, dopełniając się wzajem, stały się źródłem obfitém dla pracowników na polu nauk i sztuki, co więcej, budząc ducha i kierując lot jego ku celom pięknym i wzniosłym, utworzyły jeden z narodowych przybytków, który złożoną w sobie myśl wieków i uczucia narodu, w księgach, obrazach, wojennych ryzstunkach i pamiątkach minionej chwaty i kłęk, przekazuje potomnym.

Muzeum imienia Lubomirskich składają następane działy: przedmioty archeologiczno-historyczne: 1) wykopaliska z epoki kamiennéj i bronzowéj, ceramika, wykopaliska z czasów historycznych, starożytności, numizmatyka, dyplomy, autografy, pieczęcie, sfragistyka, wizerunki historyczne i starożytne dzieła sztuki: 2) przedmioty historyczno-pamiątkowe (sprzęty, klejnoty, bronie i t. p.); 3) dzieła sztuki (rzeźby, obrazy, ryciny); 4) rozmaitości.

Oba katalogi układał p. Edward Pawłowicz konserwator i do druku przygotował. W spisie zbrojowni, na czele mieści się broń sieczna, jak miecze, koncerze, szable; na ostatnich są często napisy, jak na szabli prostéj: *Nie włócz mię bez honoru, nie dobywaj mię bez racyi*. Na innych czytamy: imiona właścicieli tego oręża, jak *Karol ksiązę Radziwiłł wojewoda wileński*.

Piękny jest zbiór karabel; żałować przychodzi, że pan konserwator nie objaśnia czytelnika, jakie są właściwie cechy charakterystycz-

ne, różniące szable od karabeli, z których zabytki pozostały daleko starożytniejsze, zaczynając od karabeli Władysława Jagiełły, na której główni czytamy napis gockimi literami: *Vladislaus Jagello rex anno MCCCCXIII*. A więc karabela późniejsza tylko o trzy lata od bitwy pod Grundwaldem i pamiętająca rok związku państwowego, który stanowił o losie Polski i Litwy.

Daliej idą pałasze: augustówki, ostatnie z napisami: *Pro Deo et Patria, Vivat Rex et Polonia*. Autor katalogu, właściwych także cech szabli i augustówek nie podaje. Po długim szeregu broni siecznej polskiej, mamy opis broni obcej t. j. szabel i pałaszów rosyjskich, niemieckich, kawalerji morawskiej, angielskiej i w. i. Daliej podano szpady francuzkie, hiszpańskie, rapiry, kordelasy, tasaki, jatagany, kindżały i sztylety; po nich idą topory i toporki: w końcu buzdycany.

Broń palną stanowi zbiór bogaty: tu są pomieszczone pistolety, z zamkami kołowymi z XVII stulecia i rozmaite ich gatunki z naszego wieku; strzelby, zaczynając od najdawniejszych z zamkiem lontowym XVI wieku; sztucce, muszkiety, janczarki, karabiny, garłacze rozmaitych narodów, pomiędzy którymi odznaczone są polskie; zamykają ten poczet bogaty wiatrówki. Po strzelbie idą: hakownice, działa, łuki, kolczany, kusze, zbroje, hełmy, szyszaki, misiurki, kolczugi, wreszcie chorągiewki, ładownice i rzędy na konie.

Katalog Muzeum dzieli się na dwie części. W pierwszej objęty jest dział archeologiczno-historyczny. Wykopaliska podzielone na właściwe epoki: przedmioty historyczno-pamiątkowe. Wypuszczonym został tu dział historyczny, składający się z dyplomów, autografów, pieczęci, sfragistyki i numizmatyki, gdyż dla swęj obfitości tom oddzielnym katalogu stanowić będzie.

Część druga obejmuje dzieła sztuki: rzeźbę i obrazy. Zbiór tych ostatnich podzielono na dwa działy: artystyczny i historyczny. Pierwszy zawierający dzieła sztuki w rozmaitych jej rodzajach, umieszczono w sali posiedzeń; drugi, złożony przeważnie z dawnych portretów, w porządku chronologicznym umieszczono w Muzeum: płótna wyłączonej artystycznej wartości odznaczone są w katalogu.

Trzy te więc oddzielne publikacye, a łączące się ściśle z sobą, poznajamiamy nas, tak z bogactwem umysłowem przeszłości, w zamożnym księgozbiornie i rękopismach, jak z zabytkami mnóstwa pamiątek historycznych w Muzeum imienia Lubomirskich.

Pierwszy założyciel Instytutu naukowego Imienia Ossolińskich, oznaczając mu Lwów na główne stanowisko, nietylko pragnął, nim wpłynąć na oświatę, na rozszerzenie zamiętowania literatury ojczystej, ale pragnął, ażeby bogaty zbiór zebranych rękopismów, jakie zgromadził, został powoli ogłoszony drukiem, jako ważny przyczynek do historii polskiej. Wolę tę swą wyraźnie wypisał i przekazał. Długie lata upłynęły, a skutku téj myśli nie było: stawały rokrocznie rozmaite trudne do przebycia przeszkody. Te już szczęśliwie usunięto i zamierzone wydawnictwo, jak widzimy, zaczyna się rozwijać; wprawdzie w drobnych

jak na początek rozmiarach, ale z latami nie wątpimy, że się wzmoże i dojrzeje. *Dyaryusz legacyi* ma znaczenie jako źródło do historii samego Jerzego Ossolińskiego, jego stosunków z domem Rakuzkim i nie mało dodający zarysów do jego charakterystyki; a nadto zwraca uwagę, że daje możność śledzenia polityki polskiej, którą Władysław IV na zupełnie odmienne wprowadził tory, niż jego ojciec Zygmunt III.

„Nie miał on (jak wydawca mówi w *Słowie wstępne*) ani owego ślepego fanatyzmu, jakim się odznaczał smutnej pamięci ojciec jego, ani też nie podzielał jego uległości dla domu austriackiego, tak zgubnej w swoich następstwach. Władysław IV daleko lepiej pojmował swoje stanowisko, jako potomek rodziny Wazów, i sądził, że nierównie łatwiej odzyska tron swoich przodków, stając w szeregu sprzymierzeńców Szwecyi, niż najzawziętszych jej wrogów. Zdaje się, że tego rodzaju pobudki głównie skłaniały go do szukania związków z Francją, Anglią i Palatynem Renu; że one to przeważnie wpłynęły na zawarcie *Rozjemu sztumsdorfskiego*, pomimo usilnych przeciw temu zabiegów poła austriackiego: że wreszcie zamiar ożenienia się z królową szwedzką Krystyną i małżeństwo w Maryą Ludwiką, były wynikiem powyżej wyrażonych prądów politycznych.

Czy te domysły wydawcy *Dyaryusza* d-ra Aleksandra Hirschberga znajdą poparcie w poważnej krytyce, czas późniejszy okaże. My składając sprawozdanie o publikacjach przez zakład Imienia Ossolińskich wydanych, możemy się pocieszać nadzieją, że nie małą pomoc badacze dziejów krajowych, znajdą w ogłaszaniu następnie cennych rękopismów, w które tak obfituje pomieniona biblioteka. R.

## WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

## WARSZAWA.

*Luty 1878.* — Odczyty na rzecz Towarzystwa osad rolnych mają się rozpocząć od 10 marca r. b. Liczba ich wynosi 12, następującej treści: Dr. Włodzimierz Spasowicz mówić ma o *Wincentym Folu, jako poecie* (dwa odczyty). Dr. Karol Jurkiewicz, profesor i dziekan Uniwersytetu Warszawskiego: *O kamieniach drogich* (dwa odczyty). Dr. Aleksander Rembowski, literat, jeden odczyt p. n.: *Stanisław Leszczyński jako statysta*. Dr. Henryk Hoyer, jeden odczyt p. n.: *Pogląd na dawniejsze i tegoczesne podstawy nauki lekarskiej*. Dr. Antoni Białecki, prof. Uniwersytetu Warszawskiego, jeden odczyt: *O konwencji genewskiej*. Dr. Stanisław Tarnowski, prof. Uniwersytetu Jagiel-

łońskiego w Krakowie, trzy odczyty: *Dalszy rozwój poezji romantycznej polskiej*. (Czysty dochód z jednej prelekcji, stosownie do życzenia prelegenta, ma być ustąpiony na rzecz biędnych studentów Uniwersytetu Warszawskiego). Dr. Rostański Józef, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden odczyt p. n.: *O nocy S-to Jańskięj i kwiecie pa-proci*. Tadeusz Korzon, literat, jeden odczyt: *Historyk w obec swego narodu i w obec ludzkości*.

— Dziennikarstwo polskie w Galicyi przyszło do świetnego rozwoju. Spis wychodzących tam dzieł, zarówno jak i na Szlązku Austryackim, daje wyobrażenie o ruchu umysłowym w pomienionych prowincjach. We Lwowie wychodzą następujące czasopisma:

1. *Gazeta Narodowa* (redakcyja pp. Jan Dobrzański, Pl. Kosteczki, H. Rewakowicz, Agaton Giller, B. Spausta i inni);
2. *Dziennik Polski* (pp. Zajączkowski, dr. Szachowski, Milowicz, J. Lam, B. Czerwiński i inni);
3. *Gazeta Lwowska* (Władysław Łoziński). Dwa razy na miesiąc wychodzą;
4. *Dwutygodnik Polski* (pp. Romanowicz i Szachowski);
5. *Przegląd Lwowski* (ks. Ed. Podolski), tygodniowo;
6. *Gazeta Wiejska* (H. Stupnicki);
7. *Szczutek*, pismo satyryczno-polityczne illustrowane (pp. Zagórski, Stebelski i inni);
8. *Kuch Literacki* (pp. Giller, T. Żuliński, Pl. Kosteczki i inni);
9. *Tydzień* (pp. Bartoszewicz, Tretiak, Abakanowicz, Ochorowicz);
10. *Przyjaciel Domowy* (H. Stupnicki);
11. *Strzecha*, pismo illustrowane (pp. Bełza, Ordon, Zagórski). Pisma dla ludu dwa razy na miesiąc.
12. *Chata* (ks. Chołyński);
13. *Wieniec* (ks. Stojałowski), co tydzień;
14. *Piast*;
15. *Pszczola*. Pismo specjalne.
16. *Bartnik Postępowy* (dr. Ciesielski);
17. *Cosmos*, organ Towarzystwa Kopernika, dwa razy na miesiąc (dr. Radziszewski);
18. *Czcionka*, organ drukarzy (dwa razy na miesiąc);
19. *Biblioteka Stenograficzna* (raz na miesiąc);
20. *Ekonomista* (dr. Gottlieb, Fraenkel, Fryling), raz na tydzień;
21. *Prawnik*, miesięczne (dr. Czemeryński);
22. *Przegląd archeologiczny* (miesięczne);
23. *Przegląd Muzyczny* (p. Schwarz), miesięcznie;
24. *Przegląd Sądowy i Administracyjny*, tygodniowy (dr. Stemayer);
25. *Rolnik*, tygodnik;
26. *Szkoła* (L. Tatomir), tygodniowe;
27. *Miesięcznik* (ks. Janota), organ Towarzystwa ochrony zwierząt;
28. *Przyrodnik*;
29. *Łowiec*, organ Towarzystwa myśliwców;
30. *Strażnica*, tygodnik poświęcony sprawom ekonomiczno-społecznym (J. Gniewosz);
31. *Zgoda* (dr. B. Goldman), organ Towarzystwa „Dorsze-Szulem,” dążący do spolonizowania żydów;
32. *Towarzysz pilnych dzieci*, trzy razy na miesiąc (Wład. Bełza);
33. *Biblioteka Powieści i Romansów* (dwa razy na miesiąc);
34. *Wiadomości Kościelne*;
35. *Bonus Pastor*: dwa te ostatnie pisma dla duchownych wychodzą dwa razy na miesiąc;
36. *Dziennik rozporządzeń magistratu* (T. Romanowicz). W Krakowie: 37. *Czas*, gazeta codzienna;
38. *Biblioteka Umiejętności Przyrodniczych*;
39. *Czasopismo poświęcone Prawu i Umiejętnościom*;
40. *Przegląd Polski* (miesięczne);
41. *Przegląd Artystyczny*;
42. *Dyabel*;
43. *Harap* (oba pisma illustrowane humorystyczne, wychodzą co dwa tygodnio);

44. *Przegląd Lekarski* (co tydzień); 45. *Echo*, poświęcone literaturze, teatrowi i sztukom (raz na tydzień); 46. *Włocianin* (dwa razy na miesiąc). Na Szlązku Austriackim w Cieszynie: 47. *Gwiazdka Cieszyńska* (Stalmacha); 48. *Ewangielik*; 49. *Nowy Czas* (Stanisławski).

— Znane są już żywe krzątania i wydawnictwa przedsięwzięte na korzyść 50-letniego jubileuszu J. I. Kraszewskiego. G. Unger z zapowiedzianych 15 tomów pism tego autora, wydał tom pierwszy. Oddzielnie zawiązana Redakcyja pisma zbiorowego (o której działalności poniżej jój samėj podajemy odezwę), postępuje naprzód w swoim przedsięwzięciu. Druk jój daje darmo p. Gracyan Unger. Koszta papieru, oprawy, okładki i t. p., pokryte zostaną staraniem pp. wydawców, księgarzy i właścicieli drukarni, którym tyle dochodu pracami swými jubilat przysporzył. Oddzielnie od tych przedsięwzięć, za służoną firmą G. Gebethner i B. Wolff, zamierza wydać w przepysznej edycyi *Starą Baśń*, ozdobioną 24 ilustracyami wedle rysunków jednego z pierwszych naszych ilustratorów M. Andriollego. Dzieło to ukaże się w formacie jak *Marya* Malczeskiego z ilustracyami pomienionego artysty, w ozdobnej oprawie, i będzie stanowić album okazałe. Niezależnie od tych przedsięwzięć T. J. Rolla wydał broszurę p. n.: *Józef Ignacy Kraszewski. Z powodu pięćdziesięciolecia pracy i zasługi Jego dla społeczeństwa* (z portretem jubilata), napisał T. J. Rolla, w której podaje wiele szczegółów zajmujących do biografii tego pisarza, a zarazem i do charakterystyki. Rzecz napisana wielce zajmującym sposobem, a z każdego słowa i ustępu wybija zacna myśl i szlachetna, kierująca piórem T. J. Rolli, z prawdziwą czcią i uwielbieniem dla jubilata. Słowa te serdeczne, tchnące czystą miłością, wypowiedziane tak gorącym słowem, tak wymowne, że zaprawdę muszą być przyjęte przez twórcę *Witoloraudy* z wdzięcznością, i jako objaw czci narodowej, za pomyślną i szczęśliwą wróżbę zbliżającego się jubileuszu. Dziełko to nadto pozostanie ciekawą pamiątką obecną, albowiem skupia w sobie wszystkie objawy projektów i zamiarów ku uczczeniu niepracowanego pisarza.

— Zaczęły wychodzić zeszyty wielce zajmującego dzieła pod n.: *Wspomnienia z wojny w Hiszpanii i Rossyi w r. 1808—1812, przez generała Henryka Brandta*. Wyprawa Napoleona I do Hiszpanii nieszczęśliwie podjęta, a następnie walka już nie z armią, ale z całym narodem uzbrojonym, przedstawia sceny nietylko krwawe, ale dramatyczne. Pułki armii Księstwa Warszawskiego wysłane w pomoc chorągwiom francuzkim, brały w nich gorący udział. Mamy wiele pamiątek poświęconych przez polskich wojaków w tej kampanii, z której szczęśliwie powrócić do kraju zdołali. We wszystkich znajdujemy obok bitew, zwycięstw i klęsk poniesionych, ustępy romantyczne. I wspomnienia generała Brandta obfitują w nie niemało i przez to czynią to wydawnictwo nadzwyczaj zajmujące.

— J. I. Kraszewski w dalszym ciągu powieści historycznych, idących jednym ciągiem od *Starėj Baśni*, obecnie wykończa seryę nową

pod napisem *Piotr Dunin*: jest to postać w średnich wiekach naszych dziejów nadzwyczaj wydatna.

— Księgarz Ferdinand Hössik, który wydawnictwem *Biblioteki ilustrowanej dla młodzieży* położył zasługi, przygotowuje dla dzieci *Klechdy* i powieści ludowe ilustrowane, ażeby niemi zagraniczne w tym rodzaju publikacje zastąpić. Widzieliśmy ilustracye przygotowane w kolorowych rysunkach przez p. Szymanowskiego artystę dramatycznego do podania o czarnoksiężniku Twardowskim i przyznać musimy, że wywiązał się świetnie artysta ze swego zadania, biorąc pod ołówek swój sceny najwydatniejsze, o których tekst dołączonej powieści ludowej mówi.

— W *Bibliotece najcenniejszej literatury europejskiej*, wychodzącej przy *Kłosach*, rozpoczęty został nowy przedruk dzieł I. Krasickiego. Potrzeba tego nowego wydania oddawna uczuwać się dawała, gdyż wszystkie dawniejsze już wyczerpane zostały z obiegu handlu księgarskiego. Przedruk ten będzie zupełniejszy od pierwszej edycji przez Fr. Dmochowskiego, albowiem wejda tu i komedye autora nieporównanych satyr, bajek i wiele innych utworów.

— Zajmujące czytamy w *Echu* studyum na tle listów orientalisty osnute, pod napisem *Sękowski w korespondencji z Lelewelem*, przez A. Jabłonowskiego. Rzeczywiście studyum to oparte na oryginalnych listach Sękowskiego, jakie przysyłał ze Wschodu, młody wędrownik do naszego historyka Joachima, a przechowane starannie w zbiorach jego brata Prota Lelewela. W tej pracy szanownej, bliżej poznajemy się z wydatną w swoim czasie postacią Józefa Sękowskiego, wydawcy *Collectaneów z dziejopisów tureckich* do dziejów polskich, które żywe obudziły u społeczeństwa zajęcie.

— *Dzieje starożytne w opowiadaniach dla młodzieży* prz L. Szczerbowicz-Wieczora, opuściły już prasę drukarską. W dziele tém zawarte są dzieje ludów wschodnich.

— W *Gazecie Polskiej* znajdujemy zajmującą wiadomość o odkryciu nieznanego dotąd zabytku: jestto posąg królowej Bony, stojący w jednym z domów na ulicy Wójtowskiej. Ulica ta ciągnie się między ulicami Zakroczymską i Przyrynkem z jednej, a stokiem fortyfikacji cytadeli i Rynkiem Nowego Miasta z drugiej strony. Domy murowane, stojące niegdyś na prawej stronie pomienionej ulicy, począwszy od Wisły aż do Zakroczymskiej, jeszcze przed kilkunastu laty zostały rozebrane dla rozszerzenia plant fortecy. Na ulicy Wójtowskiej, po stronie lewej, stoi murowany dom o piętrze, oznaczony numerem hipotecznym 1864, policyjnym 1, dotyka koszar Sapieżyńskich, a jego pawilony mają front od ulicy Przyrynek. Kiedy książę Sapiecha mieszkał w swoim pałacu, w dzisiejszych koszarach, dom pod nr. 1, przeznaczony był na pomieszczenie służby i dworu księcia. Do dziś na dziedzińcu tego domu (dawniej ogródka), stoi posąg naturalnej wielkości, wykuty z kamienia szydłowickiego, dobrego dłuta, wyobrażający królową Bonę w koronie, z obnażoną do kolan lewą nogą: u jęj

stóp leży lew. Dawniej stały tam prócz Bony dwie figury pół-naturalnej wielkości, wykute także z kamienia szydłowieckiego, wyobrażające Adama i Ewę, lecz te niewiadomo przez kogo zabrane zostały. Dom ten przed rokiem 1830, był własnością Borettich, i przez następnych lat kilkanaście do nich należał; wówczas zabytkami opiekowano się należycie. W ostatnich czasach kamienica przeszła w posiadanie starozakonnego szynkarza, i ciężkie dla pamiątek historycznych nastąpiły czasy: królowa Bona stała się osełką do ostrzenia nożów i toporów. Znalazł się jednak amator, szanujący pamiątki przeszłości, ten posąg kupił za 15 rubli; gdy przyszło do jego zabrania z dziedzińca, lokatorki, od lat kilkunastu w tym domu zamieszkałe, sprzeciwiły się temu stanowczo. Otoczono posąg, podwyższono go w godności, mianując posągiem królowej Jadwigi, i oświadczono nowo nabywcy, że nie będzie wydany, że i nadal, ku pożytkowi i ozdobie domu, stać ma na swém miejscu. Przywiązanie to do pamiątek przeszłości, choć nieco spóźnione zasługuje na pochwałę, a to tém bardziej, że lokatorowie chcą złożyć skadkę, posąg otoczyć baryerą i od dalszego zniszczenia ochronić; chodzi tylko o to, aby właściciel chciał dobre chęci lokatorów zużytkować i do nich się przyłożyć.

— Dawny współpracownik *Biblioteki Warszawskiej* A. Wilczyński, który w tém piśmie pierwszy raz wystąpił na pole literackie, obrazkiem pełnym humoru i dowcipu p. n. *Kłopoty starego komendanta*, wydał obecnie we Lwowie nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, zbiór obrazków krajowych p. n. *Fotografie społeczne* we trzech tomach (Lwów 1878 r.). Wystąpienie swoje obecne, po długich latach milczenia, ostonił jakby tarczą pomienionych obrazków, gdyż na tytule czytamy, że fotografie te zebrane są przez autora *Kłopotów starego komendanta*.

— Korrespondent płocki podaje nam mazowieckie podanie o słynnym czarodzieju Twardowskim. „Niedaleko wsi Kamieńca w powiecie Mazowieckim, leżał niegdyś ogromny kamień, na boku którego wyobrażony był naturalnej wielkości jeździec na koniu z podniesioną ręką. Ten kamień z czasem tak wrosł w ziemię, że już nic nie było widać wspomnianego jeźdźcy, a nad ziemią miał więcej jak 4 łokcie wysokości. Parafianie w r. 1874, podkładając proch, rozerwali go na kawały i sprowadzili do budującego się kościoła w Mazowiecku. Powiadają, że Twardowski zrobiwszy z czartem zapis na swoją duszę, na Łysiej-Górze, znajdującej się zaraz za wioską Brzoski-Falki, położył w nim kilka warunków, między któremi znajdowały się dwa następujące: że wtedy Twardowski odda duszę, kiedy go szatan znajdzie w Rzymie i Wisłę zawali kamieniami. Niedaleko wsi Mystki-Rzym, położonej o pół mili od wioski Brzoski-Falki, była karczma *Rzym*, po której tylko teraz został zarosły w ziemię bruk. W tej karczmie, według podania, szatan napadł na Twardowskiego, pokazując mu pierwszy warunek. Powiadają, że kiedy szatan, chcąc wypełnić następnym warunk,

niósł wyżej wspomniany kamień, Twardowski ujrzawszy go, nucąc godzinki, konno mu zabiegał. Szatan zmęczony upuścił kamień, zostawiwszy na nim ze złości wyobrażenie Twardowskiego.

— Otrzymałą odezwę od redakcyi *Książki jubileuszowej* dla J. I. Kraszewskiego dosłownie podajemy:

„Dla uczczenia J. I. Kraszewskiego w pięćdziesiątą rocznicę pracy jego na polu piśmiennictwa, powzięto myśl, żeby niezależnie od wyboru pism jubilata, wydać książkę zbiorową, któraby stanowiła, o ile to być może, najwierniejszy wizerunek téj pracy we wszystkich różnorodnych, tak licznych jój gałęziach i razem z zasługami pisarza dała w nim poznać społeczeństwu człowieka w szczegółowych rysach jego żywota.

W skutek tego, główni przedstawiciele prasy i literaci, na zgromadzeniu dnia 3 stycznia zwołaném, wybrawszy z grona swego redakcyę, powierzyli jój wykonanie rzeczonéj myśli. Redakcyja ta, zajmąwszy się ułożeniem programatu książki jubileuszowej, postanowiła, że ma się ona składać: 1. ze studyów nad pojedynczemi odnogami działalności publicznej Kraszewskiego, jako powieściopisarza, poety, dramaturga, historyka, archeologa, etnografa filozofa, estetyka, krytyka, publicysty, redaktora, wydawcy i drukarza; 2. z bibliografii jaknajdokładniejszej wszystkich pism jego; 3. z życiorysu obrazowanego na szerszą skalę i 4. z artykułów epizodycznych, odnoszących się do rozmaitych epok jego żywota.

Niektóre z wymienionych powyżej działów, wzięli już do opracowania sami redaktorowie, resztę zaś powierzyli odpowiednim pisarzom, odznaczającym się we właściwych przedmiotach znawstwem i powagą zdania uznaną. Dla chcących wszakże uczestniczyć w téj pracy, pozostaje dość jeszcze pola, pożądane bowiem są oprócz tego wszelkie materiały biograficzne, czy to w kształcie wspomnień, pamiętników albo anegdot z życia jubilata, czy to w listach jego prywatnych, niemniej jak i rozbiory szczegółowych czynników, wchodzących w skład utworów powieściowych tego pisarza, wyjaśnieniu pewnych tendencyi, typów zbiorowych, postaci wybitniejszych i t. p.

Redakcyja takie materiały i prace, o ile odpowiadać będą celowi, przyjmie z wdzięcznością i prosi o uprzejme ich nadsyłanie pod adresem Antoniego Pietkiewicza, Nowy-Swiat Nr. 39, naznaczając termin ostatni na dzień 1 grudnia roku bieżącego; ktoby zaś pragnął poznać bliżej program książki, na żądanie będzie go miał udzielonym sobie od redakcyi.

— *Bibliografii XIX wieku* Karola Estrejchera wyszedł zeszyt IV, zamykający tom IV-ty, tego w olbrzymich rozmiarach dzieła. Obejmuje dalszy ciąg litery *T.* i całe *U*, które tom ten zamyka. Do ukończenia téj pracy pozostaje już tylko tom V, do którego materiały są w pogotowiu.

— Pomnikowa publikacyja wszystkich dzieł Długosza w r. b. ma być ukończona. Podjętą ona została przez ś. p. Aleksandra hr. Przech-



dzieckiego, a dokończoną przez pozostałych synów dostojnego badacza naszego. Tom pierwszy, zamykający całość, obejmie zarówno pogląd na całość wydawnictwa, jak zarazem życiorys Długosza, oraz drobniejsze jego prace. Tom V i ostatni *Jagiellonek*, Aleksandra hr. Przędzieckiego, w tym roku także ma już się ukazać.

— Z funduszu, przeznaczanego przez ś. p. Norberta Bredkrajca na konkurs dramatyczny poznański, rozstrzygnięty w czerwcu roku zeszłego, pozostało 900 marek, ponieważ przyznano jedną tylko pieniężną i to najniższą nagrodę. Z tego powodu komisya konkursowa wynurzyła życzenie, aby sumę tę przeznaczono na nowy konkurs, którego przedmiotem byłaby komedia obyczajowa o dążności moralnej, wytykająca śmieszności lub wady obecnych czasów. Zgodnie z tém postanowieniem, ogłoszony został obecnie konkurs na komedię wierszem lub prozą, odpowiadającą powyższemu warunkowi, najmniej w trzech aktach, aby mogła cały wieczór zapełnić. Komedia taka, uznana bezwzględnie za dobrą, otrzyma całą nagrodę w kwocie 900 marek. W braku bezwzględnie dobrego utworu, komisya konkursowa podzieli powyższą sumę między inne sztuki, jeśli te w przeważnej mierze odpowiadać będą warunkom konkursu, t. j. między najlepsze, i według ich wartości. W żadnym razie nagroda nie będzie niższa od 300 marek. Sztuki kwalifikujące się do nagrody pieniężnej, będą najprzód wystawione w teatrze poznańskim, a dopiero potem otrzymają nagrody, jeśli komisya się przekona, że sztuka równie dobrze wydaje się na scenie jak w czytaniu, i że pozyskała przychylny sąd znawców. Sztuki nie czyniące zadość warunkom żądanym i wymaganiom sceny, ale odznaczające się trafnym pomysłem, charakterystyką osób lub wzorowym stylem i udatnym opracowaniem, otrzymają pochwałę. Tłómaczone, albo już grane lub drukowane, albo te, które już ubiegały się gdziekolwiek o nagrodę konkursową, nie będą przyjęte. W skład komisji weszli pp.: dr. Rymarkiewicz, Stanisław Motty, Józef Kościelski, Władysław Bentkowski, Marcelli Motty, A. Sołtan, B. Studniarski, dr. Celiński, J. K. Zupański, Stanisław Koźmian, dr. W. Łebski i Hieronim Feldmanowski. Utwór, uwieńczony pieniężną nagrodą, autor zezwoli, oprócz pierwszej próby odegrać trzy razy miejscowemu teatrowi, bez żądania honorarium. Zresztą zostanie ta praca tak co do ogłoszenia drukiem, jak i co do oddania na inną scenę, zupełną własnością autora. Sztuki powinny być nadsyłane *franco* przed 1 października 1879 r. do Poznania, pod adresem: Hieronim Feldmanowski, nr. 25, ulica Młyńska.

— Konstanty Gaszyński, zmarły w r. 1866, znany z dziejów literatury i z tego, że nazwiskiem jego jako pseudonimem posługiwał się autor *Iridiona*, może być teraz nieco bliżej poznany przez ogół czytający u nas. Właśnie w tych czasach cenzura upoważniła sprowadzenie do kraju i sprzedaż niektórych jego utworów, mianowicie: *Listów z podróży po Włoszech*, powieści: *Pan Dezydery Boczek i sluga jego Pafnucy*, wreszcie dwu satyr wierszowanych: *Gra i karciarze*, oraz *Wyści-*

*gi konne w Warszawie*, wydanych razem pod ogólniejszym tytułem *Pro publico bono*. Pomiędzy temi utworami, listy odznaczają się żywością w malowaniu wrażeń doznanych na słonecznej ziemi włoskiej; satyry pisane płynnym wierszem, w wielu ustępach brzmią głęboką goryczą szlachetnego uczucia; ale najdosłowniejsza jest bez zaprzeczenia powiastka o panu arystokracie i słudze demokracji, którzy dostawszy się na obczyznę, zmieniają wyznanie polityczne i role. Smutny ten wizerunek, skreślony z głębokim angielskim humorem, temu jest smutniejszy, że podobno wprost wzięty z rzeczywistości krajowej, zaniesionej przez nieszczęścia, na bruk paryżki.



Dnia 18 stycznia r. b. w Krakowie zmarł *Józef Dietl*, doktor medycyny, dożywotni członek Izby panów, profesor i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek i dyrektor wydziału matematyczno-przyrodniczego w Akademii Umiejętności w Krakowie, członek Towarzystwa poznańskiego Przyjaciół Nauk i wielu towarzystw lekarskich, poseł na sejm krajowy i do rady państwa i przez lat kilka prezydent miasta Krakowa. Nietylko zostawił pamięć imienia swego w pracach naukowych ogłoszonych drukiem, ale na polu obywatelskiej pracy niezapomniane zasługi położył. Podniósł staraniem swoim zdrojowiska lecznicze w Galicyi. W przyszłym roku miał obchodzić 50 letni jubileusz swego zawodu lekarskiego, Opatrzność odmówiła mu tej pociechy. Pochowanie zwłok zgasłego męża odbyło się kosztem miasta Krakowa.

— Dnia 16 lutego r. b. w Berlinie zakończył życie ś. p. *Zygmunt Działowski*, zamożny właściciel dóbr Mgowa, członek i założyciel Towarzystwa naukowego w Toruniu, poseł do parlamentu niemieckiego. Jako miłośnik dziejów i pamiątek przeszłości ojczystych, posiadał jeden z najpiękniejszych zbiorów dawniej broni polskiej; był również biegłym w archeologii, a zbiorami swemi na tém polu wielce wzbogacił Muzeum w Toruniu. Zasłużył się też hojną ofiarą mienia na wydawnictwa naukowe i w ogóle na cele oświaty. Zmarł w kwiecie męskiego wieku, mając zaledwie lat 36, uwieńczając swoją pamięć pięknym wspomnieniem zasług prawdziwie obywatelskich.

*Redakcja Biblioteki Warszawskiej.*

Redaktor odpowiedzialny *K. Wł. Wojcicki.*

Wydawca *Józef Berger.*

## SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z R. 1878.

stron.

### *Historya.*

Stanowisko Erazma Ciołka jako księcia kościoła i mecenasa literatury i nauk. Przez Stanisława Lucasa . . . . .	35
Zawisza Czarny. Przez Antoniego Prochaskę . . . . .	177
Ustęp z życia Alberta Hohenzollern-Anspach, lennika w Prusiech polskiego. Opowiadanie historyczne. Przez Eugeniusza Skrodzkiego. . . . .	298, 428
Wspomnienia moje o działaniach wojennych korpusu pod dowództwem generała Jana Henryka Dąbrowskiego w r. 1813. Przez Prota Lelwela. . . . .	96, 231
Gospodarka królowej Bony na kresach. Przez Kazim. Pułaskiego . . . . .	353

### *Filozofia.*

O stanowisku człowieka w obec teoryi darwinistów niemieckich. Przez Ludwika Żychlińskiego. . . . .	69
--	----

### *Literatura.*

Lucyan Siemieński. (Z księgi moich wspomnień). Przez K. Wł. Wójcickiego. . . . .	4
--	---

Pięć ustępów z cyklu powieści historycznych J. I. Kraszewskiego. Ocenił Ernest Świeżawski. . . . .	18, 275
Przegląd odrodzonej literatury prowansalskiej. Przez Sewerynę z Ż. Duchińską. . . . .	245

### KRONIKA PARYZKA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Czterechsetletni jubileusz uniwersytetu Upsalskiego.— <i>Wspomnienia</i> Brandta: wojna hiszpańska, zdobycie Saragossy, legionści nad- wiślańscy.— <i>Obraz literatury francuskiej pomiędzy r. 1800 a 1815</i> , p. Merlet.—Sady Napoleona o Rasynie, Kornelu i Wolterze. —Dzieło p. Bousquet: o <i>Japonii współczesnej</i> .— <i>Rozmowy ekono-</i> <i>miczne przy ognisku</i> , p. Oktawiusza de Noel.—Brion, malarz ludowych przedmiotów.— <i>Epopcja alzacka</i> .— <i>Ostatnie kartki</i> Georges Sand.— <i>Marek Jakimowski</i> , poemat z XVII wieku, p. Hipolita Swiejkowskiego. . . . .	110
Wojna wypowiedziana kobietom uczonym przez p. Barbey d'Aureville ( <i>Les bas bleus</i> ).— <i>Podróż Karola W. na Wschód</i> , epopeja z XI wieku, studjum Gastona Paris.—Rozprawa pedagogiczna profesora berlińskiego Bois Raymond.— <i>Żegluga napowietrzna</i> Gas- tona Tissandier.—Gustaw Courbet, naczelnik szkoły realistów w malarstwie.— <i>Wyprawa pułkownika egipskiego Challi Long</i> <i>do Afryki środkowej</i> .— <i>Harmonia dźwięków</i> p. Rambossou.— Dramat Legouvé'go: <i>La Separation</i> .—Poranki charakterystycz- ne Maryi Dumas: <i>Elektra</i> Sofoklesa, <i>Sejm niewieści</i> Arystofane- sa.—Galerya etnograficzna przy Muzeum artylerji w zakładzie Inwalidów. . . . .	411
Kronika lwowska. . . . .	382

### Powieść.

Syn Marnotrawny. Opowiadanie z końca XVIII wieku. Przez J. I. Kraszewskiego. . . . .	463
---	-----

### Nauki przyrodzone.

Z dziedziny przyrodznawstwa. Przez T. Skomorowskiego. . . . .	136
---	-----

### Podróże i odkrycia geograficzne.

Podróże i odkrycia geograficzne. Stanley i Kongo. . . . .	898
---	-----

*Dramat.*

- Zakład śmiertelny Ottona. Dramat w pięciu aktach Henryka Spicera.  
Przełożył z angielskiego Feliks Jezierski. . . . . 199, 453

*Korespondencye.*

- Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Od Zygmunta Glogera: „O sta-  
cyach krzemienych.“ . . . . . 150

*Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego.*

- Akta grodzkie i ziemskie (tom VI), wydawane pod redakcją Ksawerego Liskego. Przez J—d. . . . . 152
- Prospekta noworoczne. Przez R. . . . . 157
- Pamiętnik Warszawskiego Instytutu głuchoniemych i ociemniałych z roku szkolnego 1876/7. Przez W. . . . . 163
- O powstawaniu praw moralaych. Przez Aleksandra Świętochowskiego. Warszawa, 1877 r. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . . 313
- Johann Kochanowski (Joannes Cochanius) und seine lateinischen Dichtungen. Ein Beitrag zur Literaturgeschichte der Slaven, von Raphael Loewenfeld. (Jan Kochanowski i jego poezye łacińskie. Przyczynek do dziejów literatury Słowian. Poznań, 1878 r. Józefa Jolowicza. Str. VIII i 158). Przez F. Jezierskiego. . . . . 337
- O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii, dwa odczyty publiczne Juliana Ochorowicza. Lwów, 1877 r. Przez Kazimierza Kaszewskiego. . . . . 477
- Literatura w Galicyi. Przez Władysława Zawadzkiego. Lwów. Nakładem Władysława Webera. Z drukarni Wł. Łozińskiego, 1878 r. (w 8-cc, str. 158). Przez K. Wł W. . . . . 484
- Skorowidz Królestwa Polskiego, czyli spis alfabetyczny miast, wsi, folwarków, kolonii i wszystkich nomenklatur w guberniach Królestwa Polskiego, ułożony i wydany przez I. Zinberga. Dwa tomy w 4-cc, Warszawa, 1877 r. Tom I str. 93 i 426, tom II str. 355. Przez Zygmunta Glogera. . . . . 490
- Sprawozdanie z czynności Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich za rok 1877 (Lwów, z drukarni tegoż Zakładu, w 8-cc, str. 100). Katalog broni w Muzeum Imienia Lubomirskich (Lwów, 1876, w 8-cc, str. 78). Katalog Muzeum Imienia Lubomir-

skich (Lwów, 1874, w 8-co, str. 158). Dyaryusz legacyi Je- rzego Ossolińskiego, posła polskiego na sejm Rzeszy niemieckiej w Ratysbonie 1636 r., z polecenia Zakładu narod. Im. Ossoliń- skich wydał Aleksander Hirschberg, kustosz Biblioteki Osso- lińskich (Lwów, 1877, w 8-ce, str. 92). Przez R. . . . .	493
WIADOMOŚCI BIEŻĄCE, NAUKOWE, LITERACK. I ART.	165, 345, 497
NEKROLOGIA. . . . .	176, 352, 504
Konkurs Redakcyi Biblioteki Warszawskiej. . . . .	2, 343
Od Redakcyi. . . . .	1

---